

BŁĄD PUTINA
Ukraińska
Wojna Ojczyźniana

CZAS ZEŁENSKICH
Polskie państwo
szuka głowy

PÓŁNOCNA FLANKA
Kraje nordyckie
chcą do NATO

MYŚLIWSKI
Życie
nieopisane

SPRAWKI PSZCZÓŁ
Czego o nich
nie wiecie

Kraków 27 marca 2022 nr 13 (3794)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Spotkamy się jutro

**SERHIJ ŻADAN, PISARZ,
OBROŃCA CHARKOWA**





Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki” w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – i **Twoja opowieść.**

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00
od poniedziałku do piątku
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny**		
+ 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK
POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

KS. ADAM

Boniecki: Dom Dobrej Nowiny

DANE PUBLIKOWANE PRZEZ INSTYTUT STATYSTYKI Kościoła Katolickiego nie pozostawiają wątpliwości. Liczby uczęszczających na niedzielą mszę św. (*dominantes*), przystępujących do komunii (*communicantes*), dzieci chodzących na religię itd. – są coraz mniejsze. Kościół przeżywa więc kryzys. Jeśli jednak chodzi o chrześcijaństwo rozumiane jako przyjęcie Ewangelii Jezusa Chrystusa, to jego kryzysu nie byłbym taki pewien.



W Ewangelii niewiele powiedziano o sposobach funkcjonowania instytucji Kościoła. Pomijam spór o to, co w kościelnych strukturach jest dziełem Ducha Świętego, a co zostało zapożyczone z różnych, bardzo ziemskich instytucji, oraz o to, co niegdyś dobrze służące promowaniu Ewangelii, dziś się zdezaktualizowało. Ważniejsze jest, co w chrześcijaństwie jest niezmiennie. Niezmienna pozostaje troska o głodnych, nagich, bezdomnych, chorych i skazanych, bo z nimi utożsamia się Syn Boży. Według Ewangelii Jezus nawet nie wymaga, żeby wszyscy Go znali, ale od wszystkich oczekuje czynnej wrażliwości na niedolę innych (por. Mt 25, 31-46). Troska o słabych, szacunek dla ubogich, jak i nakaz odpuszczania win „naszym winowajcom” i w ogóle cała Ewangelia przez tysiąc lat stanowiły fundament naszej kultury i współkształtowały nasze (europejskie i nie tylko) społeczeństwa. Od starożytności tworzone takie doktryny, jak np. „wojny sprawiedliwe” czy boskiego pochodzenia władzy, zawierano przymierza tronu z ołtarzem, starano się tak manipulować Dobrą Nowiną (słyszeliście Putina na Łużnikach?), żeby dobrze służyła silnym itd. – jednak Ewangelia pozostawała Ewangelią i co jakiś czas zjawiali się ludzie tacy, jak św. Franciszek, Jan XXIII, ks. Jan Zieja, Jan Paweł II i inni, którzy na nowo Ewangelię przed światem odkrywali, budzili nadzieję i radość.

Kiedy niedawno zostaliśmy postawieni przed dramatycznymi wydarzeniami na granicy z Białorusią, nasza „chrześcijańska mentalność” miotła się między ewangelicznym

imperatywem niesienia pomocy a eksponowanym przez polityków zagrożeniem złowrogimi manipulacjami Łukaszenki i Putina. Większość z nas patrzyła ze zgrozą na to, co się dzieje na granicy. Byli tacy, którzy starali się łagodzić okrutne zasady systemu obronnego. Ale na ogół nie widzieliśmy dobrego rozwiązania i bardzo nam z tym było źle. Teraz, jakby odreagowując tamto doświadczenie i bezradność, ze zrozumieniem,

z entuzjazmem powitaliśmy otwarcie granic dla uchodźców z Ukrainy. Jako rzecz oczywistą zaakceptowaliśmy wszelkie ryzyka z tym związane, ważniejsze było otwarcie własnych domów dla uchodźców i masowa pomoc ofiarom wojny.

Nie poprawi to statystyk *dominantes*. Powiedzmy to wyraźnie: dziś wielu chrześcijan, katolików nie traktuje poważnie tego, że msza św., udział w sakramentach, sam Kościół mogą być źródłem siły czy solidarności. Z badań opinii publicznej prowadzonych w czasie kryzysu na granicy białoruskiej wynikało jasno, że najmniej chętni do pomocy ówczesnym migrantom byli właśnie katolicy. Pozostaje jednak faktem, że to, co w Ewangelii Jezusa Chrystusa jest kryterium przynależności do „Bożego Królestwa” – czyli wsparcie bliźnich znajdujących się w potrzebie – stało się właśnie ciałem.

Kierujący Radą ds. Migracji bp Krzysztof Zadarko powiedział (w poprzednim numerze „Tygodnika”) rzecz niezwykle ważną: że episkopat nie chce organizować alternatywnych ścieżek pomagania, osobno kościelnych i świeckich, tylko zamierza ściśle współpracować z samorządami. Orzeczenie z biskupów, którzy przyjęli do swoich biskupich rezydencji uchodźców, nie należy robić herosów. Kościół jako instytucja wykonał i wykonuje dziś gigantyczną pracę. Tym lepiej, że wykonuje ją bez medialnego akompaniamentu. Jesteśmy społeczeństwem chrześcijańskim, o czym świadczą nie statystyki *dominantes*, ale to, co się dzieje na przejściach granicznych, dworcach w Warszawie, Krakowie, Przemyślu i w Waszych gościnnych domach.

©P

11 342,90 zł dzięki Wam!

Dokładnie taką kwotę, czyli całość wartości zakupionych subskrypcji cyfrowych, przekazaliśmy w ubiegłym tygodniu Polskiej Misji Medycznej, która pomaga w Ukrainie.

Przekazaliśmy w Waszym imieniu – naszych Czytelniczek i Czytelników – bo to Wy, kupując w weekend 12-13 marca dostęp do serwisu **TygodnikPowszechny.pl**, zasililiście to konto.

Dziękujemy za wsparcie finansowe ważnej misji pomocowej, i dziękujemy też za czytanie „Tygodnika”.



24 Wiosna zwykłych ludzi

ROZMOWA Z RAFAŁEM
MATYJĄ, POLITOLOGIEM:
*Wzmacnianie podziałów
to dziś zbrodnia. Najlepszą
odповідzią Putinowi jest
dbanie o jedność: Zachodu
i naszą. To też nie czas
na cytaty z Mickiewicza,
lecz na przywództwo godne
wyzwań XXI wieku.*

52 Nowy sezon na słoneczniki

MONIKA
OCHĘDOWSKA
*Dla wielu młodych
Tajwańczyków
wojna rosyjsko-
ukraińska to dziś
najważniejsza
sprawa świata.*



64 Gdzie jesteście?

MAŁGORZATA
NOCUŃ
*Z Serhijem
Zadanem
wymieniałam
maile.
Umawialiśmy
się na wywiad.
„Pogadamy jutro
po południu.
Ok?”; „Zadzwoń,
proszę, pojutrze”;
„Spróbujmy dziś”
– pisał. Wojna
przybrała na sile.
Rozmowy nie udało
się nagrać. Czekam.*



40 Niech nie wie lewica...

JACEK TARAN
*Pomoc uchodźcom
z Ukrainy to szansa
na przebudzenie
Kościoła, wyrwanie
z marazmu.
I Kościół tę szansę
wykorzystuje
– mówi siostra
Małgorzata
Chmielewska.*

60 Sekretne życie pszczoł

JUSTYNA KIERAT
*Większość gatunków nie
produkuje miodu, nie spotykamy
też u nich królowej i robotnic. Są
nawet takie, które podrzucają
jajeczka do obcych gniazd.*



78 Żywoł nieopisany

WOJCIECH
BONOWICZ
*Myśliwski jako
pisarz nie wątpi,
że jakiś wspólny sens
naszych poszukiwań
istnieje. Bo gdyby
nie istniał, sam akt
opowiadania,
a więc i literatura
– nie byłoby możliwe.*



6 Watykan się pogubił
EDWARD AUGUSTYN

7-11 Obraz tygodnia

22-23 Czytania / Widzenia

MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

24 Wiosna zwykłych ludzi
ROZMOWA Z RAFAŁEM MATYJĄ,
POLITOLOGIEM

29 Małe dzieci z wielką traumą
MAŁGORZATA NOCŃ:
Przedszkola, szkoły i brak polityki imigracyjnej

32 Nie będzie pracy dla każdego
PIOTR WÓJCIK:
Polski rynek pracy nie jest gotów na ukraińskich uchodźców

■ ■ WIARA

36 Chwiejny eksperyment
MASSIMO FAGGIOLI:
Dokąd zawiedzie Kościół niemiecka Droga Synodalna?

40 Niech nie wie lewica...
JACEK TARAN

42 Znak
MARCIN CHODUŃ:
Świadectwa ofiar molestowania zamiast niedzielnej mszy

■ ■ ŚWIAT

46 Na północnej flance
PATRYCJA BUKAŁSKA:
Finowie i Szwedzi chcą do NATO

49 Gdy zawodzą porównania
PAULINA MAŚŁONA
Z BARCELONY:
Hiszpania tłumaczy sobie Ukrainę

TEMAT TYGODNIKA

12 Dom na wulkanie

PAWEŁ PIENIAŻEK Z CHARKOWA

Nie wszyscy chcą opuścić ostrzeliwany Charków, nawet mimo błagań rodzin. Dopiero gdy wojna się skończy albo gdy wyjadą, czują, co tu przeżyli.

16 Kiedyś Rosjanie zobaczą prawdę z bliska

ROZMOWA Z PIOTREM ŁUBIŃSKIM, EKSPERTEM
MIĘDZYNARODOWEGO PRAWA KARNEGO:

Jeżeli zbrodnie rosyjskie popełniane na Ukrainie nie zostaną ukarane, nie będzie powrotu do zasad podstawowych, np. suwerenności państw.

19 Ukraińska Wojna Ojczyzniana

ZBIGNIEW ROKITA

To największy kryzys bezpieczeństwa europejskiego od zakończenia II wojny światowej.

I największy błąd Putina w polityce międzynarodowej. Błąd, który może kosztować go władzę.

■ FELIETONY ■

35 DOROTA MAŚŁOWSKA **45** ZUZANNA RADZIK

54 TOMASZ STAWISZYŃSKI

76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: SERHIJ ŻADAN, Kraków 2016 r.

FOTOGRAFIA: MATEUSZ SKWARCZEK

/ AGENCJA WYBORCZA.PL

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

52 Nowy sezon na słoneczniki
MONIKA OCHEŃDOWSKA

■ ■ HISTORIA

56 Ucieczka do wolności
BARTŁOMEJ NOSZCZAK:
80 lat temu ponad 100 tys. Polaków wydostało się z sowieckiej matni. Znaleźli schronienie na Bliskim i Środkowym Wschodzie

■ ■ NAUKA

60 Sekretne życie pszczoł
JUSTYNA KIERAT

■ ■ KULTURA

64 Gdzie jesteście?
MAŁGORZATA NOCŃ

68 Odpoczynek
PIOTR KOŚCIEWSKI:
Vilhelm Hammershøi w krakowskim Muzeum Narodowym. Jego nauczyciel zanotował: „Mam ucznia, który maluje bardzo dziwnie”

71 Ściągi są na nic
DARIUSZ KOŚCIŃSKI:
Lektury szkolne to stały element teatralnego repertuaru. Bardzo i na różne sposoby kłopotliwy. Bo teatr leży dziś na przeciwnym biegunie kultury niż polska szkoła

74 Narysować ucieczkę
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Przeżyć” Jonasa Pohera Rasmussena

76 Matriarcha rodu
LEKTOR o książce
„Holland. Biografia od nowa” Karoliny Pasternak

■ ■ PORTRET

78 Żyć nieopisany
WOJCIECH BONOWICZ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Fałsz na wojne

Jak powstaje deepfake, czyli słowa, których nie ma – o sfalszowanych nagraniach z Zełenskim i Putinem piszą **AGATA KAŹMIERSKA** i **WOJCIECH BRZEZIŃSKI** | tygodnikpowszechny.pl/atak-na-ukraine

➔ DOM [Podkast Powszechny]

Przejechał samochodem obie Ameryki, właśnie wrócił z wyprawy w Himalaje – o podróżach, chorobie i pełnosprawności opowiada **MICHAŁ WOROCH** | powszech.net/podkast



Serwisy specjalne: patrz szerzej

KSIAŻKI W TYGODNIKU

Eseje, recenzje, felietony, podkasty

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KSIAZKI

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



WATYKAN SIĘ POGUBIŁ

W chwili, gdy papież odrzuca ideę wojny sprawiedliwej, sekretarz stanu jej broni.

EDWARD AUGUSTYN

DZIŚ NIE MOŻNA JUŻ MÓWIĆ O WOJNIE SPRAWIEDLIWEJ – powiedział Franciszek podczas wideokonferencji z patriarchą Cyrylem. Dwa dni później powtórzył to w Watykanie: „Wojny sprawiedliwe nie istnieją”.

Wojnę obronną, moralnie usprawiedliwioną, definiuje Katechizm Kościoła Katolickiego. Franciszek zmienił to nauczanie, ale nie w ostatnich dniach, tylko dwa lata temu, encykliką „Fratelli tutti”, a dokładnie przypisem 242 – co mało kto zauważył. Zresztą przekonanie, że wojnom trzeba zapobiegać, a nie je usprawiedliwiać, było wtedy powszechne. Konflikty wybuchały z różnych powodów – etnicznych, politycznych, ekonomicznych

– i tylko szukano dla nich obronnych lub humanitarnych wymówek. Aż do dziś.

Katechizm wymienia cztery warunki, które muszą zostać spełnione, by walka zbrojna była usprawiedliwiona. To obrona przed jednostronną agresją, wyrządzającą niezaprzeczalną i długotrwałą szkodę; wyczerpanie rozwiązań pokojowych; szansa na powodzenie działań obronnych (by ich jedynym skutkiem nie była jeszcze większa rzeź ludności); proporcjonalność użytych środków (wykluczenie broni masowego rażenia).

Ukraina spełnia je wszystkie, co jednak nie zmienia Franciszkowych przekonań. Papież patrzy na jej obronę jak na wojnę, której każda

Papież Franciszek odwiedza ukraińskie dzieci, ofiary wojny, w szpitalu Dzieciątka Jezus. Od początku rosyjskiej agresji watykańskie szpitale przyjęły 50 dzieci z Ukrainy. Rzym, 19 marca 2022 r.

ze stron jest współwinna, choć w różnym stopniu, w której po obu stronach giną niewinni ludzie (także żołnierze), i którą trzeba zakończyć compromisé. Jego ostrożność w ocenianiu i potępianiu – widoczna zwłaszcza z początku – miała być ceną za utrzymanie uchylonych drzwi do watykańskiej mediacji. Po miesiącu już wie, że to niemożliwe.

Trudno nie odnieść wrażenia, że dyplomacja Watykanu się pogubiła. W dniu, gdy papież odrzuca ideę wojny sprawiedliwej, sekretarz stanu jej broni. Gdy Franciszek krytykuje zbrojenia, kard. Parolin „ze smutkiem aprobuje” dostawę broni dla Ukrainy.

Trudno też nie wracać do Jana Pawła II – nie tylko z powodu definicji wojny obronnej, którą zawarł w katechizmie z 1992 r. Pontyfikat polskiego papieża był czasem wielu wojen. Wojtyła, podobnie jak Bergoglio, był przekonany o sile pokojowych rozmów i znaczeniu międzynarodowych gremiów (ONZ). Podobnie jak on, wykluczał możliwość wojny prewencyjnej. Choć też nie wymieniał państw i nazwisk agresorów, jego potępienie zbrodni brzmiało jaśniej. A w obliczu etnicznych czystek w Bośni zaakceptował nawet interwencję zbrojną NATO, by przerwać ludobójstwo. Wraz z rozwojem sytuacji zmieniał nie tylko słowa, jak Franciszek, ale również ocenę moralną i postępowanie.

Mit Jana Pawła II, który „obalił komunizm”, kładzie się zresztą cieniem na dzisiejszych oczekiwaniach, by „papież coś zrobił”. Franciszka zawsze było stać na spektakularne gesty. Tyle że wypływały one z jego przekonań, a nie oczekiwań innych. Trzy lata temu ucałował stopy przywódców Sudanu Południowego, którzy mają na sumieniu tysiące niewinnych ofiar. To tak, jakby dziś ukląkł przed prezydentem Rosji. Watykanista Robert Mickens pisze, że papież dzwonił do Putina w pierwszym dniu agresji. Bez skutku. Telefonu nie odbierał też rosyjski ambasador. Franciszek poszedł do niego sam, by prosić o zatrzymanie wojny.

Teraz Franciszek skupia się na wspieraniu ofiar i gestach religijnych. Na zakończenie ubiegłotygodniowej audycji generalnej odczytał modlitwę, w której było też takie wezwanie: „Panie Jezu, który jako 21-latek zostałeś posłany na front, zmiłuj się nad nami”. I inne: „Powstrzymaj rękę Kaina. A gdy to zrobisz, miej i jego w opiece. To nasz brat”. ©P

Takie sankcje Rosji nie złamią

MAREK RABIJ



POTENCJALNE BANKRUCTWO PAŃSTWA DAWNIEGO nie budziło takich emocji: 16 marca Rosja miała wypłacić odsetki od obligacji. Ledwie 117 mln dolarów, gdyby jednak Moskwa tych pieniędzy nie zapłaciła, w świat popłynąłby sygnał, że finanse kraju błyskawicznie załamały się pod ciężarem międzynarodowych sankcji.

Wypłata nastąpiła w terminie. Poważniejsza próba czeka Rosję na początku kwietnia, kiedy przyjdzie jej oddać ponad 2 mld dolarów. Zapewne i to nie będzie jednak wyzwaniem ponad siły rosyjskiego budżetu, który każdego dnia nadal zasila ok. 500-600 mln dolarów za gaz, ropę i węgiel sprzedawane głównie do Europy (w 2021 r. było to odpowiednio 74, 49 i 32 proc. eksportu kopalin z Rosji). Rzecz w tym, że o embargo na rosyjskie surowce energetyczne Unia nie chce słyszeć. Nawet inwestorzy walutowi, po początkowej panicznej ucieczce od rubla, powoli zaczynają się z nim przeproszać. Część zachodnich firm odmawia opuszczenia Rosji nawet pod presją europejskich konsumentów. Ekonomiczny blitzkrieg zmienia się w *drôle de guerre* (dziwną wojnę).

Sankcje, które świat zważył Moskwie na głowę, działają jak arsenik. Rosyjska

gospodarka traci przez nie zęby i w końcu zapewne szcześnie, nie wiadomo tylko, czy wcześniej nie padnie Ukraina. Na dodatek istnieje ryzyko, że Rosja częściowo uodporni się na zachodnie sankcje dzięki relatywnie dużej autarkiczności swej gospodarki, którą zachowała z czasów ZSRR. Międzynarodowa izolacja kraju tylko ułatwia Kremlowi to zadanie. Zabieracie nam McDonalda? W takim razie miejsce tej marki zajmie marka Wujaszek Wania, z menu toczka w toczkę wziętym z amerykańskiego. Dostawy półproduktów zapewnią te same rosyjskie firmy, które do tej pory produkowały dla Wuja Sama.

Z wyliczeń dr. Łukasza Rachela, byłego ekonomisty Bank of England, wynika, że odcięcie od rosyjskich paliw kopalnych kosztowałoby Niemcy – największą gospodarkę Europy, do tego mocno od nich uzależnioną – od 0,5 do 3,5 proc. PKB. To spory koszt i potencjalnie realne zarzewie konfliktów społecznych, ale też nie wyzwanie ponad siły wysoko rozwiniętych gospodarek. W tym Polski. Zachód poszedł z Rosją na gospodarczą wojnę w obronie wartości, które uważa za fundamentalne, a wojny rzadko wygrywa kunktorzy. ©P

Trzeba powtarzać: to jest wojna z Europą

WYPRAWA DO KIJOWA premierów Polski, Czech i Słowenii (oraz jednego polskiego wicepremiera) miała przede wszystkim wymiar symboliczny, co wcale nie umniejsza jej znaczenia. Między mówieniem na Twitterze „jesteśmy z wami” a fizycznym pojawieniem się u czyjegoś boku, by okazać mu solidarność, jest różnica. Nie da się jej wyrazić w języku gabinetowej polityki, ale jest ona oczywista dla każdego, kto rozumie, że wojnę wygrywa się nie tylko siłą ognia, ale i siłą ducha. Chodziło o coś więcej niż o stworzenie okazji Jarosławowi Kaczyńskiemu do powtórki z tego, co jego śp. brat dokonał, lecąc do Tbilisi w 2008 r. Co prawda słowa o możliwości ustanowienia misji pokojowej powiązanej z NATO były mętne i trudno je nazwać konkretną propozycją, ale sens wyprawy był inny i bardzo konkretny: chodziło o to, by wychodząc przed szereg i stawiając partnerów

z Unii przed faktem dokonany, podbić jeszcze wyżej sprawę pomocy dla Ukrainy. Nigdy dość powtarzania na wszystkich ważnych forach, że potrzeba jej dużo więcej.

Podróż do Kijowa w sposób trudny do zignorowania nagłaśniała coś, co trzeba w zachodnich stolicach powtarzać codziennie: że to jest wojna z całą Europą (nawet jeśli Ukraina nie wstąpi szybko do Unii). A historia UE, zwłaszcza ostatnich dwóch dekad, zna wiele momentów, gdy dochodziło do silnych napięć i jedne kraje wywierały nacisk na inne albo na całą resztę, zgłaszając nieuzgodnione inicjatywy. Podróż do Kijowa nie zburzyła zatem unijnej spójności, była raczej próbą pchnięcia sojuszników i partnerów w pewną stronę. W tym tygodniu szykuje się w Brukseli szczyt Rady Europejskiej, a wcześniej i później inne spotkania różnych gremiów decyzyjnych oraz wizyta prezydenta Bidena. Ważne jest, aby teraz polska dyplomacja mogła, używając właściwych ku temu, dyskretnych narzędzi, wykorzystać efekt tamtego gestu i przełożyć go na konkret. ©P PAWEŁ BRAVO



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Nie było cyberataku

GDY 17 MARCA tysiące ludzi utknęło na dworcach, bo opóźnionych było 1300 pociągów, a 205 odwołano, zaczęły się spekulacje o możliwym cyberataku z Rosji. Podsyłała je informacja od pełnomocnika rządu ds. cyberbezpieczeństwa, że zwołano posiedzenie Zespołu ds. Incydentów Krytycznych. Dopiero po południu wyjaśniono, że na kolei doszło do usterki lokalnych centrów sterowania, a problemy pojawiły się też we Włoszech, Indiach i Singapurze, które korzystają z tego samego oprogramowania.

Obawy o cyberatak ze strony Rosji są uzasadnione, co potwierdza choćby wprowadzenie u nas w związku z wojną w Ukrainie trzeciego stopnia alarmowego dotyczącego zagrożeń w cyberprzestrzeni (w czterostopniowej skali). Czy gdyby do niego doszło, byłibyśmy bezpieczni? O cyberatakach dowiadujemy się zwykle wtedy, jeśli się udadzą. Z drugiej strony wiadomo, że prace nad budową spójnego systemu ślimaczyły się latami i do dziś nie ma jednego centrum dowodzenia, a powołane w zeszłym miesiącu Wojska Obrony Cyberprzestrzeni pełną sprawność operacyjną osiągnęły... za cztery lata.

W Polsce 17 marca dał o sobie znać jeszcze jeden poważny problem. Otóż w sytuacji, gdy za naszą granicą toczy się wojna, obywatele nie muszą wiedzieć, że służbom udało się odeprzeć atak. Dobrze by jednak było, by szybko dostali jednoznaczную informację, że do żadnego ataku nie doszło. Do tego zaawansowanych programów nie trzeba, a wystarczy odrobina wyobraźni, by zrozumieć, jak potężne szkody wywołuje dezinformacja. Tym razem zamieszania nikt nie wykorzystał, ale to nie znaczy, że następnym razem się uda.

© AGATA KAŻMIERSKA
i WOJCIECH BRZEZIŃSKI

KRAJ W SKRÓCIE

KONIEC

Minister zdrowia zarekomendował premierowi zniesienie od kwietnia obostrzeń związanych z noszeniem maseczek, kwarantanną i izolacją. Było to w dniu, gdy na covid zachorowało ponad 12 tys., a zmarło 207 Polaków.

KONFEDERACJA

Sejmowi reporterzy odmówili uczestnictwa w konferencji Konfederacji, zorganizowanej pod hasłem „Tak dla pomocy! Nie dla przywilejów”. Politycy ugrupowania mówili do wyłączonych kamer.

KONGRES

„W Ukrainie nikomu do głowy by nie przyszło, by użyć mediów prywatnych czy publicznych do skłócania własnego narodu w obliczu wojny i katastrofy – powiedział Donald Tusk na kongresie programowym PO. – To ostatni moment, abyście zamknęli szczujnie”.

KLINCZ

Tymczasem na czerwono-żółtych okładkach tygodników „Newsweek” i „Sieci” umieszczono podające sobie ręce złowrogie cienie Kaczyńskiego i Putina z tytułem „Wrogowie czy sojusznicy” oraz demonicznego Putina z pytaniem z „mocnego” tekstu „Czy ktoś jeszcze uważa, że zbrodniarz Putin nie był zdolny do zamachu w Smoleńsku?”.



MATERIAŁY PRASOWE MISS POLONIA

KANON

22-letnia Karolina Bielawska z Łodzi została wybrana Miss Świata. Na temat rankingów urody się nie wypowiadamy, ale wiemy, że nowa miss jest wolontariuszką organizacji Zupa na Pietrynie, wspierającej bezdomnych.

Pomoc tylko doraźna

MAŁGORZATA SOLECKA



KRYZYS UCHODŹCZY TRWA OD CZTERECH TYGODNI, a do Polski przyjechały już ponad 2 miliony obywateli Ukrainy. Wiadomo na pewno, że zdecydowana większość z nich zostanie w Polsce. Mieszkania, praca, wsparcie socjalne, edukacja, ochrona zdrowia – to wyzwania, którym musimy sprostać. Pilnie.

Jak nam idzie do tej pory? Biorąc pod lupę tylko ochronę zdrowia – nie najlepiej. Z jednej strony jest pospolite ruszenie lekarzy, pielęgniarek, ratowników – wolontariuszy dyżurujących w punktach medycznych lub ogłaszających bezpłatne terminy udzielania pomocy doraźnej Ukraincom. Z drugiej – obietnice rządu o pełnych uprawnieniach do korzystania z publicznej opieki medycznej przez uchodźców, które dobrze wyglądają jedynie na papierze.

Lekarze alarmują, że przepisy zapewniają Ukraincom jedynie pomoc doraźną ze strony poradni POZ, z których pacjenci korzystają najczęściej: uchodźcy będą mogli udać się do lekarza ze swoim problemem zdrowotnym, ale nie będą mogli zapisać się do poradni i pozostawać pod jej opieką. To zaś spowoduje, że trudno będzie im zlecić badania, opracować kalendarz szczepień dla dzieci czy wystawić recepty refundowane. Leki pełnopłatne są drogie, a lekarze mają mocne podstawy do obaw. NFZ ma kilka lat na sprawdzenie zasadności przyznania przez lekarza refundacji (tak, absurdem jest, że to lekarz ma weryfikować, czy refundacja się pacjentowi należy) – jeśli uzna, że decyzyja nie była właściwa, każe lekarzowi zwrócić kwotę nienależnej refundacji i nałożyć karę.

©

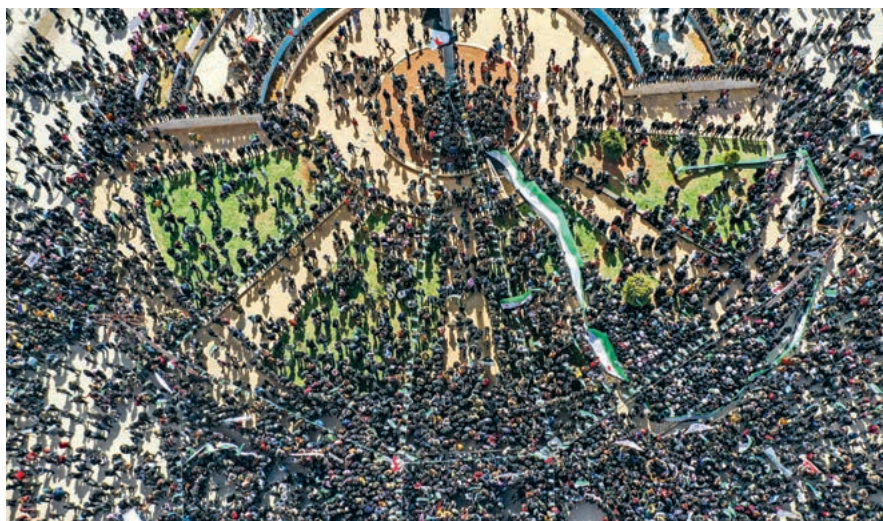
Alimenty: walka z wiatrakami

DWA MILIONY DZIENNICIE. Tak rosły w okresie badania przez Najwyższą Izbę Kontroli (styczeń 2019 – czerwiec 2021) zaległości w alimentach. Kontrola NIK w woj. opolskim wykazała, że rośnie też średnia kwota pojedynczej należności – w 2020 r. wyniosła 44 tys. zł.

Dzieje się tak mimo zmian przepisów, np. możliwości ścigania osób zalegających z minimum trzema miesięcznymi świadczeniami, a także karania pracodawców płacących dłużnikom pod stołem. Przyczyny dziurawego systemu leżą w opieszałości urzędów i nieskuteczności aktywizacji zawodowej dłużników.

Na klinchu tracą dzieci. Państwo pokrywa wprawdzie długi alimentarzy, ale w kwocie nie wyższej niż 500 zł miesięcznie i tylko tym ludziom, których dochód na osobę w rodzinie nie przekracza 900 zł.

©© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



OMAR HAJ KADOUR / AFP / EAST NEWS

NIEPRZYJACIEL JEST TEN SAM. Takie słowa skandował 15 marca tłum na głównym placu Idlibu, miasta w północno-zachodniej Syrii pozostającego wciąż w rękach sił antyrządowych. Nieprzyjacielem tym jest Rosja, która sześć i pół roku temu rozpoczęła interwencję w tym kraju, sprzymierzając się z reżimem prezydenta Baszara Al-Asada. Podczas największej od miesiąca demonstracji mieszkańcy Idlibu wyrażali nadzieję, że ponowna inwazja Rosji na Ukrainę oraz potępienie Kremla w świecie przypomną zagranicy również o ich losie. Niektórzy z obecnych trzymali ukraińskie flagi. Wojna w Syrii rozpoczęła się dokładnie 11 lat temu, w marcu 2011 r. W ostatnich dniach Rosja rekrutuje w syryjskiej armii i milicjach ochotników chętnych do walki na Ukrainie. ŻYM ©©

Medialna tarcza Putina: czy to już faszyzm?

ANNA ŁABUSZEWSKA



W CIĄGU TRZECH TYGODNI, KTÓRE MINĘŁY od rozpoczęcia inwazji na Ukrainę, Putinowi nie udało się osiągnąć celów: Ukraina się nie ukorzyła, prezydent Zełenski nie uciekł i się nie poddał, Zachód nie spełnił postulatów Moskwy w zakresie nowego ładu bezpieczeństwa w Europie.

Putin przeszedł więc do eskalowania konfliktu. Jego armia atakuje ukraińskie obiekty cywilne, zabija kobiety i dzieci, dokonuje zbrodni wojennych na coraz większą skalę, używa broni zakazanej konwencjami międzynarodowymi.

Podczas spotkania online z rządem Putin powtórzył znane tezy o powodach „operacji specjalnej”: o rzekomym ludobójstwie w Donbasie i konieczności ratowania rodaków przed banderowską juntą nazistów. Zadeklarował, że „rosyjskie wojska robią wszystko, aby uniknąć ofiar wśród ludności cywilnej w ukraińskich miastach”, a Zachód tylko dolewa oliwy do ognia, wysyłając broń. Ukoronowaniem wywodu było wskazanie, że Zachód będzie chciał dodać Rosję i użyje do tego nie tylko sankcji, ale „piątej kolumny” – ludzie mieszkających w Rosji, ale mentalnie tkwiących na Zachodzie.

Putin, broniąc władzy, dzieli obywateli na kategorie, napuszcza tych, którzy są po jego stronie, na przeciwnych mu, których nazywa zdrajcami. Czy to już faszyzm? Do faszystowskich wzorców nawiązywał ewidentnie koncert na moskiewskich Łużnikach w ósmą rocznicę aneksji Krymu. Putin w przemówieniu, posługując się Pismem Świętym, przekonywał, że Rosja stoi po stronie dobra. Transmisję pokazały wszystkie rosyjskie telewizje.

Kremlowskie media gloryfikują decyzje kierownictwa państwa. Ta medialna tarcza zapewnia Putinowi bezpieczeństwo. Jest co najmniej tak ważna, jak osobista ochrona i służby bezpieczeństwa. I bardzo skuteczna. Militaryzowana latami przez telewizję, struta fałszywym mitem niepokalanej Pobjedy, rosyjska dusza na hasło „wojna” zareagowała radośnie. Okazała się szczególnie zaimpregnowana na prawdę o rozpętanej przez Putina inwazji. Zbrodnie wojenne? Tak, ale popełniają je tylko źli naziści z Ukrainy. ©

Więcej analiz Anny Łabuszewskiej na tygodnikpowszechny.pl/atak-na-ukraine

Korsykański węzeł

CZY KORSYKA ODPEŁNIE od Francji? Do takiego pytania skłaniać mogą niedawne słowa francuskiego ministra spraw wewnętrznych Géralda Darmanina. Oświadczył on w połowie marca w wywiadzie dla lokalnej gazety „Corse-Matin”, że Francja jest gotowa na przyznanie Korsyce „autonomii”.

Wypowiedź ta – rzecz kluczowa – padła po dwóch tygodniach marcowych manifestacji nacjonalistów korsykańskich. Doszło wówczas do zamieszek, podczas których zamaskowane grupy młodzieży obrzucały policję kamieniami i butelkami z benzyną (według agencji AFP tylko w niedzielę 13 marca w Bastii rannych zostało 67 osób, w tym 44 mundurowych).

Pretekstem do gwałtownych starć było pobicie 2 marca w więzieniu w Arles, na południu Francji, najgłośniejszego nacjonalisty korsykańskiego, 61-letniego Yvana Colonna (skazanego na dożywocie pod zarzutem zabicia w 1998 r. ówczesnego prefekta Korsyki Claude’a Érignaca). Choć Colonna zaatakował jego współwięźniadziadysta, to część korsykańskich separatystów obwinia o tę napaść także władze francuskie. Pobity do nieprzytomności Colonna jest wciąż w stanie śpiączki.

Nad należącą do Francji od ponad 250 lat słoneczną wyspą – ziemią ojczystą Napoleona Bonaparte – wiszą demony przeszłości. Przez cztery powojenne dekady korsykańscy nacjonaliści (FLNC) dokonali aż 4,5 tys. ataków terrorystycznych przeciw władzom w Paryżu. Broń złożyli dopiero w 2014 r.

Rządzący obecnie na wyspie umiarkowani separatyści żądali od prezydenta Emmanuela Macrona wiele razy – i dotąd na próżno – specjalnego statusu dla Korsyki z szeroką autonomią, w tym uznania korsykańskiego, obok francuskiego, za drugi język oficjalny w regionie. Teraz wygląda na to, że władze w Paryżu, z obawy przed nawrotem fali przemocy, zajmą się wreszcie na serio rozsuplaniem korsykańskiego węzła.

Sprawa ta ma znaczenie dla innych regionów Francji o silnej tożsamości, np. Bretanii czy Kraju Basków. Od dalszych losów Korsyki zależy, czy i one mogą liczyć na większą autonomię.

© SZYMON ŁUCYK z Paryża

Zadanie Kościoła

ARTUR SPORNIAK



SĄ PUSTE SEMINARIA, DOMY REKOLEKCYJNE. Czy Kościół arcybiskupa Stanisława Gądeckiego zamierza je otworzyć dla uchodźców? – gdy Janina Ochojska zadała to pytanie w mediach społecznościowych, nie spodziewała się takiej reakcji. „Dostałam bardzo dużo odpowiedzi i przykłałów pomocy ze strony Kościoła. Jestem bardzo pozytywnie zaskoczona, widzę, że tej pomocy jest bardzo dużo, tylko o niej się nie mówi” – przyznała.

Nie mówi się, bo społeczne zaufanie do instytucji Kościoła w ostatnich latach znacznie spadło z powodu kryzysu pedofilskiego. Ale Kościół polski pomaga Ukrainie. Dla uchodźców otwierają się klasztory i domy rekolekcyjne. W pomoc angażują się parafie i klerycy. Caritas Polska pomaga na Ukrainie (np. przysyłając pieniądze) i uchodźcom przybywającym do naszego kraju. Za wschodnią granicę wysłano 147 tirów i 180 busów głównie z żywnością o łącznej wartości około 25 mln zł. W ramach akcji Paczka dla Ukrainy parafie przygotowały 200 tys. 18-kilogramowych paczek z żywnością, środkami higienicznymi i kosmetycznymi.

Relokacją uchodźców zajmują się diecezjalne oddziały Caritas, które utworzyły bazy noclegów i wolontariuszy, a na dworcach kolejowych większych miast i na przejściach granicznych punkty pomocowe.

Głos zabrała Rada Episkopatu ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek. W komunikacie w sprawie pomocy uchodźcom z Ukrainy dziękuje społeczeństwu za „autentyczne świadectwo prawdziwie humanitarnej i chrześcijańskiej postawy”, krytykuje (delikatnie) władze za pomysł „zbiorowych miejsc zakwaterowania”, wskazuje, że przy udzielaniu schronienia „niedopuszczalne jest kierowanie się kwestiami rasowymi, narodowościowymi, religijnymi czy jakimikolwiek innymi”, przestrzega także „przed wykorzystywaniem dramatu uchodźców do rozgrywek politycznych”. Rada promuje też pomysł, by każdą ukraińską rodzinę „adoptowało” kilka polskich rodzin.

Ta pomoc jest duża. Ale takie jest przecież zadanie Kościoła. A robi to za nasze pieniądze: w dwóch zbiórkach w kościołach zebrano na pomoc rekordowe 32 mln złotych.

©P

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

CUD

„Pomoc Polaków dla Ukraińców jest jak nowy cud rozmnożenia chleba” – powiedział w Radiu Watykańskim o. Misza Romaniw. Dominikanin z Fastowa prowadzi w tym odległym o 70 km od Kijowa mieście centrum pomocy uchodźcom.

KRYTERIA

Komisja Nauki Wiary przy Konferencji Episkopatu Polski przygotowuje dokument na temat kryteriów, na podstawie których wspólnota czy ruch formacyjno-ewangelizacyjny mogą być uznane za katolickie. Dokument może zostać przyjęty w maju, a jego ważnym kontekstem są przypadki nadużyć w niektórych wspólnotach religijnych.

POŚWIĘCENIE

W piątek 25 marca o godzinie 17.00 podczas nabożeństwa pokutnego w bazylice św. Piotra Franciszek poświęci Rosję i Ukrainę Niepokalanemu Sercu Maryi. W tym samym czasie tego samego aktu dokona w Fatimie papieski jałmużnik kard. Konrad Krajewski.

HEREZJA

„Odrzucamy herezję »rosyjskiego świata« i haniebne działania rządu Rosji w rozpętaniu wojny z Ukrainą” – głosi deklaracja o ideologii wspieranej przez Rosyjski Kościół Prawosławny podpisana już przez ponad 500 teologów prawosławnych i innych denominacji chrześcijańskich z całego świata.



Pierwsze Radio Informacji
PATRYCJA BUKALSKA

opowie Pawłowi Sulikowi o Finach i Szwedach wobec wojny w Ukrainie (tekst na s. 46) w Radiu TOK FM w środę 23 marca o godzinie 15.00 Zapraszamy! 95,2 FM Gdynia | 97,4 FM Łódź 95,8 FM Wrocław | 97,7 FM Poznań 97,4 FM Katowice | 96,9 FM Opole www.tokfm.pl

Ewangelizacja na pierwszym miejscu

DŁUGO OCZEKIWANA konstytucja apostolska Franciszka „Praedicate evangelium” reformująca Kurie Rzymską ukazała się 19 marca. Zastąpi wydaną w 1988 r. konstytucję „Pastor bonus”. Reforma Kurii była jedną z pierwszych obietnic papieża. Już jesienią 2013 r. Franciszek powołał Radę Kardynałów, której jednym z głównych zadań miało być opracowanie projektu zmian funkcjonowania watykańskich urzędów. Opór materii okazał się jednak tak duży, że zapowiadane reformy wciąż były odkładane.

Zasadnicze zmiany w funkcjonowaniu Kurii Rzymskiej mają być zgodne z duszpasterskim, ewangelizacyjnym nachyleniem funkcjonowania całego Kościoła, o jakie stara się Franciszek. Zmianę tę widać zarówno w bardziej ideowych, wstępnych częściach tekstu konstytucji, jak i w zaprojektowanej strukturze watykańskich urzędów. Dokument od samego początku podkreśla, że Kuria ma odgrywać rolę służebną wobec ewangelizacyjnych działań zarówno papieża, jak i Kościołów lokalnych, zwłaszcza biskupów. W tym kontekście podkreśla, że pracownicy kurialni powinni mieć nie tylko kompetencje organizacyjne, ale także pielęgnować duchowość misyjną.

W wymiarze strukturalnym najważniejszą zmianą jest stworzenie zupełnie nowej, a odtąd najważniejszej Kongregacji Ewangelizacji. Przejmuje ona pierwszeństwo od Kongregacji Nauki Wiary, a jej prefektem ma być sam papież. Inną kluczową zmianą ma być dopuszczenie świeckich do funkcji zarządzających w urzędach kurialnych.

Czy te zmiany prawne przełożą się na realną zmianę funkcjonowania centralnych instytucji kościelnych?

©P PIOTR SIKORA

Świeccy także będą chrzcić

SIEDEMNASTCIE KOBIET i jednego mężczyznę uczynił szafarzami chrztu na okres trzech lat biskup Essen Franz-Josef Overbeck. Diecezja ta jest pierwszą w Niemczech, w której ze względu na „trudną sytuację duszpasterską” chrzcić będą osoby świeckie.

Zgodnie z prawem kanonicznym „zwyczajnym szafarzem chrztu jest biskup, prezbiter i diakon”. W duszpasterstwie za ten sakrament odpowiedzialny jest przede wszystkim proboszcz. Kodeks dodaje, że „gdy szafarz zwyczajny jest nieobecny lub ma przeszkodę, chrztu godziwie udziela katecheta lub inna osoba wyznaczona do tej funkcji przez ordynariusza miejsca”. W przypadku konieczności – np. przy zagrożeniu życia – może to uczynić każdy człowiek „mający właściwą intencję” (niekoniecznie wierzący).

Z powodu braku księży świeccy szafarze chrztu funkcjonują już w szwajcarskiej diecezji Bazylea i austryackiej diecezji Linz.

©P ASK

KULTURA W SKRÓCIE

NARYSOWANE

„Insekt” Marcina Podolca zostanie zaprezentowany na trzech międzynarodowych festiwalach: Athens Animfest, Kaboom Animation Festival oraz Busan International Short Film Festival. To adaptacja niemieckiego komiksu Saschy Hommera opowiadającego o leku przed nieznanym. Podolec jest grafikiem, rysownikiem, twórcą filmów animowanych i komiksów. Jego krótkometrażowy „Dokument” z 2015 r. zdobył kilkanaście polskich i zagranicznych nagród.

NAGRADZANE

Film „Żeby nie było śladów” Jana P. Matuszyńskiego otrzymał nagrody na Festiwalu Oostende w kategoriach: najlepszy film oraz najlepsza scenografia. Wcześniej został wyróżniony za reżyserię na festiwalu w niemieckim Cottbus. Do kin w Belgii i Luksemburgu wchodzi 11 maja. Film oparty na wątkach zawartych w reportażu Cezarego Łazarewicza o śmierci Grzegorza Przemyka był polskim kandydatem do Oscara. Recenzja na powszech.net/slady.

WYSTAWIANE

W Muzeum Narodowym w Lublinie otwarto wystawę „Tamara Łempicka – kobieta w podróży”. To pierwsza w Polsce monograficzna prezentacja twórczości malarki. Przez najbliższe pół roku oglądać można sześćdziesiąt prac Łempickiej – obrazy, rysunki i grafiki. Wśród najbardziej znanych są m.in. „Dziewczyna w zielonej sukience”, „Kizette na balkonie” czy „Saint Moritz”.



JUSTYNA KIERAT

POLSKIE RADIO opowie Grzegorzowi Chłaście o sekretnym życiu pszczół (czytaj na s. 60). Słuchaj rozmowy w Polskim Radiu RDC w środę 23 marca o godzinie 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM



KÉRÉ ARCHITECTURE

KIEDY PRZEWIJA SIĘ STRONĘ ZE ZDJĘCIAMI budynków laureatów Nagrody Pritzкера (darujcie nam tę kliszę: „architektoniczny Nobel”), można zauważyć luźną zależność: z kolejnymi latami budynki maleją. Drapacze chmur, których projektantów nagradzano kiedyś, coraz bardziej zbliżają się do ziemi, a w końcu stajemy przed parterowym, ceglany budynkiem niedużej szkoły we wsi Gando w Burkina Faso (na zdjęciu), zaprojektowanej przez nagrodzonego Pritzkerem w zeszłym tygodniu Francisa Kéré. Zbudowanie szkoły w rodzinnej wsi było marzeniem pracującego dziś w Berlinie architekta, autora licznych projektów budynków wspólnotowych. © P PS

Pierwsza roślinna szczepionka

WEDŁUG DANYCH Vegan Society w grudniu 2021 r. 87 proc. brytyjskich wegan zaszczepiło się przynajmniej jedną dawką szczepionki na covid. W grupie nieszczepionej osoby, których obawą jest zwierzęce pochodzenie szczepionek, stanowią 23 proc.

Choć niezaszczepieni ze względów etycznych to niewielka grupa, od niedawna dostępna jest pierwsza szczepionka „roślinna”. Aby jednak uzyskać akceptację kanadyjskiego regulatora, konieczne były przedkliniczne testy na zwierzętach. W badaniach klinicznych szczepionka o nazwie handlowej Covifenz wykazała ponad 70-procentową skuteczność wobec wszystkich wariantów wirusa poza Omikronem.

Preparat przygotowany przez kanadyjską firmę Medicago (powiązaną z gigantem tytoniowym Philip Morris) zawiera oczyszczone białka podobne do białek wirusa SARS-CoV-2 oraz adjuwant wzmagający odpowiedź immunologiczną. Zazwyczaj uzyskuje się je ze zmodyfikowanych genetycznie komórek zwierzęcych, jednak w tym przypadku produkcję wirusowych białek przejęły komórki *Nicotiana benthamiana*, rośliny z rodzaju tytoniów.

© BARTOSZ KABAŁA

Zobacz, jakie piękne owoce!

SZYMPANSY ŻYJĄ W STADACH liczących kilkadziesiąt osobników, podróżują jednak i żerują w grupkach złożonych z kilkorga krewnych i sojuszników. Gdy jakiś osobnik trafi na źródło pożywienia, ma do rozwiązania dylemat: przywołać towarzyszy czy próbować posilić się ukradkiem samemu. Przy czym przywołanie kolegów może być czasem przejawem wyrachowania, a nie altruizmu – małpa może się domyślać, że jeśli inny osobnik odnajdzie ją żerującą po kryjomu, to dojdzie do awantury. Poza tym w towarzystwie zawsze jest bezpieczniej.

Jak wynika z nowej analizy Alice Bouchard i Klausa Zuberbühlera, do rozwiązania tego dylematu po znalezieniu żywności szympansy używają dwóch wokalizacji: „pohukiwania z dyszeniem” i „szorstkiego pomrukiwania”. Pierwsza niesie się na duże odległości – świetnie nadaje się do przywoływania sojuszników. Druga jest cicha i przypomina pomruki, jakimi osobniki podporządkowane sygnalizują uległość samcowi o wyższej randze, i wydaje się, że jest stosowana, gdy dany osobnik chce uniknąć walki o jedzenie. Okazuje się jednak, że funkcja „żywnościowych” wokalizacji może się zmieniać w zależności od kontekstu społecznego i potrzeb osobnika. Do nośne pohukiwanie czasem służy zastraszaniu innych, bywa też używane na powitanie dominującego samca, gdy ten zbliża się do pożywiającej się małpy – tak jakby chciała ona go zapewnić o swojej bezgranicznej przyjaźni. © P ŁK



DOM NA WULKANIE

Nie wszyscy chcą opuścić ostrzeliwany Charków, nawet mimo błagań rodzin. Dopiero gdy wojna się skończy albo gdy wyjadą, poczują, co tu przeżyli.

PAWEŁ PIENIAŻEK Z CHARKOWA

W CIĄGU TRZECH KWADRANSÓW telefon dzwoni ponad czterdzieści razy. Do tego 24-letnia Tetiana Hołubowa otrzymuje niezliczone wiadomości w komunikatorach. To wszystko osoby proszące o pomoc.

Jej numer rozszedł się po sieci, gdy opublikował go jeden z portali. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. W półtoramilionowym Charkowie we wschodniej Ukrainie oraz w okolicach tego miasta liczba potrzebujących jest gigantyczna. Choć znaczna część mieszkańców wyjechała, stacje metra i piwnice są pełne ludzi, których domy znajdują się w ostrzeliwanych dzielnicach.

Tetiana postanowiła zostać, by pomóc im, a także żołnierzom broniącym jej miasta i kraju. Ma też inny powód: – Cała moja rodzina została w Charkowie. Jeśli coś się, nie daj Boże, stanie, nie mogę w żaden sposób im pomóc – mówi.

Z siostrą pisze co godzinę. Gdy na niebie pojawiają się samoloty, od razu pyta ją, czy wszystko OK. Najbardziej obawia się o 69-letnią bab-

cię Katerynę i 73-letniego dziadka Łeonida. Mieszkają w dzielnicy Sałtiwka w północno-wschodniej części miasta, którą regularnie dosięga rosyjska artyleria, niszcząc zbudowane w sowieckich czasach bloki i stopniowo zamieniając ją w ruinę.

Tetiana chciałaby, żeby znaleźli się w bezpieczniejszym miejscu, niekoniecznie daleko od Charkowa. Mimo to Kateryna i Łeonid Hawryszowie nie chcą słyszeć o wyjeździe. – Dokąd mamy jechać? Będziemy umierać tutaj. Jeśli coś się stanie, to w domu – mówi Kateryna.

Choć Tetiana narzeka na decyzję dziadków, sama nie daje się uprosić znajomym, by wyjechała.

Plan tylko na dzisiaj

Odkąd 24 lutego Kreml rozpoczął ofensywę na pełną skalę, Charków, znajdujący się niecałe 40 km od granicy z Rosją, jest jednym z głównych celów jej armii. Już pierwszego dnia czołgi pojawiły się na obwodnicy miasta, w odległości kilku kilometrów od domu dziadków Tetiany. W kolejnych dniach rosyjskie oddziały wjeżdżały do miasta. Za każdym

*W zniszczonej szkole średniej w Merefie, obwód charkowski.
17 marca 2022 r.*

ANDREA CARRUBBA / ANADOLU AGENCY / ABACA / EAST NEWS

→ razem były wypierane przez ukraińską armię. Artyleria coraz częściej dosięgała Charkowa, a wkrótce rosyjskie samoloty zaczęły na miasto zrzucać bomby. Nie tylko obrzeża, ale też jego centrum było stopniowo niszczone.

Tetiana Hołubowa do samego końca nie wierzyła, że do czegoś takiego może dojść. W 2014 r. rozpoczął się konflikt w Donbasie między Rosją i wspieranymi przez nią separatystami a ukraińską armią. W jego rezultacie zginęło co najmniej 13 tys. osób. Zgodnie z danymi Fundacji Demokratyczne Inicjatywy im. Ilka Kuczeriwa na początku lutego tego roku niemal 40 proc. ankietowanych uważało wojnę z Rosją na pełną skalę za bardzo prawdopodobną lub wręcz nieuniknioną.

Jednak trudno było uwierzyć, że miasto takie jak Charków stań się polem bitwy. Gdy znajomi pytali Tetianę, czy wyjeżdża, czy zrobiła zapasy, odpowiadała: „To XXI wiek, taka wojna jest niemożliwa”. 24 lutego przestała snuć prognozy. Ale wciąż ma nadzieję, że to wszystko szybko się skończy. – Nie mam planów na przyszłość. Jest tylko dzisiaj i trzeba rozwiązywać bieżące problemy – mówi.

Ci sami ludzie, inne zadania

Tylko pierwszego dnia wojny Tetiana zastanawiała się, czy wyjechać. Koleżanka powiedziała jej, że jest miejsce w samochodzie do Lwowa. Zawahała się, ale odmówiła. Wiedziała, że na odległość nikomu nie pomoże. Pierwsze dni były najtrudniejsze. Panował chaos, brakowało informacji, nie było jasne, co się wydarzy, jak na to reagować ani co robić.

Pierwsze kilkadziesiąt godzin wojny Tetiana spędziła w domu. Od przebudzenia była pogrążona w wiadomościach, które bez końca wyświetlały się na telefonie. – Próbowałam coś robić, ale nie wiedziałam co. Gdy jest się samemu i nie ma nic do roboty, jest ciężko – przyznaje.

Przed wojną kierowała dwoma teatrami. I to właśnie z ludźmi z pracy stworzyli sztab pomocy. Część działalności skupia się na pomocy wojskowym. Wolontariusze dostarczają im zamówiony wcześniej ekwipunek – drony, termowizję czy kamizelki kuloodporne. Resztę uwagi poświęcają cywilom. Przede wszystkim kupują im jedzenie i leki. W wielu miejscach są one trudno dostępne, bo apteki i sklepy się pozamykały,

nie ma w nich najpotrzebniejszych rzeczy lub dojście do nich wiąże się z dużym ryzykiem. Szybko okazało się, że Tetiana nie ma już czasu na czytanie wiadomości. Zajęła się koordynacją działań sztabu i kontaktami z ludźmi.

Z 70-osobowego teatralnego kolektywu w Charkowie została raptem czwórka ludzi. Wielu z tych, którzy opuścili swoje domy, pomaga na dystans – przesyłając pieniądze, organizując pomoc humanitarną do miasta. To właśnie dzięki temu wsparciu Tetiana i reszta grupy mogą działać. W krótkim czasie powstała cała sieć.

– Jestem otoczona tymi samymi ludźmi, co wcześniej, tylko teraz nie rozmawiamy o spektaklach, a zastanawiamy się, jakich kamizelek kuloodpornych potrzebujemy – mówi Tetiana.

Od szóstej rano, gdy kończy się godzina policyjna, przekazują pomoc, wypakowują tę otrzymaną, koordynują działania z kierowcami i innymi wolontariuszami, by ich wsparcie dotarło do jak największej liczby potrzebujących. Dziennie pomagają ok. 4 tys. osób. O osiemnastej ponownie rozpoczyna się godzina policyjna. Wówczas członkowie sztabu podsumowują dzień, planują kolejny. Dopiero pod wieczór Tetiana ma chwilę, by poczytać informacje o kolejnych nieudanych rosyjskich ofensywach, ostrzałach rujnujących budynki i o ofiarach.

Nie ma czasu na rozmyślania

Dotychczas Tetiana bała się dwukrotnie. Pierwszy raz wtedy, gdy sortowali przywiezioną pomoc, a nad ich głowę przeleciał samolot. Ktoś z jej grupy krzyknął: „Na ziemię!”. Wykonała polecenie, wkrótce ryki silników ucichły, ale jej ręce trzęsły się jeszcze przez jakiś kwadrans. Drugi raz ogarnął ją strach, gdy przy sąsiednim budynku walnęła rakietą lub jej odłamek. Huk był straszny. Aż trzęsła się ziemia.

Poza tym czuje się dobrze, jeśli można w ogóle tak powiedzieć podczas wojny. Odgłosy artylerii znosi bez problemu. Informacje o śmierci czy zniszczeniach przynębiają ją, ale nie paraliżują. – Mogę tutaj funkcjonować i działać. Dopiero gdy wojna się skończy albo stąd wyjadę, poczuję to wszystko, co przeżyłam – mówi Tetiana.

Tak się stało z niektórymi z jej znajomych, którzy opuścili Charków. Do-

póki znajdowali się w mieście, angażowali się, nie siedzieli beczynnie, wiedzieli, co się dzieje z ich bliskimi, a gdy wyjechali, to wszystkie emocje uderzyły ze zwielokrotnioną siłą i nie byli w stanie nic robić przez kilka dni. Jedni nieustannie płakali, a inni po prostu popadli w apatię. – Jak na razie nie mam czasu, by rozmyślać nad tym wszystkim – przyznaje Tetiana.

Nawet tragiczne momenty udaje się jej wyprzeć. Niedawno w ataku artyleryjskim zginęła dwójka kierowców związanych z ich organizacją.

Tetiana: – Jednego dnia z kimś rozmawiasz, a drugiego go już nie ma. Jeszcze gdyby byli wojskowymi, to łatwiej się z tym pogodzić, bo gdy się odgrywa taką rolę, ryzyko śmierci jest wysokie. To byli cywile. Wieczorem nad tym rozmyślałam i pytałam siebie, kiedy się to skończy. Ale rano jakoś to wszystko mija.

Lepiej, ale niezbyt dobrze

Długo namawiała babcię Katerynę i dziadka Leonida, by wyjechali w bezpieczniejsze miejsce. Oni jednak konsekwentnie odmawiali. Przez ponad tydzień nawet nie chcieli opuścić ostatniego, jedenastego piętra bloku na obrzeżach atakowanego miasta. Choć Kateryna z trudem to wytrzymywała.

– To jak życie na wulkanie – przyznaje. – A mimo to jedni sąsiedzi na piętrze zostali. Pod nami też wciąż ktoś żył.

O przespaniu nocy nie było mowy. Ciągle się budziła, bo czasami rakiety przelatywały niedaleko jej bloku. Na przemian było słychać wystrzały, świsty i wybuchy. Według danych rady miasta od 24 lutego w Charkowie rosyjskie ataki zniszczyły lub uszkodziły niemal 600 budynków. Natomiast Państwowa Służba Ukrainy ds. Sytuacji Nadzwyczajnych informuje, że do 16 marca zginęło ponad 500 mieszkańców Charkowa.

– Mimo wszystko stąd nie wyjedziemy. Jak bardzo bliscy byłiby ludzie, do których jedziesz, to mimo wszystko nie jest to twój dom – przyznaje Kateryna.

Tetiana ciągle szukała dla dziadków bezpieczniejszego lokum. Któregoś dnia zadzwonił do niej znajomy z miejscowości w pobliżu Charkowa, powiedział, że wyjeżdża i zostawia klucze. Chciał użyć domu ludziom w potrzebie. Tetiana pomyślała, że musi spróbować. Dzwoniła do babci Kateryny i długo ją przekonywała. Ta początkowo twardo

odmawiała, ale wreszcie po rozmowie z mężem zgodziła się na przeprowadzkę. Tetiana wszystko dziadkom załatwiła. Miał przyjechać po nich samochód, na miejscu ktoś miał czekać na nich z kluczami. W dniu wyjazdu do Tetiany zadzwonił właściciel domu. Zapytał, gdzie się podzieli jej dziadkowie. Zadzwoiła do babci. Usłyszała: – Zmieniliśmy zdanie. Nigdzie nie jedziemy.

Przenieśli się jednak do innego mieszkania, które udostępnił im znajomy. Znajduje się ono na pierwszym piętrze, nieopodal ich starego domu, wciąż w strefie zagrożenia. – Tutaj jest spokojniej niż u nas, ale nie jest bardzo dobrze – przyznaje Kateryna.

Co chwilę słysząc artylerię. To głównie Ukraińcy strzelają za miasto w stronę rosyjskiej armii, ale też co jakiś czas coś trafia w okolice. Niedługo po naszej rozmowie wybuchy znowu wstrząsną wschodnim Charkowem, zginie pięć osób, w tym 9-letni chłopiec.

Kateryna wspomina jeden z dni, gdy od wieczora do rana panowała zupełna cisza. Wtedy nareszcie odespała ten czas, kiedy wojna nie dawała zmrużyć jej oka.

Kolejki wśród huku

Kateryna i Leonid nie są w krytycznej sytuacji humanitarnej. Sytuacja bardzo się różni zależnie od części miasta. W tych najbardziej zrujnowanych często nie ma prądu ani gazu, nie zawsze dociera pomoc, a otwarte sklepy i apteki znajdują się daleko. W tych najspokojniejszych częściach Charkowa, w okolicach centrum, często odgłosy walk praktycznie nie docierają do uszu mieszkańców.

W mieszkaniu Kateryny i Leonida działają wszystkie media. Mają też co jeść i stać ich na zakupy, ale trudno się porządnie zaopatrzyć. Większość sklepów i aptek jest zamknięta. Przed tymi, które pozostały otwarte, codziennie stoją długie kolejki. Część osób decyduje się wyruszyć na zakupy tuż po zakończeniu godziny policyjnej, by jak najszybciej zdobyć potrzebne rzeczy. Półki są coraz bardziej przetrzebione, a niektóre produkty trudno dostępne.

Kateryna stała przynajmniej trzy godziny w kolejce do supermarketu. Towarzystwo jej huk, ale nie drgnęła ani ona, ani inni stojący w kolejce. Nikt nie chciał wracać do domu z pustymi rękami. A do tego tylko w tej sieci supermarketów da

KATERYNA HAWRYSZ,
babcia Tetiany,
dobrze pamięta
pierwszą
z nielicznych
nocy, gdy
od wieczora
do rana
panowała cisza.
Wtedy nareszcie
odespała czas,
kiedy wojna
nie dawała
jej zmrużyć
oka.



TETIANA HOŁUBOWA
tylko pierwszego
dnia wojny
zastanawiała
się, czy wyjechać.
Było miejsce
w samochodzie
do Lwowa.
Odmówiła.
Wiedziała,
że na odległość
nikomu
nie pomoże.



PAWEŁ PIENIAŻEK X2

się wypłacić pieniądze przy kasie, bo bankomaty i placówki banków od dawna nie działają. Kateryna natomiast musiała kupić leki, a zapłacić za nie mogła tylko gotówką. Tego dnia w aptecce nie było prądu.

W zeszłym tygodniu w Czernihowie w północnej części kraju Rosjanie ostrzelali ludzi stojących w kolejce za chlebem. Zginęło przynajmniej 10 osób.

– Zapomniałam kupić leków na serce, a one teraz są najważniejsze. Będę musiała znowu stać w kolejce – mówi Kateryna. Co chwilę coś przypomina o zagrożeniu, jak stojący na ulicy dogorywający po ostrzale samochód, który niedawno mijała. – Te huk artylerii to jeszcze, ale żeby z nieba nie leciało – dodaje. Dla niej, tak jak dla wnuczki, to ryk silników i zrzucone z samolotów bomby są najstraszniejsze.

Tylko jeśli wejdą

Tetiana długo nie dawała za wygraną. Namawiała babcię i dziadka, by wyjechali

w bezpieczniejsze miejsce. Oni zawsze odpowiadali, że na ludzi w ich wieku nikt nie czeka. Wreszcie, nie mogąc nic wskórać, Tetiana się poddała.

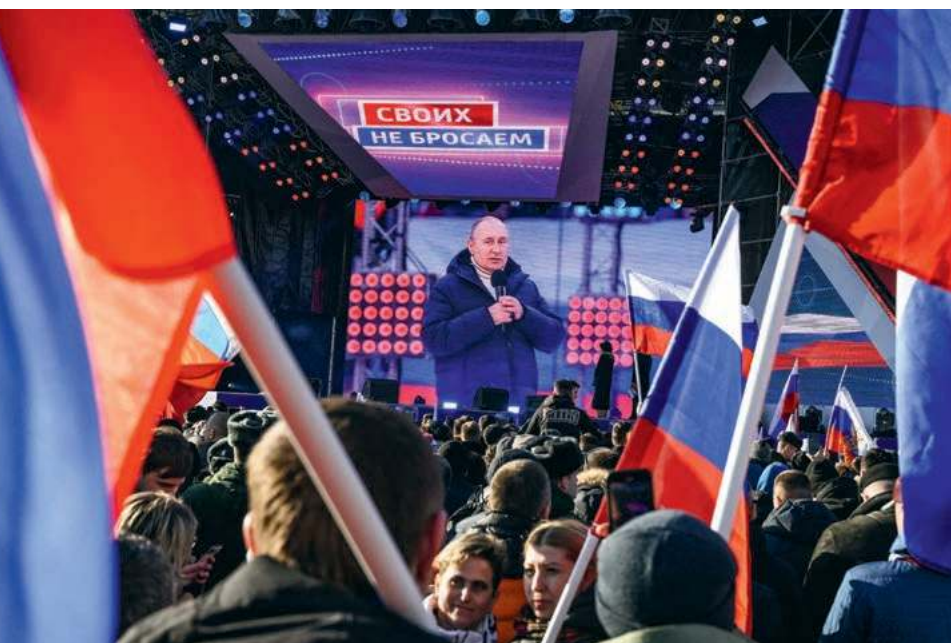
– To są dorośli, świadomi ludzie. Tak postanowili i nie mogą zabrać ich siłą – stwierdza. – Zdaję sobie sprawę, że coś się może im przydarzyć, ale nie mam siły z nimi walczyć, więc pogodziłam się z tą sytuacją.

Na razie nawet nie ma kiedy odwiedzić dziadków. Pracy jest tyle, że w ciągu trzech tygodni tylko raz oddaliła się od sztabu, i to wyłącznie dlatego, że jej siostra miała urodziny. Co noc na Charków spadają bomby i rakiety, zbierając straszne żniwo.

Mimo to Tetiana, podobnie jak jej babcia Kateryna, zawzięła się, że nie wyjedzie. – Zrobię to tylko jeśli, nie daj Boże, miasto będą okupować Rosjanie – mówi.

Nie wierzy jednak, że kiedykolwiek do tego dojdzie.

© PAWEŁ PIENIAŻEK



Władimir Putin podczas propagandowego wystąpienia na moskiewskich Łużnikach.
18 marca 2022 r.

Kiedyś Rosjanie zobaczą prawdę z bliska

PIOTR ŁUBIŃSKI, PRAWNIK, EKSPERT PRAWA MIĘDZYNARODOWEGO:

Jeżeli zbrodnie rosyjskie popełniane na Ukrainie nie zostaną ukarane, nie będzie powrotu do zasad podstawowych, np. suwerenności państw. W rozliczeniu Kremla ważną rolę powinna odegrać Polska.

MARCIN ŻYŁA: Mija miesiąc od ponownej inwazji Rosji na Ukrainę. Jak patrzy na tę wojnę prawo międzynarodowe?

PIOTR ŁUBIŃSKI: Profesor Harold Hongju Koh, który reprezentuje Ukrainę przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości, uważa, że mamy do czynienia z niewyobrażalnym naruszeniem światowego porządku. Twierdzi, że nie wolno nam dopuszczać do sytuacji, w której jeden ze stałych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ dokonuje tak drastycznego naruszenia prawa międzynarodowego – i pozostaje to bez reakcji.

W tych słowach jest ukryta sugestia dotycząca tego, co powinniśmy w przy-

szłości uczynić z Federacją Rosyjską, jeżeli chodzi o odpowiedzialność za tę wojnę. To, co dzieje się od miesiąca, jest bez precedensu, także w wymiarze prawnym. Przed najważniejszymi trybunałami międzynarodowymi toczą się sprawy przeciwko Rosji. Debataje się o potencjalnym wykluczeniu tego państwa z ONZ. Mówimy więc o skali odpowiedzialności, która w przyszłości wymagałaby – analogicznie do denazyfikacji w powojennych Niemczech – przeprowadzenia procesu deputinizacji.

Ta wojna to moment przełomowy dla Europy, jak rewolucja francuska, Wersal czy Jałta?

24 lutego 2022 r. zaczął się w Europie nowy okres historyczny. Są jednak różnice. Rewolucja francuska nie wzięła się znikąd, była rezultatem długich procesów, które zachodziły we francuskim społeczeństwie. Traktat wersalski wynikał z dalekosiężnych efektów tamtej rewolucji. Jałta to konsekwencja konceptu intelektualnego, który przesycił Niemcy od końca XIX w. – frommowskiej ucieczki od wolności w Prusach, wzmocnionej I wojną światową.

A co teraz jest takim „game changerem”?

Niezwykły wpływ na obecną pozycję Rosji, na przekonanie jej elit o możliwości rozgrywania przez nią państw zachodnich, miały dotąd media społecznościowe. To nie tylko znane sprawy: Trump czy brexit – ale i promowanie innych autorytaryzmów. W najlepszym okresie w historii Zachodu, gdy sojusz ekonomiczny krajów europejskich zneutralizował konflikty między nimi, pojawiły się niekontrolowane przez państwa podmioty – jak Facebook czy Twitter – przy pomocy których inne, autorytarne państwo było w stanie rozedrgać nasze demokracje.

Wymienione przez pana przed chwilą momenty historyczne były poprzedzone trwającymi przez lata procesami, miały głębokie podstawy ekonomiczne. Dlatego nie porównywałbym ich z rosyjską agresją. Tym razem Putin wykorzystał przeciwko nam wolność słowa.

Do zachodnich sankcji dotychczas się też giganci mediów społecznościowych. Czy to zmienia odbiór tej wojny w samej Rosji?

Niewiele. Od pierwszych dni inwazji Federacja Rosyjska przegrywa wojnę informacyjną. Ale używany w mediach społecznościowych komponent dezinformacyjny i tak kierowano głównie na Zachód. W Rosji propaganda działa głównie za pomocą mediów tradycyjnych – telewizji czy radia. Instagram jest wciąż zabawką nielicznych Rosjan, domeną zamożnych z dużych miast. Przeoranie mózgów Rosjan dokonuje się przede wszystkim za pomocą klasycznej propagandy.

Jak to się stało, że kraj dysponujący dotąd tak skutecznymi narzędziami do manipulacji przegrywa na Ukrainie wojnę informacyjną?

To rzeczywiście zaskoczenie. Rosyjskie „cyfrowe siły zbrojne”, czyli utworzona w 2013 r. pod Petersburgiem Internet Research Agency, agregowały niekorzystne dla Zachodu zjawiska, tworzyły nowe narracje. Nagle okazało się, że to nie działa. Przestały być skuteczne stosowane dotychczas przez Rosję taktyki dezinformacji, np. sprzedawanie kilku narracji naraz – czasem nawet wzajemnie się wykluczających, żeby powstało wrażenie szumu informacyjnego. Albo wyśmiewanie zachodnich instytucji.

Z kolei polityka informacyjna Ukrainy, reaktywność prezydenta Zełenskiego – to mistrzostwo świata. Kiedy okazało się, że na jednym z niedbale przygotowanych filmów rosyjskich ręka Putina „przeszła” przez mikrofon, dzień później, podczas swojej konferencji prasowej, Zełenski przesunął mikrofon dłonią. Trzy sekundy – i gotowy mem. Kiedy Putin rozmawia z innymi przy kilkumetrowym stole, Zełenski przybija piątki z dziennikarzami. Choć jest to szalenie niebezpieczne. Wszyscy pamiętamy, jak w 2001 r. zginął w Afganistanie Ahmed Szah Masud. Zgładzenie prezydenta Ukrainy jest niewątpliwie celem Rosjan.

Strona ukraińska nie cenzuruje przekazu?

Oczywiście, również to czyni. Do tego dochodzi silna regulacja przekazu z pola walki. Zwycięskie ataki na kolumny czołgów, filmy kręcone z dronów – to podnosi ducha. Nie ma wątpliwości, że Ukraina działa w nowych mediach znakomicie.

Wszyscy jednak w tych dniach przechodzimy przez przyspieszony kurs *disinformation resilience*, uodporniania się na dezinformację. Obserwujemy wspólne ruszenie społeczności internetowej. Gdy w sieci pojawia się prorosyjski komentarz, najczęściej jest „przykrywany” przez obrazy z rozpetanej przez Kreml wojny. Polska również jest celem ataków – przypomnę sytuację w Przemyslu, gdzie w efekcie internetowych treści szczujących na migrantów zjechali się zadymiarze. Państwo zadziało wtedy szybko i skutecznie, ale Polska jest nadal polem walki na froncie dezinformacji. Nie ulega wątpliwości, że Federacja Rosyjska będzie dążyć do podsycania napięcia między Polakami a mieszkającymi z nami Ukraińcami.



ARCHIWUM PRYWATNE

DR PIOTR ŁUBIŃSKI jest prawnikiem, specjalistą w zakresie prawa humanitarnego i międzynarodowego prawa karnego. Wykłada w Instytucie Nauk o Bezpieczeństwie Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, prowadzi szkolenia dla Wojska Polskiego i innych armii NATO. Członek komisji ds. upowszechniania międzynarodowego prawa humanitarnego działającej przy PCK.

Mówimy tu o mediach społecznościowych, tymczasem 30 lat po Sarajewie i kilka lat po Aleppo w Mariupolu i innych obleganych miastach Ukrainy dzieją się rzeczy, do których – wydawać by się mogło – prawo międzynarodowe nie powinno dopuścić.

Z prawnego punktu widzenia to sytuacja nie do wytłumaczenia. Studentom czy wojskowym, z którymi prowadzę zajęcia, tłumaczę czasem logikę stojącą za bombardowaniem kolumn cywilnych przez Niemców we wrześniu 1939 r. – uciekający blokowali wtedy drogi. Było to zbrodnią wojenną, ale z niemieckiego punktu widzenia miało wojskowy sens.

Inaczej jest jednak z ostrzeliwaniem bloków mieszkalnych w Mariupolu czy innych miastach Ukrainy. Celem jest tu zastraszenie ludności cywilnej, żeby ją zmusić do wpłynięcia na decyzje władz. To postępowanie barbarzyńskie, prymitywne i niezgodne z prawem międzynarodowym. Jest to powrót do taktyk z początku XX w. – pozbawiony logiki i sensu. Dotąd postępowały tak przede wszystkim podmioty niepaństwowe. Ugrupowania, które nie miały pieniędzy na prowadzenie wojny, miały mało sprzętu, których nie było stać na używanie broni

kierowanej. To przerażające, że teraz taką taktykę stosuje państwo.

Wiele lat pracowałem z uchodźcami z Czeczenii. Pamiętam straszne wspomnienia ludzi uciekających z Groznego, masakrowanych przez oddziały Federacji Rosyjskiej. Można powiedzieć, że nie było ostatnio wojny, którą Rosjanie prowadziliby zgodnie z zasadami prawa międzynarodowego.

Wyobraża Pan sobie postawienie Putina, Szojgu czy Ławrowa przed międzynarodowym trybunałem?

Teraz sobie tego nie wyobrażam. Ale ćwierć wieku temu nikt nie wyobrażał sobie, że przed sądem stanie Słobodan Milošević, polityk, który podpisywał porozumienie z Dayton, który był na światowych salonach.

Osądzenie osób odpowiedzialnych za tę wojnę będzie trudne. Ale jeżeli nie ukarzymy rosyjskiego przywództwa za to, co zostało zrobione na Ukrainie, nie będzie powrotu do prawa międzynarodowego w formie, w jakiej znamy je dzisiaj. Oczywiście, prawo to jest wciąż degenerowane przez politykę. W imię racji stanu także w innych częściach świata dochodzi do strasznych rzeczy. Ale jeżeli zbrodnie rosyjskie na Ukrainie nie zostaną ukarane, nie będzie powrotu do zasad podstawowych: dotrzymywania umów czy suwerenności państw. Ani do Rady Bezpieczeństwa, w której stali członkowie mają prawo weta.

Mówi Pan o tym, że polityka Putina kwestionuje zasady Karty Narodów Zjednoczonych. Może to jednak dobrze, a cała sytuacja pozwoli wymusić np. zmiany w bezsilnej w przypadku tej wojny Radzie Bezpieczeństwa?

Od wielu lat mówi się, że Rada Bezpieczeństwa choruje na chorobę swojego powstania. W obecnym kształcie została powołana jako odpowiedź na drugą wojnę światową, z pięcioma zwycięskimi mocarstwami jako jej stałymi członkami. Od tego czasu wiele się zmieniło. W Radzie zasiada Wielka Brytania, która straciła swoje znaczenie, nie ma natomiast Indii czy rozwijającej się w szybkim tempie Brazylii. Kłopot w tym, że wszelkie zmiany traktowane są przez Rosję czy Chiny jako atak na ich uprawnienia, na ich międzynarodowe prerogatywy.

→ Da się zmusić Rosję do tych zmian?

Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości nakazał Rosji niezwłoczne zawieszenie operacji wojskowej, w tym działań dokonywanych przez siły nieregularne pod kontrolą Moskwy – wagnerowców, oddziały z Donbasu i Ługańska. Wszystkie strony powinny powstrzymać się od działań, których skutkiem byłaby eskalacja konfliktu. Zarządzenie MTS otwiera możliwość wywierania skutecznej presji na Rosję w Radzie Bezpieczeństwa. Nigdy dotąd MTS nie potraktował tak ostro stałego członka Rady Bezpieczeństwa, co też wskazuje na powagę sytuacji.

Jak miałyby wyglądać deputinizacja Rosji?

Załóżmy, że w przyszłości uzyskamy wpływ na to, co dzieje się w Rosji. Taka deputinizacja społeczeństwa byłaby czymś na kształt denazyfikacji. Chodzi nie tylko o osądzenie zbrodni, lecz „odczadzenie” społeczeństwa oraz stworzenie takiego zapisu historycznego dotyczącego ostatnich wydarzeń, który za 20-30 lat nie mógłby być poddawany negacjonizmowi.

Niezależnie od tego, czy Putina popiera 40, czy 70 procent Rosjan, są w tym kraju miliony ludzi, którzy kupują telewizyjną propagandę. Jeżeli kiedykolwiek będzie nam dany wpływ na to, co dzieje się w Rosji, musi zostać podjęta próba stworzenia społeczeństwa obywatelskiego, które skłania się ku demokracji i odrzuca autorytaryzm.

Tylko kto by to miał zrobić?

Słychać coraz więcej głosów domagających się sądu nad putinizmem – ostatnio apelowali o to byli premierzy Wielkiej Brytanii Gordon Brown i John Major.

Jest pomysł powołania międzynarodowej komisji ds. zbrodni wojennych, podobnej do tej, która po II wojnie światowej przyczyniła się do powołania trybunału w Norymberdze.

To wciąż pieśń przyszłości, ale już teraz Ukraina podejmuje skuteczne działania przeciw Rosji. Wszczęła wspomniane postępowanie przeciwko Federacji Rosyjskiej przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości. Jednocześnie prokurator Międzynarodowego Trybunału Karnego rozpoczął swoje śledztwo. MTK sądzi jednak jednostki. Stąd pojawiają się coraz częściej głosy o konieczności powołania specjalnego trybunału. Takiego, który będzie miał możliwość osądzenia większej liczby osób.

Jest kilka możliwości – może powstać międzynarodowy trybunał specjalny, na wzór tego działającego dla byłej Jugosławii; albo rodzaj hybrydowego sądu, w którym zasiadali by także sędziowie z Ukrainy i Rosji, na wzór powołanych w Kambodży czy Sierra Leone. Nie jest też wykluczone, że taki sąd powinien działać w samej Rosji. A jego wyroki byłyby częścią kampanii edukacyjnej służącej do „odczadzenia” rosyjskiego społeczeństwa.

Wydaje się, że pierwszy raz od dojścia Putina do władzy – przypomnijmy: czasu drugiej wojny czeczeńskiej – świat w dużej mierze zjednoczył się w potępieniu Rosji.

Tak, i to pomimo postępującej na świecie polaryzacji. W tym kontekście warto wrócić do mediów społecznościowych – to istotny element, który powinien być uwzględniony w tej rozliczeniowej układance. Czekają nas jako

Zachód konieczność odpowiedzi na pytanie o rolę mediów niezależnych od państwa – takich, które, jak media społecznościowe, funkcjonują bez kontroli, a ściślej: pod kontrolą biznesmenów odpowiadających przed akcjonariuszami za zysk. Jednostkowe decyzje Marka Zuckerberga o tym, czy możemy pisać na Facebooku „śmierć Putinowi” – to świadectwo porażki demokracji. Biznesmeni nie powinni decydować o tym, co może, a co nie może zostać powiedziane przez blisko 3 miliardy ludzi. Od oceny takich słów są niezależne sądy, a nie czyjeś widzimisię.

Chciałbym jeszcze raz podkreślić wielką sprawność Ukrainy w postępowaniach międzynarodowych – od wspomnianego MTK po działania w Trybunale Arbitrażowym czy Międzynarodowym Trybunale Prawa Morza. Ukraińcy zatrudniają prawników z najlepszych kancelarii na świecie, przedstawiają analizy swoich najlepszych naukowców. Być może Polska powinna w tym procesie silnie wesprzeć Ukrainę.

W jaki sposób?

Do Polski przyjechały 2 miliony uciekinierów z Ukrainy. Wielu z tych ludzi są chodzącym świadectwem zbrodni dokonywanych przez Rosjan. Państwo polskie dysponuje aparatem prokuratorskim, może już teraz zbierać materiał dowodowy w sposób zgodny ze standardami MTK. W rozliczeniu Kremla ma szansę odegrać ważną rolę.

Na czele Trybunału stoi sędzia Piotr Hofmański. Jest u nas silne środowisko prawników międzynarodowych. Oprócz wielkiej pomocy, której Polacy udzielają uciekinierom z Ukrainy, nasze państwo mogłoby również podjąć się tej roli – lidera głębokiej, strukturalnej współpracy z MTK lub innym specjalnie powołanym trybunałem w zakresie zbierania materiału dowodowego oraz samego świadectwa historycznego.

Zamiast drugiej Norymbergi – pierwsza Warszawa?

Nie jest istotne, gdzie taki proces się odbędzie. Niech to będzie Petersburg, Moskwa lub każde inne miejsce. Ważne jest, by Rosjanie – podobnie jak ci Niemcy, którzy kiedyś nie wierzyli w obozy koncentracyjne – zobaczyli prawdę z bliska.

©© Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

Sylvii Frołow

najserdeczniejsze wyrazy współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

POZEGNANIE



Prezydent Wołodymyr Zełenski przemawia do członków Kongresu USA.
Waszyngton, 16 marca 2022 r.

Ukraińska Wojna Ojczyźniana

ZBIGNIEW ROKITA

To największy kryzys bezpieczeństwa europejskiego od zakończenia II wojny światowej. I największy błąd Putina w polityce międzynarodowej. Błąd, który może kosztować go władzę.

LUTOWA ESKALACJA TOCZĄCEJ SIĘ dziewiąty rok wojny rosyjsko-ukraińskiej to przełom – Zachód wreszcie przyznał, że ta wojna się toczy. Wcześniej, od 2014 r., Zachód udawał, że Rosja nie zaatakowała Ukrainy na Donbasie, a Moskwa w rozmowach pokojowych występowała z Paryżem i Berlinem nie jako strona, lecz mediator.

Tym razem Zachód zachował się tak asertywnie nie dlatego, że Rosja napadła na inny kraj. Mocarstwa napadają na inne kraje (również mocarstwa zachod-

nie). Zachód zachował się tak asertywnie, gdyż Rosja złamała tabu i wojnę na pełną skalę przywlekła do Europy. Zachód w obliczu ataku na Ukrainę poczuł się zagrożony, bo widzi w Ukrainie nie rosyjską strefę wpływów, lecz ziemię coraz bliższą sobie kulturowo. To jeden z największych sukcesów Ukrainy po 1991 r. – wyjaśnienie części zachodnio- i środkowoeuropejskich elit i społeczeństw, że Ukraina to nie Rosja, wyjaśnienie, że atak na Ukrainę to atak na zachodni ład, i powiązanie losu Ukraińców z losami

Niemców czy Amerykanów. Ukraińcy wyemancypowali się duchowo, teraz emancypują się w zachodnich głowach.

AGNOSTYK Podstawowym błędem Putina jest właśnie to, że nie wierzy w istnienie Ukrainy. Jest ukraińskim agnostykiem i to go zgubiło. W państwa trzeba wierzyć, żeby istniały, a Ukraińcy uwierzyli w swoje – zarówno w 2014 r., jak w 2022. Putin zjednoczył Ukraińców i jest, za przeproszeniem, jednym z ojców ukraińskiej nowoczesnej państwowości.

Ukraińcy przeszli od 1991 r. ogromną drogę. Nie, Ukraina u schyłku ZSRR nie była w tym samym miejscu, co Polska. Była w znacznie trudniejszym położeniu. Moskwa, inaczej niż w przypadku Kijowa, uznała wówczas niezależność Polski, wyprowadziła z niej wojska, a – co chyba najważniejsze – w Polsce panowała zgoda co do kierunku, w którym Warszawa ma kroczyć w polityce międzynarodowej. Polska do 2004 r. miała ogólnonarodowe cele, tymczasem gros Ukraińców i Ukrainek musiało sobie w tym czasie odpowiadać na fundamentalne pytania. Czy lepiej iść z Rosją czy z Zachodem? Czy istnieje naród ukraiński? Czy niepodległość Ukrainy to dobry pomysł? Z czasem odsetek wahających się spadał, ale wymagało to ogromnej pracy, paru rewolucji, lat wojen, rodzin, które się rozpadły.

Putin tego nie zauważył i dlatego myśleł, że atakując Ukrainę zachował się racjonalnie – to znaczy wyprowadził logiczne wnioski z przesłanek, którymi dysponował. Problem w tym, że dysponował błędnymi przesłankami. Kremłowska propaganda okazała się tak skuteczna, że uwierzył w nią nawet jej autor. Nie docenił sam siebie i swojego, paradoksalnie być może największego i najbardziej trwałego, dzieła – walnego przyczynienia się do powstania nowoczesnego i jednolitego narodu politycznego Ukraińców. Tak. Putin postąpił podobnie jak w 2014 r., tylko że na znacznie większą skalę. Liczył, że rosyjskojęzyczni Ukraińcy na południu i wschodzie kraju przywitają Rosjan z kwiatami i nie będą stawiali oporu. Tymczasem skala jednomyślności wśród Ukraińców jest znacznie większa dziś niż przed ośmioma laty, a ludzie z Charkowa nie uciekają kilkadziesiąt kilometrów na północ do Rosji, ale jadą ponad tysiąc do Polski.

→ **KREML NA WSTECZNYM** Putin poczuł się oszukany przez Zachód i zagrożony. Uznał, że Zachód po 1991 r. wykorzystał chwilę rosyjskiej słabości i odszedł od porozumień jałtańsko-poczdamskich, które dzieliły kawał świata pomiędzy Waszyngton i Moskwę. Putin chce wygrać zimną wojnę, choć ta już dawno się zakończyła. Putin jedzie na wsteczny pod prąd historii, wszyscy na niego trąbią, dają mandaty, a on pędzi i prędzej czy później musi doprowadzić do kraksy.

Staram się założyć putinowskie okulary. Odwracam w tym celu pojęcia. Wyobrażam sobie, że Stany Zjednoczone przegrały w 1991 r. zimną wojnę i się rozpadły. Związek Radziecki triumfuje. Najpierw w 1990 r. RFN przyłącza się do NRD. Później w 1999 r. Francja, Wielka Brytania i Włochy przyłączają się do Układu Warszawskiego, a w 2004 r. w ich ślad idą Meksyk i Panama. Następnie Sowietci przyciągają nawet dawne stany USA, w 2008 r. w Bukareszcie rozważają znaczne zbliżenie z Teksasem i Arizoną, a RWPG ogłasza program Partnerstwa Zachodniego i roztrząsa wizję podpisania umów stowarzyszeniowych przed Alaską i Kalifornią. Waszyngton w końcu przechodzi do kontrnatarcia i zbrojnie interweniuje w kilku dawnych amerykańskich stanach, w końcu rozpoczyna wojnę na pełną skalę.

Ciekawa konstrukcja? Tyle że idiotyczna i pozorna. Idiotyczna m.in. dlatego, że członkostwo w zachodnich organizacjach – NATO czy UE – opiera się na dobrowolności. Gdy w 1966 r. Paryż zawiesił swoje członkostwo w NATO, na francuskich ulicach nie zjawili się amerykańscy marines. A gdy Londyn zechciał odejść z UE, odszedł. Ta konstrukcja może być jednak pożyteczna, bo niewykluczone, że właśnie w ten sposób rozumuje Władimir Putin.

Do Rosji dobrowolnie mało kto prze. Zachód jest cywilizacyjnie atrakcyjny, a Rosja nie (poza nielicznymi wyjątkami), choć dawniej bywała. Różnie z atrakcyjnością putinowskiej Rosji bywa też wśród samych Rosjan. Dziś nie wiemy, jakim poparciem wśród nich cieszy się rosyjsko-ukraińska wojna. Nie wiemy tego z wielu powodów – m.in. dlatego, że Rosjanie na ogół nie wiedzą, co się dzieje, że sondażowne są niemal bez wyjątku kontrolowane przez państwo, że metodologia sondaży powstała z myślą o krajach liberalnych, nie autorytarnych, że odsetek odmów

udzielenia odpowiedzi na pytania jest wysoki i wpływa to znacznie na rezultat sondaży, ale też dlatego, że w badaniach nie może padać pytanie o poparcie dla wojny: to słowo w Rosji zakazane. Miłoś Forman powiedział kiedyś, że wolny kraj to taki, w którym można powiedzieć, że jest on nie-wolny.

ORKOWIE Rosja ma głównie potencjał destrukcyjny, Moskwa często zyskiwała na niestabilności – finansowo i politycznie. Putin wywołuje lub eskaluje konflikty, po czym zgadza się nieco wycofać, *summa summarum* zyskując. Dwa kroki do przodu, jeden do tyłu.

Rosja może nazwać swój projekt cywilizacyjny Związkiem Radzieckim, Unią Eurazjatycką czy Russkim Mirem, ale widać, że król jest nagi – niemal nikt z Moskwą w żadne osobne moskiewskie cywilizacje nie chce się bawić. Wszędzie na świecie poza Białorusią język rosyjski jest w odwrocie. Rosja staje się pariasem międzynarodowym, a w ONZ rezolucji ją potępiającej sprzeciwiły się jedynie najgorsze reżimy planety – Syria, Korea Północna, Erytrea i Białoruś (być może dołączyłaby do nich jeszcze Wenezuela, ale Nicolás Maduro zalega ze spłatą składek członkowskich i w styczniu Caracas straciło prawo głosu). Moskwa nie mogła liczyć nawet na resztki sojuszników z obszaru poradzieckiego, jak Armenia czy Kazachstan (podobnie było zresztą w przypadku uznania Krymu). A propos Kazachstanu – przypomnijmy, że Rosja w tym roku interweniowała zbrojnie już w dwóch krajach Organizacji Współpracy i Bezpieczeństwa w Europie.

Nie jest jednak też tak, że cały świat poparł Ukrainę. To europejska iluzja. Mój przyjaciel z Chmielnickiego pisze mi odwrotnie – o poczuciu, że świat poparł orków (tak mówi się na Rosjan). Brazylia, Chiny, Indie – to tylko kilka krajów, które nie opowiedziały się po stronie Kijowa. A dziś neutralność oznacza sprzyjanie Moskwie.

OPŁACALNA MORALNOŚĆ W Polsce niemal całe społeczeństwo opowiedziało się po stronie Kijowa. Wśród wielu przyczyn takiego stanu rzeczy – choćby poczucia zagrożenia ze strony Rosji – ważna jest też ta, że do konfliktu czytelnym. Trudno polać się w wojnach jemeńskiej czy syryjskiej, tymczasem tutaj mamy „dobrą”

broniącą się Ukrainę oraz „złą” atakującą Rosję, Dawida i Goliata, walczącą o niepodległość dawną prowincję z odczuwającym bóle fantomowe po utraconym imperium agresorem.

W tym kontekście wracam myślami do białoruskich protestów z lat 2020-21. Dziś Białoruś nie jest już suwerennym krajem, została *de facto* wchłonięta przez Rosję, a polska granica z tą ostatnią nie liczy już 100, lecz 500 kilometrów. Pokazuje to bardzo konkretnie, jak ważne jest wspieranie sił demokratycznych i nieopuszczanie do rządów tyranów. Bagateli-zowany często Łukaszenka utorował Rosjanom marsz na Kijów.

Polska stała się jednym z największych beneficjentów pauzy w starciu Zachodu i Moskwy. Stała się częścią tego pierwszego tak instytucjonalnie, jak i do pewnego stopnia mentalnie. Dziś jej położenie jest szczególne. W pierwszej fazie wojny rosyjsko-ukraińskiej (2014-22) dwa kraje graniczyły z obiema stronami konfliktu: Polska i Białoruś. Teraz istnieje tylko jeden kraj, który graniczy z wszystkimi trzema stronami: Polska.

Dziś w Paryżu nie pada pytanie, czy należy umierać za Gdańsk, lecz za Charków – choć odpowiedź jest wciąż ta sama. Błędem Zachodu było jednak to, że nie posunął on się dalej na wschód, gdy był na to czas. Błędem było przyzwolenie Putinowi na aneksję Krymu czy kolejne wojny w Europie Wschodniej. Błędem było nierozpoznanie Rosji jako zagrożenia dla bezpieczeństwa NATO w takim stopniu, w jakim tym zagrożeniem się okazała. Teraz się to zmienia – w sposób bezprecedensowy, choć zobaczymy, na ile trwała będzie ta zmiana. To samo dotyczy prywatnego kapitału. Nie mam wątpliwości, że znaczna część zachodnich marek wycofuje się z Rosji, bo akurat dziś moralność im się opłaca.

CIEŃ PEKINU Putin traci zaś wiele, a Ukrainę może i zdobędzie militarnie (choć jest to coraz mniej prawdopodobne), ale nie będzie w stanie jej kontrolować. Zdobycie kluczowych ukraińskich miast musiałoby skończyć się wariantem znanym z Groznego czy Aleppo (do tych miast symboli dołącza Mariupol), zdobywaniem Kijowa budynek po budynku – opór Ukraińców będzie ogromny. A już na pewno nie zdobędzie Putin ukraińskich dusz. Putinowska Rosja po raz pierwszy walczy na obszarze

poradzieckim z przeciwnikiem, który dysponuje silną armią. Jak w czwartym dniu wojny na Facebooku napisała reporterka Małgorzata Rejmer: „Miał być »Czas apokalipsy«, ale póki co tak się ta wojna Ruskim rozłazi, że chwilami wychodzą im »Przygody dobrego wojaka Szwejka«”.

Horyzont planowania Putina może być jednak krótki. Niewykluczone, że chce on zdobyć Ukrainę za wszelką cenę, a koszty jej kontrolowania przerzucić już na przyszłych przywódców Rosji. Niewykluczone też, że nie planuje zająć całego kraju, lecz zatrzyma się np. na linii Zbrucz i położy kadłubowe państwko ze stolicą we Lwowie. Najpewniej ma oba te plany i wiele innych, i – jak na ogół Kreml robi – będzie realizował te bądź inne w zależności od rozwoju sytuacji. Ta zaś jest, na razie, niesprzyjająca dla Moskwy.

Rosyjska agresja najpewniej umocni świat blokowy. Waszyngtonowi nie udało się wykonać „odwróconego Nixona” i odciągnąć Moskwy od Pekinu. Dziś Rosja i Chiny są ze sobą bliżej niż kiedykolwiek. W skali globalnej to Pekin jest największym politycznym zagrożeniem. Rosja chce zrewidować ład międzynarodowy, podczas gdy Pekin – wyrzucić go do góry nogami. Rosja, oddalając się od Zachodu i stając się coraz bardziej klientem Chin, osłabia samą siebie. Rosja, ta agresywna stacja benzynowa planety, nie jest bowiem samodzielnie w stanie zagrozić światu w takim stopniu, w jakim zro-

Putin zjednoczył Ukraińców

i jest, za przeproszeniem,
jednym z ojców ukraińskiej
nowoczesnej państwowości.

biły to Niemcy nazistowskie (a lubimy takie analogie przeprowadzać). W 1939 r. Niemcy były światową potęgą gospodarczą, tymczasem Rosja to kraj o PKB wielkości Korei Południowej.

PODPALACZ ŚWIATA Chaos, który sieje Putin, na długo odwróci też uwagę świata od takich kluczowych spraw jak katastrofa klimatyczna. W ten sposób cała planeta zapłaci za obsesję kagiebi.

Putin jest podpalaczem świata i wielu zastanawia się, gdzie jeszcze może uderzyć, jeśli go nie zatrzymamy. Na ogół mówi się o Polsce lub Bałtach, ale on wcale nie musi ryzykować ataku na terytorium natowskie – zamiast tego może długo podpalać Europę przy samych granicach sojuszu. Istnieje kraj, który, po pierwsze, jest częścią Zachodu, po drugie, nie jest częścią NATO (choć UE już tak), po trzecie, był częścią Imperium Rosyjskiego,

po czwarte, graniczy z Rosją. To Finlandia i to ją atakując Putin mógłby uderzyć już bezpośrednio w Zachód, nie narażając się na uruchomienie artykułu piątego.

Być może też uwaga świata niebawem przesunie się na Bałkany. Te należą już w całości do NATO, poza trójką krajów stanowiących jeden z najbardziej zapalnych regionów w Europie – Serbią, Bośnią i Kosowem. W ubiegłym tygodniu rosyjski ambasador w Sarajewie skomentował natowskie aspiracje Bośni: „Jeśli ona zdecyduje dołączyć do czegoś, to jej sprawa. Inna kwestia – nasza reakcja. Na przykładzie Ukrainy pokazaliśmy, czego oczekujemy. Jeśli pojawi się niebezpieczeństwo, zareagujemy”.

Wybitny ukraiński historyk Jarosław Hrycak pisał ostatnio na łamach „Ukraińskiej Prawdy”, że wojna rosyjsko-ukraińska potrzebuje języka, którym moglibyśmy ją opisać. Proponował nazwanie jej Wojną Ojczyźnianą. Ukraińska Wojna Ojczyźniana zastąpi w głowach Ukraińców niemiecko-sowiecką Wielką Wojnę Ojczyźnianą. Zastąpi ją, bo dziś Ukraińcy mają inną ojczyznę – i wierząc w nią, już stali się symbolem XXI-wiecznej walki o zachodnie wartości. Dziś to Zachód musi równać do Ukrainy, nie Ukraina do Zachodu. © ZBIGNIEW ROKITA

Autor jest reporterem, laureatem Nagrody Nike za książkę „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku”. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego”.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyta
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyta, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błaziejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyta (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardys, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin, Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmierska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszynski

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepiolo, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmierska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
Redakcja: redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Tandem równościowy



IMIENIEM BECALELA – W BIBLIJ TYSIĄCLECIA jest on Besaleelem – nazwano izraelską Akademię Sztuk Pięknych. Czy pamiętamy także o drugim budowniczym Przybytku i twórcy jego sprzętów, Oholiawie? „I oświadczył Wiekuisty Mojżeszowi,

i rzekł: »Patrz, oto powołałem po imieniu Becalela, syna Urego, syna Chura, z pokolenia Jehudy, i napełniłem go duchem Bożym, mądrością i rozumem, i umiejętnością, i wszelkiem wykonawstwem: ku wymyślaniu pomysłów, by robić w złocie, w srebrze i w miedzi; i w rytownictwie kamieni dla oprawy, i w rzeźbieniu drzewa, i aby wykonywał wszelką robotę. A Ja, oto przydałem mu Oholiaba, syna Achisamacha, z pokolenia Dan, a w sercu każdego mądrego złożyłem mądrość, aby wykonali wszystko, com przykazał tobie« (Wj 31, 1-6).

Wprawdzie Najwyższy przekazał instrukcje Mojżeszowi, lecz główne wykonawstwo przenośnej Świątyni i jej wyposażenia porучzył osobom lepiej zaznajomionym z rzemiosłem. Midrasz opisuje, jak trudno było Mojżeszowi zapamiętać sposób wykucia złotego świecznika. W końcu Stwórca odesłał go, zapewniając, że Becalel będzie wiedział, jak sporządzić menorę. Zdumiony przywódca, patrząc potem na uwijającego się z młotkiem artystę, skomentował: „Nigdy jej wcześniej nie widziałeś i potrafiś ją zrobić? Becalelu, musiałeś stać *becel El* (hebr. w cieniu Boga), kiedy On mi ją pokazywał”.

Becalel wraz z Oholiawem zbudowali Ohel Aw – Namiot [dla naszego Niebieskiego] Ojca [a zarazem Matki]. Imię ojca Oholiawa też można podzielić: *achi samach* to „mój brat wspiera / jest blisko” (w języku współczesnym to byłby czas przeszły). Wszystko tu znaczące: również pokolenie Dana – szczep „gorszego sortu”, bo wywodzący się od syna Bilhy, stojący w jawnej opozycji do pokolenia Jehudy, najznamienitszego ze szczepów Izraela, z którego wywodzą się królowie. Rodowód Becalela jest zaiste imponujący – zwykle wprowadzając nową postać Biblia wymienia też imię jej ojca, co jest ówczesnym „nazwiskiem”, tymczasem tu mamy i dziadka. Chur, podczas bitwy z Amalekitami, podtrzymywał wraz z Aaronem wzniesione ręce Mojżesza (zob. 17, 10-13), a potem wspierał jednego stryja, gdy drugi przebywał na górze Synaj (zob. 24, 14). Nie inaczej: Chur był synem Prorokini Miriam!

Ten, „Który nie uwzględnia oblicza panów, a nie wyróżnia możnego od biednego, ponieważ dziełem rąk Jego wszyscy” (Hi 34, 19), zdecydował, że Becalel połączy siły z Oholiawem przy wznoszeniu Jego Domu. To dzieło zrównało osoby o różnym statusie – podobnie „każdy mężczyzna albo niewiasta z synów Izraela, których pobudziło serce, aby ofiarowali na każde dzieło, które rozkazał Wiekuisty wykonać przez Mojżesza, przynosili dobrowolne dary Wiekuistemu” (Wj 35,29). Wszyscy – bez różnicy. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Fraszka



„DEWOCJA KRZYCZY: »MICHELET WYCHODZI z Kościoła!« / Prawda; dewocja tylko tego nie postrzegła, / Że za kościołem człowiek o ratunek woła, / Że kona – że, ażeby krew go nie ubiegła, / To ornat drze się w pasy i związuje rany... // * // A faryzeusz

mimo idzie zadumany...”. Wychodzi na to, że nasz narodowy wieszcz pochwała zawziętego antyklerykała Jules’a Micheleta. Ale dzisiaj, gdy papież Franciszek mówi, że klerykalizm jest złem i grzechem, nazwanie kogoś antyklerykałem przestaje być obelgą.

Takich sklerykalizowanych katolików, którzy zamykają oczy, żeby nikogo nie widzieć i słyszeć tylko siebie, zawsze w Kościele było pod dostatkiem. Zamiast patrzeć na pokazywaną Hostię, na dźwięk dzwonek zamykają oczy i zasłaniają twarz rękoma. Podobnie postępują po przystąpieniu do stołu Pańskiego. Lubią też śpiewać, że „Bóg sam wystarczy”. Nie wystarczy, skoro stał się człowiekiem i za cenę okrutnej śmierci nie dał się spośród ludzi wyrzucić.

Klinicznym przykładem takiego egoistycznego zapatrzenia w siebie jest starszy syn z przypowieści o dobrym ojcu, który „gdy wracał i był już blisko domu, usłyszał muzykę i tańce. Przywołał jednego ze sług i pytał go, co się wydarzyło. On mu odpowiedział: »Twój brat wrócił i ojciec zabił tłuste cielę, bo odzyskał go zdrowego«. Wtedy rozgniewał się i nie chciał wejść. Wyszedł więc ojciec i zachęcał go do wejścia. Lecz on powiedział do ojca: »Tyle lat ci służy i nigdy nie przekroczyłem twego polecenia, ale ty nigdy nie dałeś mi nawet koźlęcia, abym się mógł zabawić z przyjaciółmi. A gdy wrócił ten twój syn, który roztrwonil twój majątek z nierządnicami, zabiłeś dla niego tłuste cielę«. On mu odpowiedział: »Dziecko, ty zawsze jesteś ze mną i wszystko, co moje, należy do ciebie. Przecież trzeba się bawić i radować, bo ten twój brat był umarły, a ożył, zaginął, a odnalazł się«”.

Starszy syn nie widzi, że nadarza mu się niecodzienna okazja postępowania jak Bóg. Co prawda zgodnie z przykazaniami gorliwie „czci swego ojca”, ale za grosz nie ma w sobie jego ducha. Jeszcze nie rozumie, że „człowiekiem religijnym i nieskazitelnym czystym przed Bogiem Ojcem jest ten, kto sierotom i wdowom przychodzi z pomocą w ich utrapieniu”. Jeszcze nie dostrzega, że ten młodszy jest takim właśnie sierotą.

Dzisiaj wojna na Ukrainie również „drze ornaty”, weryfikując prawdziwość naszych pozłocistych procesji, nabożnych ślubowań, pielgrzymek, nowenn, mistycznych doznań, działań dyplomatycznych, traktatów międzypaństwowych, a przede wszystkim drze nasze sumienia. Coraz skuteczniej. Kościoły z salonów piękności stają się szpitalami polowymi, a Ewangelia jak skalpel zadaje ból i przynosi zdrowie. Przede wszystkim nam, dającym. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Eleazar

*Bądź uważny
na samego siebie,
sprawdzaj i badaj.
Broń siebie, czuwaj
i panuj nad sobą.*

GRZEGORZ PALAMAS



*Patrz na każdą rzecz,
każdy byt,
jak na to, co właśnie
ulega rozpadowi,
podlega przemianie.*

MAREK AURELIUSZ



W OSTATNIM CZASIE Liturgia kazała nam się zmierzyć m.in. z Jezusową przypowieścią o bogaczu i Łazarzu.

Jednym z kluczy, którymi można „otworzyć” ową przypowieść, jest imię jej bohatera: Łazarz (hebr. Eleazar) znaczy tyle, co „Bóg pomaga”. Wielu z nas imię to wydawać się może jakąś prowokacją, jeśli nie wręcz drwiną. „Bóg pomaga”? Łazarzowi? Wolne żarty! Raczej Bóg nie istnieje, jeśli są w naszym świecie Łazarze. Gdzie jest Bóg – skoro istnieją tuż obok nas ludzie głodni i spragnieni, chorzy i nadzy (skoro widać ich wrzody) – każdego dnia karmieni wyłącznie upokorzeniem?

Gdzie jest Bóg? – skoro każdego dnia w Ukrainie dzieją się zbrodnie (w dniu, w którym odczytywaliśmy naszą przypowieść w liturgii, wszystkie poranne serwisy mówiły o zbombardowaniu przez Rosjan ukraińskiego teatru, w którym mogło znajdować się nawet do tysiąca cywilnych osób, w tym dzieci...).

Czy Bóg może spokojnie patrzeć na takie wydarzenia?! Gdzie On jest?

Na to dramatyczne pytanie sama przypowieść odpowiada najpierw: Bóg jest w swoim Słowie – wzgardzonym, zagłuszonym i obojętnym. Bogaczowi, zatroskanemu w otchłani o los swoich braci, Abraham odpowiada: „Mają Mojżesza i Proroków, niechże ich słuchają!”. Właśnie tak: Mają Bi-

blię! Sięgając po nią, mogą w niej usłyszeć Słowo Boga. To ono powinno ich z mocą wezwać do pomocy Łazarzowi. No tak, ale i bogacz, i jego bracia już dawno nie znają takiej Bożej mocy Słowa: „Nie! Ale gdyby ktoś z umarłych poszedł do nich...”. A więc: może jakiś cud? Może jakaś nadzwyczajna interwencja! To byłby mocny dowód troski Boga o ludzi..., ale Słowo?!

Gdzie jest Bóg? Słowo podpowiada nam drugą odpowiedź: Bóg jest w Łazarzu – zgodnie z Ewangelią, „dobrą nowiną”, zapisaną przez Mateusza (Mt 25): „byłem głodny; byłem spragniony; byłem nagi; byłem chory; byłem obcy”.

W równej mierze Bóg jest w nas – równie obojętny, jak w przypadku Słowa.

Bóg jest w naszych oczach – które odwracamy, by nie widzieć Łazarzów. Jest w naszych uszach – zatykanych, by nie usłyszeć ich prośby i płaczu. Jest w naszych nozdrzach – zasłanianych, by nie poczuć ich zapachu. Jest w naszych ustach słowem pociechy i nadziei, których nie wypowiadamy z wyłączeniem nam znanych powodów. Bóg jest w naszych myślach i postanowieniach, by pomóc – porzucanych i zaniechanych, z lenistwa, ze strachu, z egoizmu. Gdzie jest Bóg? Przypowieść mówi nam jeszcze z mocą, że Bóg jest w wieczności. Jest jej Panem! Jest ogniem, który na koniec wypróbuje nas, nasze czyny, decyzje i wybory. Albo je oczyści i wydoskonali, albo... spopieli. Amen. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (27 III – 3 IV)

4. niedziela Wielkiego Postu: Joz 5, 9a. 10-12;
Ps 34; 2 Kor 5, 17-21; Łk 15, 1-3. 11-32;
Poniedziałek: Iz 65, 17-21; Ps 30; J 4, 43-54;
Wtorek: Ez 47, 1-9. 12; Ps 46; J 5, 1-16;
Środa: Iz 49, 8-15; Ps 145; J 5, 17-30;

Czwartek: Wj 32, 7-14; Ps 106; J 5, 31-47;
Piątek: Mdr 2, 1a. 12-22; Ps 34; J 7, 1-2. 10. 25-30;
Sobota: Jr 11, 18-20; Ps 7; J 7, 40-53;
5. niedziela Wielkiego Postu: Iz 43, 16-21; Ps 126;
Flp 3, 8-14; J 8, 1-11.

Wybrał PIOTR SIKORA

WIOSNA ZWYKŁYCH LUDZI

RAFAŁ MATYJA, POLITOLOG:

Wzmacnianie podziałów to dziś zbrodnia. Najlepszą odpowiedzią Putinowi jest dbanie o jedność: Zachodu i naszą. To też nie czas na cytaty z Mickiewicza, lecz na przywództwo godne wyzwania XXI wieku.

MICHAŁ OKOŃSKI: „Kto Ty jesteś”?

RAFAŁ MATYJA: I jakiej odpowiedzi właściwie pan oczekuje?

Zastanawiam się, na ile się ona zmieniła po napaści Rosji na Ukrainę. Pana ostatnie książki mówią o grze Polaków z nowoczesnością, postulują zmianę wyobraźni politycznej, tymczasem ja od paru tygodni mam wrażenie, że znów nas dopadła historia, i to taka w ujęciu romantycznym. Rymkiewicz czy Janion czuliby się w tych dniach na swoim miejscu.

Oboje wiedzieli, że w symbolach z przeszłości tkwi ogromna energia, więc szukali w niej czegoś, co podpowiedziało by nam drogę ku przyszłości. Ja jednak uważam, że w tej przeszłości, która ich fascynowała, podpowiedzi już nie ma. To martwa przestrzeń, która, owszem, trochę jak popkultura pozwala na chwilę uwolnić się od codzienności i znaleźć się w świecie prostszym, nasyconym wartościami, których na co dzień nie spotykamy – ale aktualnego wzorca tu nie znajdziemy. Już nie mówię o tym, że wariantów bycia Polakiem jest nieskończenie więcej niż ten spod znaku Sybiru, kibitki i ofiary krwi. Zwłaszcza jeśli rozumiemy polskość jako coś więcej niż życie wąsko rozumianych elit, dopuszczamy istnienie regionalni-

zmów i jesteśmy świadomi obojętności, jaką żywią wobec „wielkich spraw” ludzie zajęci zmaganiem się z codziennością.

Dla mnie ta przestrzeń jest martwa, ale tak jak wampir Janion. Naprawdę mam poczucie, że świat wskoczył w stare ramy – i to nie tylko dla umownych wyborców PiS-u. Także lewicowi publicyści i pisarze, np. Sylwia Chutnik, odkrywają dziś „sprawę polską” odzianą w kostium militarny, nasyconą romantyczną symboliką, lękiem przed Rosją albo świadomością, że świat nas nie rozumie, a uwielbiani dotąd intelektualni guru z Europy są użytecznymi idiotami Kremla.

Ale takie powroty historii są naturalne. Przypomnę lata 80.: zarówno to, jak po wprowadzeniu stanu wojennego odżyły symbole charakterystyczne dla czasów tuż po upadku powstania styczniowego, jak i to, że niedługo później wróciły śmichy-chichy w klimacie „Teki Stańczyka”. Najlepsze w tamtym oporze było jednak to, co nowe, a nie to, co kostiumowe.

Nie wiem w związku z tym, czy znalazł pan sobie dobrego rozmówcę...

Naczelnny zawsze wybiera mi najlepszych.

Bo kiedy widzę Wołodymyra Zełenskigo i zestawiam go z naszymi przywódcami, mam poczucie przepaści. I oczywiście wybieram komika, z jego wyczuć dramaturgii, ale też z jego normalnością i horyzontem odniesień. Jest taki inny od patetycznych polskich polityków, którzy jak uderzą w wielki dzwon tradycji i pamięci, to nie wiadomo, gdzie się schować. Innymi słowy: to prezydent Ukrainy jest bohaterem naszych czasów, a nie ci, którzy widzą we współczesności tylko kolejną powtórkę z historii. W bieżącej robocie, której wokół jest mnóstwo w związku z przyjazdem setek tysięcy uchodźców, patos raczej przeszkadza. To nie czas na cytaty z Mickiewicza, a na przywództwo godne wyzwania XXI wieku.

Pewien element patriotycznego kiczu nie jest nam potrzebny?

Absolutnie nie. Jeśli wymagamy od ludzi wyrzeczeń dużo większych niż zakup porcji żywności dla przybyszów, musimy mieć solidne argumenty. Trzeba dać ludziom sensy odwołujące się do ich życia i życia ich dzieci,





TOMASZ STAŃCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Spadochroniarze z flagami Ukrainy i Polski nad Łodzią, 6 marca 2022 r.

a nie do życia ich ojców czy dziadów. Zresztą zwykle też zredukowanego do udziału w wojnie czy konspiracji.

Kłopot w tym, że w Polsce ta bieżąca robota odbywa się w dużej mierze bez państwa i polityków.

Zastanawiałem się nawet, dlaczego pierwszy protest pod rosyjskim konsu-

latem w Krakowie organizowali działacze KOD-u i Strajku Kobiet, a nie liderzy tutejszych partii. Dlaczego ich nie stać na wspólne inicjatywy bez partyjnego szyldu? Przecież potrzeba takiego działania jest oczywista, co więcej: stanowi niezwykle skuteczną broń przeciwko logice Putina, grającego na wzniesienie podziałów w Europie.

Ale skoro pan wraca do historii: oczywiście to nie jest tak, że wszystkie odniesienia do niej są bezwartościowe. W „Miejskim gruncie” cytuję pamiętnik spisywany w Lublinie przez całą wojnę. We wrześniu 1939 r. uderzające było poczucie, że wszystko się skończy szybko, najdalej do Bożego Narodzenia. Przegraną Niemiec, oczywiście. Naturalną reakcją każdego z nas wobec opresji jest szukanie optymalnego scenariusza.

Mamy porzucić naiwne nadzieje?

Wciąż pamiętam, że przed 24 lutego większość analityków przekonywała, że do wojny nie dojdzie. Otóż wojna wybuchła, a teraz przybiera charakter barbarzyński, taki jak w Syrii lub Czeczenii, czyli obliczony na zniszczenie podstaw narodu ukraińskiego.

No to co teraz?

Rozumiem, że pyta pan o polskie państwo i jego przywódców? Z pewnością nie powinni stawiać na jeden, a już zwłaszcza nie na najbardziej optymistyczny scenariusz. No i muszą mieć świadomość, że choć mobilizacja społeczna jest fantastyczna, to na długo nie wystarczy.

Jej formy mogą być zresztą dla wielu zaskakujące. Tu nie ma podziałów: miasto i wieś, elity i lud, bogaci i biedni. O ile część sektora publicznego wciąż sobie nie radzi, a administracja nie bardzo →

→ potrafi wyjść poza urzędniczy formalizm, to zaangażowanie organizacji pozarządowych czy nawet sektora prywatnego, firm i ich właścicieli, jest zaskakujące. Te wszystkie ciężarówki, użyczane lokale, przekazywane uchodźcom produkty – zdają się przeczyć obrazowi polskiego kapitalizmu, w którym pracowników się oszukuje, społeczna odpowiedzialność biznesu jest grą słów, a liczy się tylko zysk.

Może w tym przypadku liczy się akurat wizerunek.

Nie, bo o zaangażowaniu wielu firm opinia publiczna w ogóle się nie dowiaduje. Chyba że chodzi o wizerunek w oczach własnych pracowników czy nielicznych klientów, co też w sumie wystawiałoby owym kapitalistom dobre świadectwo. Zwłaszcza że znaczna część z nich jest pokiereszowana przez covid. Niejeden przedsiębiorca myślał ostatnimi czasy, że musi wytrwać do marca-kwietnia, i potem będzie normalnie, a tu normalność właśnie się skończyła.

Kluczowym pytaniem jest, kiedy nastąpi reorientacja instytucjonalna polskiego państwa, związana zarówno z rozmiarami kryzysu humanitarnego, jak i z tym, jakie scenariusze jeszcze przed nami w związku z dalszym przebiegiem wojny, wysokością uchodźczej fali i tym, w jakim stanie będą do nas docierać przybysze z Ukrainy. Na początku nie przyjeżdżali przecież ludzie bezpośrednio dotknięci wojną, ale teraz są już jej ofiary, a możemy spodziewać się napływu ludzi rannych.

Nie rezygnując z doraźnej pomocy, trzeba się przestawić na działania długofalowe?

Pierwszych kilkanaście dni pozwoliło kupić czas. Efekty szoku złagodziła też pracująca w Polsce ukraińska diaspora, która pomogła zorganizować przyjazd swoich bliskich. Jej obecność okazała się zresztą uzdrawiająca dla relacji polsko-ukraińskich, a nasze reakcje na rosyjski atak osłabiły ideologiczne podziały. Teraz lewicowi antyklerykalowie wożą na Ukrainę paczki z pomocą zebraną przez instytucje kościelne – i nic w tym dziwnego.

Jesienią wielu publicystów zastanawiało się, czy kryzys na granicy białoruskiej nie zadziała na kondycję polskiego

Zełenski jest taki inny
od patetycznych polskich
polityków.

**To prezydent Ukrainy
jest bohaterem naszych
czasów, nie oni.**

społeczeństwa dewastująco. Oczywiście, Ukraińcom cierpiącym po ataku Rosjan dużo łatwiej okazać solidarność, ale też widać, że w tamtych wydarzeniach wiele było z pułapki. Owszem: zastawionej przez Putina i Łukaszenkę, jednak wykorzystanej przez rządzących, którzy patrząc na sondażowe słupki zrozumieli, ile mają do zyskania.

A może PiS miał rację?

Tamtych uchodźców nie chciał, zresztą w zgodzie z polityką unijną, a obecnych przyjmuje z otwartymi ramionami, na skalę bezprecedensową w historii europejskich kryzysów migracyjnych po II wojnie światowej.

Gdyby PiS myślał wtedy nie o swoim interesie, tylko w kategoriach dobra wspólnego, to prezydent pierwszego dnia zwołałby Radę Bezpieczeństwa Narodowego, a koordynator służb specjalnych spotkałby się z szefami klubów parlamentarnych i zapewnił ich, że będą na bieżąco informowani o przebiegu wypadków. Podobny gest wykonano by także w stronę mediów opozycyjnych, nakreślając sytuację na tyle precyzyjnie, by miały świadomość, że pewne tematy wypada jednak wyjąć z bieżącej krytyki. Obserwowalibyśmy budowanie wspólnoty politycznej, a nie podkręcanie złych emocji.

PiS miał rację tylko w tym sensie, że to była operacja Moskwy i Mińska, obliczona na wywołanie kryzysu w Europie. Można było nie dać się sprowokować, ale nie rozpętać całej tej histerii, nie wprowadzając stanu wyjątkowego, nie blokując dostępu dziennikarzy i nie powodując wielu ludzkich nieszczęść.

Po takich przejściach raczej nie możemy mieć nadziei na wyciszenie polskiego sporu w obliczu rosyjskiego zagrożenia.

Dobrze byłoby, gdyby to całe towarzystwo, które prowadzi pryncypialny bój „PiS kontra anty-PiS”, dało sobie na wstrzymanie. Nie raz na zawsze, ale na teraz. Są ważniejsze rzeczy, a najważniejsza dotyczy tego, czy ktoś z rządzących zrozumie, że po tym, jak przez minione dni Polacy radzili sobie właściwie sami, ich wielka orkiestra potrzebuje dyrygenta. Nie takiego, który mówi ludziom, jak mają myśleć, tylko który cały czas podtrzymując morale reguluje to zaangażowanie. Wie, jaka pomoc jest potrzebna, i wie, które części administracji muszą zapewnić funkcjonowanie państwa, by nie dać Polakom poczucia, że są opuszczeni, bo nagle uchodźcy stali się ważniejsi. Żeby nie powtórzyć błędów z czasów pandemii, kiedy rzucono się do ratowania jej ofiar, zostawiając na boku cierpienie innych chorych.

No to chyba mamy problem z takim przywództwem.

Bo ono potrzebuje kompetencji i dwójki rodzaju umiejscowienia. Jednego centralnego, polityczno-państwowo-medialnego, komunikującego się z nami za pomocą mediów elektronicznych i społecznościowych. Kompletnie nie wiem, kogo miałbym dziś słuchać, żeby się dowiedzieć, co dalej, a nie słyszeć jedynie pohukiwań o tym, jaki zły jest Putin i że Polska odgrywa kluczową rolę. Cała ta tromtadracja raczej straszy, niż uspokaja.

A drugi poziom?

Liderzy lokalni. Słuchałem debaty prezydentów miast na temat obecnego kryzysu i nie mogłem nie zauważyć różnicy między Rafałem Trzaskowskim a Jackiem Majchrowskim.

Ten pierwszy brzmiał zdecydowanie jaśniej.

W zasadzie mówili o tych samych problemach, ale język, jakim się komunikowali, był kompletnie różny.

Jak to trzeba w takim razie robić?

Po pierwsze, doceniać rolę zwykłych ludzi. Dziękować wolontariuszom i organizacjom pozarządowym nawet trzy razy dziennie, choć i to za mało. Pokazywać, ile się dzięki nim udało. Podtrzymywać poczucie sensu w tym, co robią, bo nie robią tego za pieniądze.

No to mamy kolejny problem: w ideologię państwa PiS wpisany

jest centralizm, brak zaufania nawet do samorządów, o organizacjach pozarządowych nie wspominając.

O jakim centralizmie może być mowa, kiedy dziś tak naprawdę w pięciu wielkich miastach, gdzie już przed wojną istniały duże skupiska ukraińskiej diaspory, decyduje się los kryzysu migracyjnego?

Prezydenci tych miast mówią wyraźnie, że sami sobie nie poradzą. Potrzebne jest jednak nie tylko wsparcie państwa, ale także miast z regionów i krajów nie dotkniętych bezpośrednim konfliktem. Trzeba umieć powiedzieć mieszkańcom Krakowa, Warszawy, a także mniejszych miast i gmin, że kryzys będzie większy niż wszystko, z czym mieliśmy dotąd do czynienia. Oczywiście nie chodzi o straszenie i fatalizm: nie można dopuścić do tego, by ludzie zamknęli się w domach i zamarli przed telewizorami w oczekiwaniu na najgorsze. Chodzi o jasną komunikację, pokazującą sens tego, co się dzieje.

Czyli wracamy do Zełenskiego.

Oglądaliśmy spektakularne zwycięstwo Ukrainy w mediach społecznościowych. Jej komunikacja jest hipernowoczesna, a przy tym pozwala mobilizować cywilną solidarność. Świetnie rozumie, na czym polega wiral, i jakie zdjęcia pokazywać. Na razie jednym z symboli tej wojny jest przecież traktor ciągnący czołg. Nic tak nie dodaje otuchy, jak ów znak zwycięstwa cywilnego sprytu i oporu nad

tępą siłą rzekomego supermocarstwa. Mam nadzieję, że polscy specjaliści od marketingu politycznego analizują ten sukces.

Nie tylko polscy. Macron już się fotografuje nieogolony i w bluzie.

Tylko że w tym, co robi Zełenski, nie ma przebieranki.

To zresztą pozwala mi wrócić do pana pierwszego pytania. Nieprzypadkowo w „Miejskim gruncie” podsuwałem rodakom do czytania „Szwejkę”, bo dumota propagandy austro-węgierskiej zaowocowała także słabnącym morale tej armii.

„Gdyby Szwejk był Polakiem, być może udałoby się nam nie redukować wojny do pięknej opowieści o staraniach niepodległościowych”, napisał Pan.

Naprawdę, nie ma nic gorszego w tym kontekście niż dumny patos.

Nie ma w Polsce komu robić takiej komunikacji.

Ale nie brakuje ludzi, którzy to potrafią objaśnić, choć rzeczywiście chyba żaden z polityków obozu rządzącego nie jest dostatecznie utalentowany, by umieć skorzystać z ich rad.

Co to znaczy, że prezes PiS zniknął na trzy tygodnie i objawił się dopiero podczas wyprawy do Kijowa? Ponoć żyjemy w „czasie Kaczyńskiego”.

Ja nie żyję.

Cytowałem tytuł książki Roberta Krasowskiego.

Wie pan, pisałem „Miejski grunt” także po to, żeby pokazać, że ślad, jaki pozostaje po politykach z pierwszych stron gazet, jest mniejszy, niż myślimy. „Czas Kaczyńskiego” jest nazwą tego, co się dzieje w przestrzeni medialno-politycznej i co zatruwa życie państwa. Ale oprócz legendy 500 plus i kilkunastu pomników niewiele z niego zostanie. Rola przywódcza prezesa PiS, jako kogoś, kto może wskazać sensowny kierunek i do czegoś przekonać, skończyła się pewnie z tymi nieprawdopodobnymi wezwaniami do obrony kościołów. A jego zmysł strategiczny skompromitował się w próbie zablokowania koncesji dla TVN, w tworzeniu koalicji z Orbánem czy Le Pen. Byłoby dla nas lepiej, żeby partia rządząca miała innego lidera.

Martwi mnie ten brak przywództwa.

Skoro za tę wojnę przyjdzie nam zapłacić np. drogą benzyną i słabym złotym, skoro boimy się, że Zachód się zmęczy sankcjami (a może tak naprawdę w cichości boimy się o nasze własne zmęczenie?), to chciałbym mieć poczucie, że przynajmniej rządzący wiedzą, co robią.

To trzeba powiedzieć mocno: konto strat spowodowanych przez wojnę zostało otwarte, ale jak i kiedy zostanie zamknięte, tego nie wiemy. Będziemy musieli zrezygnować z mnóstwa rzeczy. ➔

REKLAMA



Antonio Damasio

BŁĄD KARTEZJUSZA

www.ccpres.pl

10^{lat} Copernicus Center PRESS

→ Kawalkiem scenariusza, w który gra Putin, jest z pewnością ten, w którym migracje z Ukrainy zadziałają na Europę co najmniej tak, jak migracje z Syrii, i że zdestabilizują sytuację w krajach wschodniej flanki NATO. Prowokacje, działalność rosyjskiej piątej kolumny – tu się można spodziewać wszystkiego.

Dlatego ma pan się o co martwić. Powtarzam: Polska potrzebuje sprawnych komunikatorów, którzy skonstruują antyputinowski przekaz, ale bez ciągłego mówienia o Putinie; którzy raczej odwołają się do wartości, jakie są mu obce, i wykreują ten rodzaj społecznej mobilizacji, jakiego on najbardziej nie chce. Możliwie pozytywny i pozbawiony wewnętrznego zacietrzewienia. Patrząc z realizmem, ale nie z fatalizmem. Przygotowujący na pomoc kolejnym grupom uchodźców. Świadomy, że w obliczu zewnętrznego zagrożenia spory wewnątrzpolskie i wewnątrzunijne powinny rzeczywiście osłabnąć.

Zastanawiam się, czy użyć tego porównania, ale żeby zbudować Polskie Państwo Podziemne i struktury rządu na uchodźstwie, konieczna była gruntowna zmiana elit. Niewielu polityków sanacyjnych się ostało.

Nawet jeśli takich polityków nie ma...
...może są gdzieś w drugim szeregu...

...to przynajmniej program, jaki Pan dla nich tworzy, brzmi optymistycznie. Dotąd mi się wydawało, że w warunkach wojny jesteśmy skazani na odejście od myślenia w kategoriach otwartości i rozwoju na rzecz bezpieczeństwa i tradycji.

Co do optymizmu: przecież my nie odbywamy rozmowy prognostycznej. Możliwość reagowania na kryzys polega na szukaniu sensu oporu, a nie na dywagowaniu, kiedy wojna się skończy i ja-



JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

RAFAŁ MATYJA jest politologiem, wykładowcą Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, stałym współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego”. Ostatnio opublikował: „Wyjście awaryjne. O zmianie wyobraźni politycznej” i „Miejski grunt. 250 lat polskiej gry z nowoczesnością”.

kim wynikiem. To też wydaje mi się element putinowskiego scenariusza: bierny Zachód obgryza paznokcie patrząc na straszne zdjęcia, a im bardziej patrzy, tym bardziej się boi i tym mniej ma w sobie praktycznej solidarności i gotowości do adekwatnych reakcji na prowokacje.

Czyli angażując się w pomoc uchodźcom odzyskujemy poczucie sprawczości? Nie jesteśmy już tak bezradni w obliczu wojny i cierpienia?

Nie lubię mówienia, że toczymy wojnę, bo jej nie toczymy. Polacy nie giną, na nasze miasta nie spadają bomby, nie boimy się o krewnych na froncie. Ale prowadzimy pewną batalię, w której ważny jest stan dobrej mobilizacji. Mediom też trzeba powiedzieć: roztkliwianie nas, dręczenie obrazami nieszczęść sześć razy dziennie może działać destrukcyjnie. A wzmacnianie podziałów jest dziś zbrodnią. Kluczem są dwie rzeczy: zrozu-

mienie celów wojny psychologicznej Putina z Europą i odpowiedź manifestująca jedność Zachodu oraz naszą jedność. No i przygotowanie się na napływ kolejnych bardzo dużych grup uchodźców.

Nie odbywamy rozmowy prognostycznej, ale trudno nie myśleć o tym, jak się zmieni polska scena polityczna po przyjeździe ponad miliona przybyszów z Ukrainy.

Oj, panie redaktorze, przecież to jest tak, jakbym pana teraz zapytał o wpływ wojny na rozgrywki Ligi Mistrzów czy tabelę ligi angielskiej. Naprawdę, nie ten moment.

Chodzi mi o proste sprawy, choćby o prawa wyborcze ludzi, którzy tu zamieszkają.

Powinno się ich potraktować tak, jak mieszkających tu obywateli państw UE. Nie powinniśmy tworzyć ustawodawstwa, które nadawałoby im jakąś specjalną rolę. Nie powinniśmy też systemowo ich polonizować. Powinni mieć prawo uczestnictwa w wyborach lokalnych, co jest zresztą europejskim standardem. Jeśli ktoś mieszka we Wrocławiu, jest w nim zameldowany, powinien mieć prawo współdecydowania o jego sprawach. Wybory ogólnokrajowe są jednak czymś zupełnie innym i rozumieć, dlaczego ustawodawcy mogą tu być ostrożniejsi – także w interesie państwa ukraińskiego, do którego uchodźcy przecież powinni wrócić po zakończeniu wojny.

W „Wyjściu awaryjnym” coś by Pan teraz zmienił?

Nie chcę, żeby to zabrzmiało jak „a nie mówiłem”, ale pisałem w tej książce, że nie możemy mieć przekonania, iż państwu nic się nie stanie, a szczytem naszych sporów zawsze będą te o okładki kolorowych tygodników. Pewien poziom narodowej spójności jest fundamentalnie ważny. Nie mówimy o kiczu pojednania, tylko o tym, że elity muszą umieć kooperować, bez ostentacji, ale i bez wyzywania się od zdrajców. Dziś sensem naszego oporu jest przyjęcie uchodźców, zorganizowanie się jako społeczeństwo, które nie daje się skłócić Putinowi i którego solidarność jest elementem solidarności całej wspólnoty zachodniej. Może poza tym koniem trojańskim z Budapesztu.

© Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

Przed Sądem Rejonowym w Kamiennej Górze toczy się pod sygn. akt I Ns 291/20 postępowanie z wniosku Mariusza Kraszewskiego o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości zabudowanej o powierzchni 4,68 ha, położonej w Jawiszowie 47, gmina Kamienna Góra, województwo dolnośląskie, dla której nie jest prowadzona księga wieczysta. Jako ostatni właściciel tej nieruchomości wpisany jest w rejestrze gruntów Edward Mróz.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili swoje prawa do wyżej opisanej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie może zostać stwierdzone zasiedzenie nieruchomości przez posiadacza rzeczy, tj. Mariusza Kraszewskiego.



OMAR MARQUES / GETTY IMAGES

Dzieci z Ukrainy w tymczasowym przedszkolu, które powstało w dawnym centrum handlowym. Kraków, 16 marca 2022 r.

Małe dzieci z wielką traumą

MAŁGORZATA NOCŃ

Czy można było przygotować polskie żłobki, przedszkola i szkoły na przyjęcie tysięcy ukraińskich dzieci? Nie. Ale dawno temu można było opracować jasną politykę wobec imigrantów. Wiele by nam to dziś ułatwiło.

W POLSCE BRAKUJE PRAWA REGULUjącego integrację ludzi przybywających do naszego kraju. Dotyczy to zarówno uchodźców zmuszonych do ucieczki przed wojną i prześladowaniami, jak też imigrantów ekonomicznych. Fakt ten jest szczególnie bolesny dzisiaj, gdy stajemy przed wyzwaniem zapewnienia opieki tysiącom ukraińskich dzieci i młodzieży w polskich placówkach oświatowych.

Rozwiązania słuszne, ale...

W 2019 r. rząd PiS przedstawił na konferencji prasowej założenia nowej polityki migracyjnej. Projekt szybko trafił jednak do kosza. Prof. Konrad Pędziwiatr z Centrum Zaawansowanych Badań Ludności-

wych i Religijnych Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie mówi, że był on ksenofobiczny. – Nie waham się nawet użyć sformułowania: głupi – dodaje.

PiS obawiał się wtedy przybyś z Bliższego Wschodu, więc politykę migracyjną utożsamiał z wyznaniową. W jej myśl „zintegrowany cudzoziemiec” miał „rozumieć i wyznawać wartości kulturowane w Polsce”. Więcej: „przyjmować je jako własne i odrzucać wartości zagrażające spójności społecznej i powszechnemu bezpieczeństwu”. Restrykcyjnego prawa ostatecznie nie uchwalono, ale w efekcie nie mamy dziś żadnego zbioru zasad, który pomógłby nam w dniach, gdy do szkół i przedszkoli zgłaszają się tysiące ukraińskich matek z dziećmi.

Przy braku rozwiązań ogólnych wszystko odbywa się spontanicznie, a inicjatywę przejmują samorządy lokalne w miastach i na wsiach oraz organizacje pozarządowe. Jak poinformował 16 marca minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek, 54 tys. uchodźców wojennych uczy się już w polskich placówkach i wciąż przyjmowani są kolejni. Młodzi Ukraińcy trafiają do tworzonych właśnie oddziałów przygotowawczych dla dzieci nieznających języka polskiego, a ci władający polskim dołączają do funkcjonujących już klas. Powstaną także osobne klasy ukraińskie, w których kształcenia podejmą się nauczycielki z Ukrainy.

By sprostać temu wyzwaniu, trzeba zmierzyć się z brakami kadrowymi. To dlatego do powrotu do szkół są namawiani emeryci oraz renciści, a także pedagodzy przebywający na urloпах dla poratowania zdrowia. – Te rozwiązania są przemyślane i słuszne – mówi Marek Wójcik, pełnomocnik zarządu Związku Miast Polskich i zarazem ekspert ds. legistycznych. – Ale podczas ich wprowadzania napotykamy wiele problemów.

Skąd wziąć pieniądze

Co bowiem zrobić, kiedy w jednym oddziale przygotowawczym znajdą się siedmiolatkowie i piętnastolatkowie? To przecież uczniowie posiadający wiedzę na diametralnie różnych poziomach, w dodatku znajdujący się na innym

→ etapie rozwoju emocjonalnego. Dostosowanie programu nauczania i pomocy dydaktycznych dla tak szerokiej grupy jest w zasadzie niemożliwe. Wyzwaniem jest też adaptacja ukraińskiego systemu edukacji. Wystarczy wspomnieć, że w kraju nad Dnieprem szkoła podstawowa ma dziewięć klas.

Wśród nauczycieli zapewne znajdzie się wielu gotowych na pracę w większym wymiarze godzin. Nie wiadomo jednak, czy zostaną za to godnie wynagrodzeni. Problemem jest również to, że już dziś, bez dodatkowych obowiązków, wielu nauczycieli zabiera pracę do domu (sprawdzanie klasówek, przygotowanie materiałów dydaktycznych) i nie wiadomo, ilu z nich faktycznie gotowych jest na kolejne obciążenia. Są raczej przerażeni wyzwaniami, które z dnia na dzień się przed nimi stawia. Np. skąd w ogóle wziąć zaplecze dla wielkiej fali nowych uczniów: sale lekcyjne, ławki, krzesła?

Wójcik: – Próbowaliśmy przekonać MEN, aby bez zbędnych formalności, np. czekania na pozytywną opinię kuratorium, przenosić uczniów, do których mają dołączyć ukraińscy koledzy, ze szkół mniejszych do większych, których metraż pozostaje niewykorzystany. Niestety, ministerstwo się nie zgodziło. Wyrażono obawę, że „pod płaszczykiem pomocy uchodźcom” może dochodzić do likwidowania małych szkół. To absurdalny argument.

Problemem jest także system finansowania. Szkoły mają otrzymywać dodatkową subwencję, wyliczaną według dotychczasowych zasad. Konkretną kwotę przypadającą na dziecko określa się w widelkach. Zależy ona m.in. od tego, czy dziecko zna język polski, czy też będzie się go uczyć w oddziale przygotowaw-

czym. Dotacja jest odpowiednio wyższa, kiedy uczeń wymaga nauczyciela wspomagającego. Nie są natomiast znane żadne zasady dotowania przedszkoli. – Wciąż negocjujemy z MEN. Wsparcie powinno wynieść miesięcznie ok. 800 zł na dziecko – uważa Wójcik.

Wśród przybywających do Polski uchodźców są też dzieci z niepełnosprawnościami (fizycznymi i intelektualnymi). Ulokowanie ich w odpowiednich placówkach specjalnych i integracyjnych (gdzie limit miejsc jest mniejszy i potrzebna jest dodatkowa kadra) również stanowi ogromne wyzwanie. Ten temat – do tej pory – nie jest w ogóle dyskutowany.

Lepiej w dużych miastach

Z obecną sytuacją lepiej radzą sobie miasta, w których samorządy i organizacje pozarządowe już na długo przed wojną stykały się z ukraińską imigracją i reagowały na potrzeby tego środowiska. W Krakowie, Wrocławiu, Gdańsku i Warszawie od wielu lat realizowano polsko-ukraińskie projekty edukacyjne i kulturalne. Wrocław powołał nawet pełnomocniczkę prezydenta miasta ds. osób pochodzenia ukraińskiego. Działają tam również ukraińskie klasy. Z kolei w Krakowie uruchomiono program „Otwarty Kraków”, którego celem jest integracja imigrantów z lokalną społecznością. Szkoły zatrudniły asystentów wielokulturowych i już w 2021 r. zorganizowały oddziały przygotowawcze. Podobne inicjatywy podejmowała też Warszawa i Gdańsk, gdzie Europejskie Centrum Solidarności od wielu lat realizuje projekty we współpracy z Ukrainą.

To wszystko dziś procentuje. W ostatnich dwóch tygodniach do gdańskich przedszkoli i szkół sprawnie przyjęto po-

nad 600 ukraińskich dzieci, co oznacza, że ich matki mogą wykorzystać wolny czas choćby na szukanie pracy. Powstały też cztery punkty informacyjne, w których można uzyskać adresy placówek oświatowych posiadających wolne miejsca. W tym samym czasie Kraków zarejestrował wnioski o utworzenie 31 oddziałów przygotowawczych w 18 szkołach, a do samorządowych szkół i przedszkoli przyjęto 2200 dzieci, na których czeka 140 pedagogów znających język ukraiński i rosyjski. Miasto dysponuje także trzystoma nauczycielami wykwalifikowanymi w nauczaniu polskiego jako języka obcego – będą oni szczególnie pomocni w procesie kształcenia ukraińskich nauczycieli.

Niestety: nawet najlepsze przygotowanie na niewiele się zda, kiedy brakuje dobrej woli. Miasto Kraków wyraziło np. wolę, by limit uczniów w klasach licealnych zwiększyć z 28 do 37 osób. Jednak Barbara Nowak, małopolska kurator oświaty, nie wyraża zgody na to posunięcie. Dyrektorzy szkół rozkładają ręce. Ten problem można rozwiązać tylko na poziomie ministerialnym.

W dużych miastach pomoc uchodźcom świadczą nie tylko szkoły publiczne. Inicjatywę podjęły też placówki społeczne. Opłatę za naukę w nich uiszcza częściowo państwo, resztę pokrywają stypendia ufundowane przez rodziców polskich dzieci i darczyńców, którzy już dziś w niektórych placówkach przygotowują małym Ukraińcom wyprawki (tornistry, podręczniki, zeszyty). Iwo Wroński, dyrektor Zespołu Szkół Społecznych w Krakowie, wylicza: – Do naszych placówek przyjęliśmy 37 uczniów w wieku przedszkolnym i szkolnym. Zatrudniliśmy pięć ukraińskich nauczycielek.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Literatura latynoamerykańska jest kobietą

LEKJCJE CZYTANIA Z INSTYTUTEM CERVANTESA

Zapraszamy na spotkanie poświęcone powieści „Archiwum zagubionych dzieci”

VALERII LUISELLI. Lekcję poprowadzi reporter „Tygodnika Powszechnego” Marcin Żyła.

Spotkanie odbędzie się online w **czwartek 31 marca o godz. 12.00** na profilu [f / LekcjeCzytania](#).

Współorganizatorami wydarzenia są Fundacja Tygodnika Powszechnego i Instytut Cervantesa w Krakowie.



MARCIN WICHA DLA „TP”

Uchodźcy trafiają nie tylko do dużych miast. Kobiety z dziećmi docierają także do miasteczek i na wieś, gdzie przed wojną pracowali ich mężowie. To niestety często branża rolnicza, hodowla zwierząt czy ogrodnictwo, w której wielu pracowników zatrudnianych jest na czarno, bez umowy. Kolejną trudnością jest fakt, że w małych społecznościach nie stworzyły się silne środowiska ukraińskie, mogące nieść sobie nawzajem pomoc, nie doszło również do integracji z autochtonami. Bywa też, że imigranci żyją w skromnych, a czasem uwłaczających godności warunkach, nie znają języka, nie posiadają świadczeń socjalnych i nie bardzo wiedzą, jak radzić sobie w urzędach. To może być poważny problem przy zapewnieniu kobietom pracy, a dzieciom kształcenia, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że wiejskie placówki oświatowe są małe, a braki kadrowe bardziej odczuwalne. – Niestety, w stosunku do Ukraińców pokutowało przez lata fałszywe przekonanie, że „oni integrują się sami”, bo są „tak do nas podobni” – mówi prof. Pędziwiatr.

W efekcie bój o sprawną opiekę i integrację matek z dziećmi spada dziś w większości nie na barki państwa, ale na odpowiedzialność inicjatywy, tworzone *ad hoc* przez straż pożarną, miejscowych przedsiębiorców, kółka gospodyń wiejskich. To musi się zmienić.

Żeby wojna już się skończyła

Szkoły stoją przed jeszcze jednym wyzwaniem, o którym w tej chwili mało się mówi. Zajmą się uczniami z rodzin dotkniętych wojenną traumą i syndromem stresu pourazowego. Jednym z takich dzieci jest czternastoletnia Dasza, wrażliwa dziewczynka, która stała się opiekunką swojej mamy. Dasza tydzień prześiedziała z rodzicami w piwnicy bombardowanego Chersonia, zanim udało im się uciec. Tata został walczyć w mieście. Z Daszą została mama, cierpiąca na zaniki pamięci. Bez pomocy córki nie jest w stanie z nikim się spotkać i dopełnić żadnych urzędowych formalności.

Z kolei Kola, siedmioletni chłopczyk, kilka dni temu dotarł pod opieką babci z Charkowa do Krakowa. Dziecko nie rozumie, dlaczego wybuchła wojna. Prosi, „żeby już się skończyła”. Wciąż powtarza, że chce do domu. W końcu poirytowana babcia krzyczy: „Kola, ale domu już nie ma”. Malec schyla głowę, płacze.

Obecność ukraińskich uczniów w klasach zmienia także nasze dzieci.

Niektóre po raz pierwszy słyszą słowa: rozstrzelać, zbombardować.

Trzeci przykład. Matka kilkuletniej dziewczynki znalazła tymczasowe mieszkanie. Jej córeczka pójdzie za kilka dni do przedszkola. Obie są przerażone. Dziecko nie rozumie, gdzie się znalazło i dlaczego, wciąż boi się, że ktoś je zastrzeli. Milczy, chowa się, ucieka. A jego mama nie panuje nad stresem. Rozdrapuje twarz do krwi.

Takich dzieci będą w polskich szkołach tysiące i zupełnie nie wiadomo, czy znajdą profesjonalną pomoc psychologiczną w sytuacji, w której podczas pandemii nie było szans na terapię w publicznych placówkach dla polskich dzieci, poranionych wieloma miesiącami izolacji. Rodzice szukali wtedy pomocy w prywatnych gabinetach, ale nawet tam, mimo kosztownych wizyt, nie było łatwo o terminy.

Obecność w szkołach ukraińskich dzieci z ich strasznymi doświadczeniami zmienia również świat naszych uczniów. Przedszkolaki i uczniowie niższych klas nagle słyszą o wojnie, która stała się czymś realnym oraz krwawym i nie jest już elementem świata filmów lub gier. Niektóre zaczęły się już w tę wojnę bawić, i to ze wszystkimi jej okrucieństwami, jak np. budowa z klocków Lego mobilnego krematorium i spalanie w nim ciał zabitych na froncie Rosjan. Szkoły muszą szybko reagować na takie doniesienia i zadbać, by naszym dzieciom umiejętnie i z empatią opowiedzieć o toczącej się na Ukrainie wojnie oraz wyjaśnić, jaki jest los uchodźców. W tym samym czasie dzieci ukraińskie bezwzględnie powinny otrzymać pomoc psychologiczną. Tej na razie brakuje. Pojawiają się jednak oddolne inicjatywy. W sieci można znaleźć ogłoszenia ukraińsko- i rosyjskojęzycznych psychologów oraz psychiatrów.

Specjaliści świadczący pomoc uchodźcom (ale też wolontariuszom) mówią, że bomby – w symboliczny sposób – spadają na nas wszystkich. Dzieci ukraińskie są dogłębnie zranione, a nasze nie tylko słuchają, ale też czują ich emocje oraz lęk. Niektóre po raz pierwszy spo-

tykają się z takimi pojęciami jak: zabić, rozstrzelać, zbombardować. One także potrzebują wsparcia.

Zapewnienie pomocy psychologicznej wymaga nie tylko dużych nakładów finansowych, ale także znalezienia odpowiednich specjalistów. Nie każdy psycholog ma kwalifikacje, by pracować z najmłodszymi i nie każdy zajmuje się zagadnieniem traumy wojennej. Przykładowo Miasto Kraków, zdając sobie sprawę, że w jednej klasie uczą się dzieci ze skonfliktowanych narodowości (Ukraińcy, Rosjanie i Białorusini), uruchomiło specjalny telefon zaufania w poradniach psychologiczno-pedagogicznych. Ale to stanowczo za mało.

Zadbać o korzenie

Uchodźcy wojenni budzą dziś w większości z nas współczucie oraz chęć pomocy. Z czasem ten zapał częściowo się wyczerpie, a w naszym społeczeństwie mogą pojawić się negatywne opinie na temat Ukraińców, jeśli będą konkurować o te same miejsca pracy z Polakami i korzystać z tych samych programów społecznych. Nietrudno też wyobrazić sobie podziały między uczniami i wykorzystywanie do generowania konfliktów np. rzezi wołyńskiej. Aby adaptacja ukraińskich dzieci i młodzieży przebiegła pomyślnie, polskie państwo ma ogromną pracę do wykonania. Przede wszystkim jednak musi ustalić zbiór zasad, na których opierać się będzie integracja uchodźców. Prof. Pędziwiatr: – Dokument ramowy powinien wyznaczać ogólne warunki polityki migracyjnej na ok. 5-10 lat. Kłopot w tym, że miał go opracować Departament Analiz i Polityki Migracyjnej, który został w ubiegłym roku rozwiązany.

Ustalenie jasnych reguł ma ogromne znaczenie zarówno dla Ukraińców, jak i dla Polaków. Setki tysięcy, a może miliony ludzi zechcą pozostać u nas na stałe, być może przyjąć obywatelstwo. Dla innych pobyt w Polsce będzie tylko przystankiem: bo zechcą wrócić na Ukrainę natychmiast po zakończeniu wojny lub pojadą dalej na Zachód. Na pewno jednak wielu z nas będzie żyć i wychowywać dzieci: obok siebie, a może razem z sobą. Zrozumienie własnych korzeni, wspólnej i zarazem trudnej historii, różnic kulturowych i wyznaniowych – może się okazać najważniejszym wyzwaniem dla obu narodów. Ale tego nie da się już uregulować prawnie.

© MAŁGORZATA NOCŮN

Nie będzie pracy dla każdego

PIOTR WÓJCIK

Setki tysięcy ukraińskich uchodźców, przeważnie kobiet, pozostanie u nas na lata. Polski rynek pracy jest na to zupełnie nieprzygotowany.

REKORDOWO NISKIE BEZROBOCIE ORAZ stale rozwijająca się gospodarka sprawiły, że przed wybuchem wojny w Ukrainie zatraciliśmy poczucie rzeczywistości. W rezultacie pojawiły się nawet tak absurdalne głosy, by likwidować powiatowe urzędy pracy; to tak, jakby z uwagi na okresowo niższą przestępczość zamykać komendy policji, a z powodu małej liczby pożarów – jednostki straży pożarnej. Niestety, za fałszywe przekonanie o nieustającej koniunkturze gospodarczej przyjdzie nam teraz słono zapłacić. I nawet jeśli uznamy, że trudno nie popełniać błędów w obliczu milionów uchodźców, to byłoby nam dużo łatwiej, gdybyśmy wcześniej nie zapomnieli o zasadzie, że w dobrych czasach należy przygotowywać się na okresy dużo gorsze.

Według danych UNHCR w Polsce są już ponad dwa miliony uchodźców z Ukrainy. Nie wszyscy jednak zostaną nad Wisłą, spora część trafi na Zachód dzięki unijnej dyrektywie o tymczasowej ochronie osób uciekających przed wojną w Ukrainie. – Szacujemy, że z aktualnej liczby uchodźców jedna trzecia wyjedzie z Polski do innych krajów Unii Europejskiej, USA lub Kanady. W Polsce zostanie 1,3-1,4 mln – twierdzi dr Marcin Kędzierski z Centrum Polityk Publicznych Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Ta liczba znacznie wzrośnie, jeśli wojna trwać będzie kolejne tygodnie, a brutalność Rosjan w atakowaniu obiektów cywilnych oraz infrastruktury gospodarczej ulegnie dalszej eskalacji.



Uchodźcy z Ukrainy w kolejce po PESEL. Kraków, 16 marca 2022 r.

Praca jest, ale dla mężczyzn

Obecna migracja do Polski jest bardzo specyficzna. W związku z powszechną mobilizacją z Ukrainy nie mogą wyjechać mężczyźni w wieku 18-60 lat. Polską granicę przekraczają głównie kobiety, seniorzy oraz dzieci i młodzież. – Nie mamy dokładnych danych, jednak można założyć, że co najmniej połowa to osoby w wieku produkcyjnym, potencjalni pracownicy – szacuje dr Kędzierski. Jeśli kryzys uchodźczy potrwa kolejne tygodnie, liczba potencjalnych kandydatów (a właściwie kandydatek) do pracy w Polsce może wzrosnąć o kolejne setki tysięcy.

Zapewne część z nich zdecyduje się na powrót do kraju, gdy tylko nad Dnieprem ucichną działa i przestaną spadać rosyjskie bomby. Na razie jednak – jak podkreśla Andrzej Kubisiak, zastępca dyrektora Polskiego Instytutu Ekonomicznego – za wcześnie na wiarygodne szacunki.

– Doświadczenia innych kryzysów uchodźczych każą sądzić, że będziemy świadkami masowych powrotów do Ukrainy po ustaniu działań wojennych. Nie wiemy jednak zupełnie, kiedy ten moment nastąpi – zaznacza Kubisiak.

Realny jest jednak inny scenariusz, w którym setki tysięcy (a może ponad milion) uchodźców pozostanie w Polsce na lata, bo nie będą mieli do czego wracać z uwagi na zdewastowane domy mieszkalne oraz zrujnowane firmy, w których pracowali. Na dodatek, z powodu dramatycznego spadku kursu hrywny dochody w Ukrainie będą bardzo niskie, prawdopodobnie najniższe w Europie. Według Kubisiaka wszystko to może skłaniać uchodźców do związania na długi czas swych losów z Polską.

Szczęściem w nieszczęściu jest to, że kryzys uchodźczy pojawił się w czasach doskonałej koniunktury na rynku pracy.



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

do pracy i potrzebujących jej do przeżycia. – Nie ma żadnej możliwości, żeby wszyscy znaleźli zatrudnienie – dr Kędzierski nie ma złudzeń. Zaznacza jednak, że wciąż nie wiemy, jak duża część z nich będzie w ogóle szukać pracy (nie podejmą jej matki małych dzieci, dla których zabraknie miejsc w przedszkolach). Skala wyzwania będzie jednak olbrzymia.

Dostępne nad Wisłą miejsca pracy nie odpowiadają specyfiką przybywającym do Polski obywatelom Ukrainy. – Możemy mieć do czynienia z dużym niedopasowaniem strukturalnym. Najwięcej wakatów, niemal połowa wszystkich, jest w trzech sektorach gospodarki: przemyśle, budownictwie i logistyce. Są to sektory preferujące zatrudnianie mężczyzn, którzy w obecnej fali migracji mają bardzo niewielki udział – mówi Andrzej Kubisiak. Oczywiście w polskich zakładach przemysłowych oraz magazynach pracuje obecnie wiele kobiet, także z Ukrainy, gdyż dzięki postępującej automatyzacji praca w fabrykach oraz centrach logistycznych jest znacznie mniej wymagająca fizycznie niż dwie dekady temu. Równocześnie jednak w tych trzech sektorach zatrudnienie wymaga specyficznych kompetencji technicznych, chociażby prawa jazdy kategorii D, których uchodźczynie najczęściej nie mają. Poza tym trudno założyć, by Ukrainki chciały jeździć ciężarówkami po Europie, zostawiając swe dzieci w obcym kraju. Nie każde wolne miejsce pracy będzie więc dla nich odpowiednie.

Skalę niedopasowania pogłębi fakt, że z powodu wojny do Ukrainy wraca bardzo wielu zatrudnionych w Polsce mężczyzn, którzy zaciągają się do tamtejszego wojska lub obrony terytorialnej, by walczyć z rosyjską inwazją. Według ukraińskiej staży granicznej, do ojczyzny podczas wojny powróciło już łącznie 215 tys. Ukraińców. Nie ma dokładnych danych, jak duża część z nich mieszkała i pracowała w Polsce, ale według Andrzeja Kubisiaka jest to prawdopodobnie kilkadziesiąt tysięcy osób. Mężczyźni z Ukrainy znajdują zatrudnienie przede wszystkim w logistyce, przemyśle i budownictwie. Tylko w tej ostatniej branży przed wojną pracowało aż 373 tys. Ukraińców. Wojna spowoduje więc w tych trzech kluczowych dla polskiej gospodarki sektorach wzrost liczby wakatów, których nie będzie można w prosty sposób zastąpić uchodźczyniami.

Potencjalne szanse

Istnieją jednak branże, dla których dzisiejsza wojenna imigracja jest szansą na rozwój Polski i zarazem na pomoc tysiącom Ukrainek. – Kluczowe będzie stworzenie warunków pracy dla ukraińskich kobiet w handlu, to czwarta pod względem liczby wakatów branża. Liczyć się będą też usługi, szczególnie hotelarsko-gastronomiczne, a także edukacja i opieka zdrowotna – wskazuje Kubisiak.

Niewątpliwie Ukrainki bez większych problemów znajdą pracę w handlu detalicznym, w którym zresztą masowo pracują. Największe sieci sklepów przygotowały już oferty w języku ukraińskim, skierowane właśnie do nich. Problem w tym, że handel może obecnie zapewnić pracę 15-20 tys. osób. Z kolei w branży hotelarsko-gastronomicznej istnieją kolejne 3-4 tys. wakatów. To segment gospodarki mocno sponiewierany przez pandemię, jednak można oczekiwać, że w nadchodzącym czasie powinien zacząć odrabiać covidowe straty i zwiększać zatrudnienie.

W specustawie o pomocy dla uchodźców z Ukrainy znalazły się też zapisy o uproszczonej procedurze zatrudniania lekarzy i pielęgniarek. Na okres 18 miesięcy będzie można wydać zgodę na wykonywanie zawodu lekarza lub dentysty każdemu obywatelowi Ukrainy, który uzyskał dyplom w swoim kraju lub innym spoza UE. Zatrudniający Ukraińca podmiot leczniczy będzie musiał jedynie zgłosić ten fakt w ciągu 7 dni do Ministerstwa Zdrowia. Dokładnie te same uprawnienia przyznano także obywatelkom Ukrainy dysponującym dyplomem zawodu pielęgniarki lub położnej.

To oczywiście bardzo dobry ruch w sytuacji, w której uchodźcy uzyskali prawo do bezpłatnych świadczeń medycznych w Polsce. Rezultatem tej decyzji będzie bowiem przeciążenie już i tak pokiereszowanej przez pandemię i wieloletnie zaniedbania ochrony zdrowia – więc każda pomoc ze strony wykwalifikowanych uchodźców ma znaczenie. Co prawda w całym segmencie „ochrona zdrowia i pomoc społeczna” jest obecnie niecałe 10 tys. wakatów i trudno liczyć, że uproszczona procedura zatrudniania pracowników rozładuje napięcia na rynku pracy – jednak może znacznie odciążyć ochronę zdrowia. Ma to również znaczenie dla naszego stosunku do Ukraińców. Im dłuższe będą kolejki do lekarzy, tym więcej osób będzie obwiniać za nie przybyszy →

– W styczniu, tuż przed wybuchem wojny, stopa bezrobocia w Polsce według danych Eurostatu wynosiła 2,8 proc., co było najniższym wynikiem we współczesnej historii naszego kraju. To sygnał, że polski rynek pracy jest chłonny. Przed inwazją rosyjską na Ukrainę był wręcz rozgrzany, a firmy narzekały na deficyty kadrowe – zauważa Kubisiak.

Pod koniec ubiegłego roku według danych GUS liczba wakatów w całym kraju wyniosła niecałe 140 tys. – Możemy założyć, że ten szacunek jest zaniżony, bo są to dane raportowane przez firmy, a sam proces sprawozdawczości nie zachęca do wykazywania wszystkich potencjalnych wolnych miejsc pracy – zaznacza ekspert PIE.

Jeśli faktyczna liczba wakatów jest wyższa i wynosi np. 200 tys., to nadal nie jest ona nawet zbliżona do liczby napływających do Polski uchodźców zdolnych

→ ze Wschodu. Ale im więcej będzie tam zatrudnionych ukraińskich pielęgniarek i lekarzy, tym te napięcia będą słabsze.

Analizy rynku pracy wskazują, że obecnie może on zapewnić zatrudnienie kilkudziesięciu tysiącom uchodźczyń z Ukrainy. Tymczasem pracy będzie szukać co najmniej kilka razy więcej. A czasu jest niewiele, gdyż rząd zakłada, że uchodźcy usamodzielnia się w ciągu 60 dni. Na taki właśnie okres przewidziana jest rządowa dotacja dla firm i osób przyjmujących obywateli Ukrainy. Otrzymają one 1200 zł za osobę miesięcznie (40 zł na dzień), na podstawie umowy z gminą zawieranej na maksymalnie dwa miesiące. Sami uchodźcy otrzymają jedynie 300 zł na start oraz dostęp do świadczeń społecznych, takich jak Rodzina 500 plus czy kapitał rodzicielski. Jeśli w ciągu tych 60 dni nie znajdą pracy oraz mieszkania ani nie będą mogli wrócić do ojczyzny, pojawi się ogromny problem społeczny w postaci co najmniej kilkuset tysięcy nowych bezrobotnych, o ile rząd nie przedłuży czasu obowiązywania programu.

Bez państwa się nie obejdzie

W obliczu prawdopodobnego kryzysu społecznego istotną rolę powinny odegrać powiatowe urzędy pracy, pośredniczące między pracodawcami i bezrobotnymi oraz zapewniające szkolenia niezbędne do nabycia przydatnych kompetencji. – Kluczowa będzie tutaj próba bezpośredniego dotarcia do osób zainteresowanych – zauważa Kubisiak. Chodzi o politykę, która stosowana jest z powodzeniem przez kraje nordyckie i polega na świadomym kształtowaniu rynku pracy pod kątem rzeczywistych potrzeb gospodarki. Niestety w Polsce ona praktycznie nie istnieje. Na politykę rynku pracy wydajemy ledwie 0,5 proc. PKB, czyli prawie najmniej w OECD.

– Instytucje promocji zatrudnienia działają w sposób pozorowany, nie są przystosowane do aktywności wśród ob-

Najwięcej wolnych miejsc pracy jest w polskim przemyśle i budownictwie.

Są to sektory preferujące mężczyzn, którzy w obecnej fali ukraińskiej migracji mają niewielki udział.

cokrajowców, gdyż nie mają nawet kompetencji językowych – wyjaśnia dr Kędzierski. W efekcie dotychczasowe zatrudnianie osób z Filipin lub Nepalu odbywało się bez pośrednictwa państwowych instytucji. Uchodźczynie z Ukrainy w urzędzie pracy będą mogły się co prawda zarejestrować jako osoby bezrobotne na podstawie specustawy, ale trudno uwierzyć, że znajdą tam aktywną pomoc w zatrudnieniu.

Klub parlamentarny Lewicy zwraca uwagę na kolejny problem i postuluje wzmocnienie Państwowej Inspekcji Pracy. – Nie chcemy, aby osoby uciekające przed wojną stały się ofiarami wyzysku, a może się tak stać z powodu nieznajomości przepisów polskiego prawa pracy – wskazywała na konferencji prasowej w Sejmie Paulina Piechna-Więckiewicz. Lewica postuluje przede wszystkim znaczne zwiększenie budżetu PIP, który jest dziś niższy niż budżet IPN, choć monitoruje warunki pracy milionów Polaków.

Uchodźcy z Ukrainy nie znają przepisów o płacy minimalnej, więc będą wystawieni na ryzyko wyzysku przez nieuczciwych pracodawców. To z kolei może wywołać pogorszenie sytuacji obywateli Polski, gdyż powstanie „rynek pracodawcy”. Przy większej liczbie kandydatów na to samo miejsce szef wybierze tych z mniejszymi oczekiwaniami finansowymi. Ryzyko braku kontroli nad możliwymi patologiami zauważa także

Marcin Kędzierski. – W przypadku inspekcji pracy sytuacja będzie dramatyczna, gdyż jest ona niedofinansowana. Pojawienie się wielu naruszeń prawa pracy będzie wymagało od PIP szczególnej uwagi, tymczasem ona nie ma do tego odpowiednich zasobów – wskazuje. Według Kędzierskiego niezbędne będzie chociażby stworzenie kanałów komunikacji, którymi ukraińscy pracownicy zgłaszałyby do PIP przypadki naruszenia przepisów. W pierwszej kolejności należałoby jednak przeprowadzić akcję informacyjną, która uświadomiłaby uchodźców w temacie praw pracowniczych, jakie przysługują w Polsce.

Kluczowa dla naszego państwa nie będzie jednak obsługa uchodźców w urzędach oraz ochrona ich praw, ale to, jak polskie państwo da sobie radę z kreowaniem nowych miejsc zatrudnienia. – Konieczne będzie stworzenie sektora usług społecznych, w którym uchodźcy mogliby pracować i nabywać poczucie podmiotowości. Chodzi o miejsca pracy, które obecnie nie istnieją, czyli na przykład w sektorze usług opiekuńczych – proponuje Kędzierski.

Opieka nad osobami starszymi w Polsce leży odłogiem, tymczasem Ukraińki mogłyby się zajmować seniorami i otrzymywać za to pieniądze z budżetu państwa lub gmin. Samorządy mogłyby również tworzyć lokalne centra zatrudnienia, zapewniające pracę uchodźcom w tych obszarach, które w danej gminie są zaniedbane. Dzięki temu uchodźczynie zyskiwałyby własny dochód i finansowo stawały na nogi. Oczywiście w tym celu państwo powinno zapewnić im finansowanie – na przykład z uruchomionego na mocy specustawy funduszu pomocowego, którego operatorem jest Bank Gospodarstwa Krajowego.

Jeśli chcemy uniknąć dodatkowych kilkuset tysięcy bezrobotnych w Polsce, państwo musi zająć się polityką rynku pracy na poważnie. I to natychmiast.

© PIOTR WÓJCIK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Serwisy specjalne: patrz szerzej

GOSPODARKA TRZESZCZY

Wojna, waluty i inflacja: co nas czeka?

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/GOSPODARKA

DOROTA

Masłowska:

Katastrofy



OD RANA COŚ NIE TAK. CZAS JAK SWE-
ter wełniany wyprany przypad-
kiem w pralce – nagle za długi i za
krótki jednocześnie. I tonę w nim,
i nie mogę się dopiąć; tramwaje
onirycznie rozpiezają się i osta-
tecznie muszą jechać boltem. Gdy czekam na auto,
szczękając zębami z zimna na ciepłym, wiosennym
słońcu, czuję, że jest jakoś dziwnie, że mną albo ze
wszystkim. U podnóża mojej kamienicy mała ukraińska
staruszka okutana chustą, jej kuma w ja-
kimś trykocie wychyla się do niej przez okienko, pod-
parta na łokciach. Szepczą, szemrzą, pytlują. Wyglą-
dają jak przeklejona tu niezgrabnie stopklatka z Para-
dżanowa. Brakuje płotu, kota, garczka ze skwarka-
mi, brzoźki. Plakat, na którym długo niezręcznym an-
gielskim wzywano Angelę Merkel do zrekompenso-
wania Polsce strat z tytułu II wojny światowej, zdjęto.
Może głupio tak teraz. Zamiast tego pojawiła się dla
odmiany wielka rozśpiewana radośnie japa Jana Pie-
trzaka.

Od czasu wybuchu pokojowej misji rosyjskiej na
Ukrainie mija prawie miesiąc. Niezbędne działania de-
nazyfikacyjne Rosjan zdominowały przekaz informa-
cyjny, skutecznie przysłaniając inne palące problemy.
Te jednak, zgromadzone teraz w niechłujnych kop-
cach poza kadrem, wcale nie potrzebują naszej uwagi,
by się palić. Więcej – brak uwagi zdaje się podsycać ich
beztroski płomień. Inflacja, podwyżki stóp, pył znad
Sahary, wiosna. Brak cukru i dronów w sklepach. Pan-
demia.

„Gdzie jest niby pandemia?” – pyta mnie niespodzie-
wanie po polsku Mohammed, kiedy jedziemy przez
puste, słoneczne, poranne miasto. Widząc w telefonie
jego imię, nastawiałam się na niemy kwadrans dwóch
bardzo obcych sobie istot, na chwilę wtłoczonych do
jednego samochodu przez bezduszną aplikację. Ale on
mówi płynnym, choć intuicyjnym polskim, pod któ-
rym czuć smykałkę retoryczną. „Wojna się zaczęła, ale
pandemia się nie skończyła. Co, nie ma? A trzy szcze-
pionki w moim ramieniu to co? Gdzie jest nagle pan-

demia?”. Wzdycham coś fatycznie, grzecznościowo
pokasłując. Tak jakby sam covid, ten niedowartościo-
wany ostatnio atencjusz, odpowiadał mu: „Tu jestem!
Tu jestem! A kuku!”.

Jeszcze nie zdaję sobie sprawy, że moi już się
w moim ciele i umyśle. Drapie w gardle i zasnuwa
mózg charakterystyczną mgiełką, jakby rozstawiał
swoje dekoracje, swoje sztalugi. Mój chłopak wrócił
niedawno ze Lwowa wioząc dwie ukraińskie babcie,
niezaszczone, choć całą drogę dzielnie maceru-
jące dłonie w plastikowych rękawiczkach do maca-
nia chleba. „Może to TO?” – spytałam, gdy po powro-
cie musiał się położyć i już nie za bardzo mógł wstać.
„Nie no, co ty” – biorąc pod uwagę jego gorączkę, odpo-
wiedź ta była wyjątkowo kategorię, zdroworozsąd-
kowa i ucinająca wszelkie spekulacje. W każdym razie
mnie to przekonało. W kadrze mieści się jedna kata-
strofa naraz, proste. Jednak sprawy toczą się szybko.
Również moje ciało zaczyna trawić chaotyczny, niemo-
gący się zdecydować, gdzie właściwie boleć, ból. Prawie
rozkoszny bezwład, zimno i gorączka, i to specyficzne
odrealnienie przypominające chwile, gdy mama nocą
budzi, sadza na łóżku, żeby o jakiejś abstrakcyjnej go-
dzinie podać antybiotyk. Widzę sprężynującą na łyżce
bladuróżową zawieszinę o smaku truskawkowej trutki
na szczury i słyszę płaczące się po głowie piękne, tok-
syczne jakby imię mającej odwiedzić mnie księżniczki:
Amoksycylina.

To jednak w 1988. W 2022 sama sadzam się na łóżku
i resztką sił karaskam do apteki po test. Dwie kreski
krzyczą z niego od pierwszej kropli roztworu wysą-
czonego z pipety, ale wciąż mrugam z niedowierza-
niem oczami. Przecież jest wojna. Z drugiej strony to
już nie takie operowe chorowanie, jak kiedyś; to tech-
niczne czekanie na koniec infekcji. Popijając parace-
tamolowe zajzajery, leżę z telefonem, śledząc rejestry
bombardowań i ostrzeliwań, przeciągam je z pustego
w próżne, oddzielam zdjęcia spalonych bloków od
czołgów, zmarłych od rannych. Na ekranie wprost za
nimi – niby konwój z pomocą humanitarną – suną po-
rady psychologów, jak radzić sobie ze złymi wiadomo-
ściami. Za nimi – trochę zażenowane sobą zachęty do
kąpieli i medytacji, plotki, rośliny, meble i dekoracje
ogrodowe. Wreszcie zawstydzone, ale idące w zaparte
– pierwsze propozycje wiosennych stylizacji. Wojna,
pandemia, ale też wiosna i wietrzenie szaf. I tak będą
musiały te katastrofy współdzielić nasze ekrany, na-
sze życia. Niekompatybilne, nieprzeliczalne jedna na
drugą. Nieposiadające wspólnej jednostki, a jednak
w jakiś sposób sumujące się. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego
nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

CHWIEJNY EKSPERYMENT

Już nie wszystkie drogi prowadzą do Rzymu.
Dokąd zawiedzie Kościół
niemiecka Droga Synodalna?

MASSIMO FAGGIOLI

JESTEŚMY W POŁOWIE PODRÓŻY SYNODALNEJ, w którą zabiera nas papież Franciszek. Przynajmniej chronologicznie, bo zaplanowano ją na lata 2021-23. To od ponad pół wieku najśmielsza próba wskrzeszenia wiernej intuicji soboru kultury zarządzania i etyki przynależności do Kościoła.

Nie chodzi tylko o reformę. Wszak *Ecclesia semper reformanda*. Chodzi również o danie Kościołowi szansy na przetrwanie „wieku gniewu”, by posłużyć się terminem indyjskiego intelektualisty Pankaja Mishry („The Age of Anger”, 2017), który co prawda odnosił się do historii zglobalizowanego świata, ale z powodzeniem można go zastosować do szczególnego momentu, w jakim znalazła się wspólnota katolicka. Synodalność jest przedstawiana jako rozwinięcie planów Soboru Watykańskiego II w kwestii eklezjologii (lud Boży, kolegalność, powszechne powołanie do świętości, misja Kościoła), ale musi się zrealizować w całkiem innych warunkach historycznych. Kto tego nie widzi, żyje w ułudzie.

Teologowie i historycy zaczęli dyskutować o synodalności już w latach 90. XX wieku. Franciszek odkrył ją na nowo w latach 2014-15, zwracając ku niej uwagę Kościoła. Realizację tematu przyspieszył w drugiej fazie swego pontyfikatu: proces synodalny zaczął się w Rzymie w październiku 2021 r. i w tym mie-

ście powinien się zakończyć, w październiku 2023 r.

Kościół i synod

Rok 2022 jest więc centralnym momentem celebrowania procesu synodalnego w Kościołach lokalnych, których głosy zebrane zostaną na poziomie krajowym i przekazane do sekretariatu w Watykanie – tam zostaną opracowane i przygotowane do dyskusji plenarnej na uroczystym zgromadzeniu Synodu Biskupów.

Nie jest jeszcze jasne, czy i w jakim stopniu forma obrad „synodu o synodalności” i skład posiedzenia plenarnego będzie różnić się od poprzednich synodów, gdzie prawo do głosowania mieli jedynie biskupi i niektórzy księża, przy symbolicznym udziale świeckich, zwłaszcza kobiet. Podsekretarzem synodu została s. Nathalie Becquart, francuska teolożka, a na ekspertów powołano wielu szanowanych i kompetentnych teologów, także spoza rzymskiego świata. To zachęcające, ale poczekajmy na wyniki.

Proces się zaczął, w Kościołach różnych krajów na wszystkich kontynentach trwa, choć jest na różnych etapach. Kościół w USA – tak biskupi, jak świeccy – jest zaskoczony, a nawet zdezorientowany podjęciem tematu synodalności: to jedna z konsekwencji poważnej przerwy w recepcji Soboru Watykańskiego II w tym kraju w ostatnich dwudziestu lub



trzydziestu latach, która sytuuje go w kulturze typowo przedsoborowej.

W Australii obraduje Rada Plenarna (Plenary Council), która powstała, zanim jeszcze Franciszek zaczął globalny proces synodalny – jest jedną z twórczych reakcji Kościoła na skandal wykorzystywania seksualnego nieletnich, badany przez komisję rządu federalnego w latach 2013-17.

Ameryka Łacińska celebrowała zgromadzenie przedstawicieli wszystkich Kościołów już w listopadzie 2021 r. w Meksyku. Na tym kontynencie kultura synodalna cieszy się większą spójnością biskupów, teologów i świeckich niż w Ameryce Północnej, czerpie też obficie z dziedzictwa Soboru Watykańskiego II, którego odbiór był mniej problematyczny niż w USA.

Wpływ na przebieg procesu synodalnego mają też warunki zewnętrzne, choćby sytuacje kryzysowe, które dotykają katolików – różne w różnych krajach. Kościoły w Afryce i Azji są pod tym względem mocno zróżnicowane – tak między sobą, jak i wewnątrz. To samo



VATICAN MEDIA / AFP / EAST NEWS

Papież Franciszek przemawia do biskupów w dniu otwarcia synodu. Watykan, 9 października 2021 r.

zresztą można powiedzieć o Kościołach w Europie, gdzie w jednych krajach procesy synodalne są w toku, w innych dopiero w początkowej fazie, trudnej i niepewnej, jak we Włoszech (mimo nieustannych zachęt papieża kierowanych do włoskich biskupów).

Wezwanie do zmian

Bardzo szczególnym przypadkiem w Europie jest Kościół niemiecki. „Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu”, mówi przysłowie, jednak w drugim tysiącleciu, nawet jeszcze przed reformacją protestancką, napięcie między Rzymem a Niemcami zmieniło ten kierunek. Rzadko się zdarza, by wydarzenia w Niemczech nie wpływały na inne Kościoły. Teraz też jesteśmy w takim kluczowym momencie.

Trzecie posiedzenie Drogi Synodalnej, rozpoczęte w 2019 r. przez Konferencję Episkopatu Niemiec i Centralny Komitet Niemieckich Katolików (ZdK), odbyło się we Frankfurcie w pierwszym tygodniu lutego. Pierwsze odbyło się online po-

nad rok temu (4-5 lutego 2021 r.), drugie od 30 września do 2 października 2021 r. Z pięciu zaplanowanych zgromadzeń kolejne, czwarte, odbędzie się we Frankfurcie we wrześniu tego roku.

Niedawne posiedzenie plenarne Drogi Synodalnej było momentem przełomowym w historii całego procesu synodalnego papieża Franciszka, a być może także w historii współczesnego Kościoła. Bliższe 230 delegatów – świeckich i duchownych – dyskutowało i głosowało nad tekstami wypracowanymi przez cztery fora robocze (poświęcone władzy w Kościele, współczesnemu modelowi kapłaństwa, kobietom i ich posłuszeństwu, moralności seksualnej w nauczaniu Kościoła). W sumie powstało czterdzieści tekstów, część z nich (w tym dokumenty o fundamentalnym znaczeniu) przeszła przez „drugie czytanie” i została przyjęta w głosowaniu. Uzyskały aprobatę ponad dwóch trzecich wszystkich delegatów (od 74 do 92 proc.), w tym dwóch trzecich biskupów, choć wśród biskupów ta większość nie była aż tak znacząca. Biskupi nie tylko głosowali

na „tak” – niektórzy z nich mieli też odważne wystąpienia na rzecz zmian, także w sferze doktrynalnej. Gdyby w podobny sposób mówili, gdy byli księżmi, nie zostaliby nigdy biskupami.

Dokumenty zatwierdzone w drugim czytaniu wzywają do większej przejrzystości w sprawowaniu władzy w Kościele, a także do stworzenia świeckiego organu decyzyjnego, który przedstawiałby Watykanowi listę kandydatów na biskupów. Robiłby to wspólnie z diecezjalną kapitułą katedralną, która miała takie prawo w niemieckiej tradycji, poważnie ograniczone przez Watykan w ostatnich dziesięcioleciach. Natomiast teksty zatwierdzone w pierwszym czytaniu dotyczą m.in. doktrynalnego przemyslenia kwestii homoseksualizmu, wzywają do błogosławienia w kościołach wszystkich par (w tym osób rozwiedzionych i żyjących w nowych związkach, a także par tej samej płci). Opowiadają się za zmianami w Katechizmie Kościoła Katolickiego – rozwinięciem idei „miłości małżeńskiej” i rewizją nauczania o antykoncepcji. ➔

→ Apelują o dopuszczenie – przez papieża lub przyszły sobór – żonatych księży do posługi w Kościele rzymskokatolickim i o refleksję na temat dostępu wszystkich (mężczyzn i kobiet) do posługi święceń (kapłaństwa i diakonatu). Są też prośby do papieża o zgodę na zawieranie małżeństw dla pełniących posługę księży katolickich (ten tekst został zatwierdzony przez 86 proc. delegatów).

Jeśli te dokumenty zostaną zatwierdzone pod koniec synodu narodowego, z pewnością wpłyną na globalny „proces synodalny” zainicjowany przez Franciszka, który zakończy się posiedzeniem plenarnym w Rzymie, w październiku 2023 r. Nie znaczy to jeszcze, że zostaną automatycznie przyjęte przez Kościół w Niemczech, ale trudno wyobrazić sobie przyszłość katolicyzmu w tym kraju bez przynajmniej częściowej reformy w zgodzie z postulatami Synodaler Weg.

Osobna niemiecka droga

Struktura niemieckiej Drogi Synodalnej mówi wiele nie tylko o wyjątkowości katolicyzmu w tym kraju, ale także o tym, jak bardzo on się zmienił i jak jeszcze może się zmienić. Przewodniczącą Drogi Synodalnej (a jednocześnie przewodniczącą Centralnego Komitetu Katolików Niemieckich) jest kobieta, dr Irme Stetter-Karp, socjolog z dużym doświadczeniem w kierowaniu katolickimi organizacjami charytatywnymi. Wiceprzewodniczącymi są biskup Franz-Josef Bode z Osnabrück i teolog akademicki Thomas Söding, badacz Nowego Testamentu.

Dr Stetter-Karp powiedziała: „Oczekuję, że biskupi zrealizują to, co papież Franciszek rozpoczął u początku swojego pontyfikatu: znajdą rozwiązania zdecentralizowane, a tym samym utworzą drogę dla potężnej przyszłości Kościoła w Niemczech”. Dodała też: „Jako komitet katolików niemieckich jesteśmy zdania, że Kościół powszechny nie powinien rozwiązywać problemów, o które dbać należy na poziomie lokalnym. Musimy działać tutaj. Nikt nie może nam tego zadania odebrać. Nawet papież”.

Droga Synodalna jest wyjątkowa, ponieważ należy ją także traktować jako reakcję na bardzo szczególną sytuację w Niemczech w okresie posoborowym. Chodzi, po pierwsze, o rozbieżne trajektorie pomiędzy postępowym lokalnym Kościołem (niemieccy biskupi, teologowie i katolicy świeccy) a Watykanem, zwłaszcza

Papież jest dziś ostrożniejszy niż na początku pontyfikatu.

Dlatego niemiecka Droga Synodalna stanowi dla niego problem.

Ale jeszcze wszystko może się zdarzyć.

za Jana Pawła II. Po drugie – o afery seksualne, o których zaczęto mówić głośno po 2010 r. za pontyfikatu Benedykta XVI. Po trzecie – o niedawny list niemieckiego papieża z przeprosinami, w odpowiedzi na publikację wyników pracy komisji, badającej nadużycia w diecezji monachijskiej (gdzie Ratzinger był arcybiskupem w latach 1977-1982), który zirytował znaczną część katolików niemieckich lub co najmniej ich nie zadowolił. Po czwarte – o publiczne demonstracje katolików, szczególnie w ostatnich dwóch latach, na rzecz zmiany nauczania Kościoła w kwestiach homoseksualizmu (z akcją błogosławienia par jedнопłciowych w maju 2021 r. i coming outem 120 księży i pracowników kościelnych w styczniu 2022 r.).

Wielu postępowych katolików w Niemczech jest coraz bardziej krytycznych wobec pontyfikatu Franciszka, choćby ze względu na jego politykę personalną (pozostawił na urzędzie biskupów Kolonii, Hamburga czy Monachium, którzy popełnili poważne błędy w prowadzeniu spraw o nadużycia seksualne księży – w innych krajach był w takich przypadkach surowszy). Niemiecki katolicyzm miał w nieodległej przeszłości przywódców, którzy potrafili utrzymać większą jedność z Rzymem – jak choćby kard. Karl Lehmann (1936-2018). Dziś trudno znaleźć biskupów z taką charyzmą, w dodatku sytuacja jest dużo bardziej skomplikowana.

Na sytuację Kościoła katolickiego w Niemczech ma również wpływ polityka. Poprzednia kanclerz Angela Merkel przywiązywała dużą wagę do publicznej roli Kościoła, czego nie można powiedzieć o jej następcach. Dwanaście lat temu interwencja Merkel zapobiegła zresztą eskalacji napięć po ujawnieniu nadużyć seksualnych. Obecny rząd, kierowany przez so-

cjaldemokratę Olafa Scholza (który przed laty opuścił Kościół luterński) w koalicji z liberałami (FDP) i Zielonymi, traktuje Kościół katolicki w Niemczech jak sierotę po chadecji CDU/CSU. Kryzys nadużyć seksualnych służy postulatom rozdziału niemieckiego Kościoła od państwa, co z finansowego punktu widzenia miałyby katastrofalne skutki dla kierowanej przez biskupów instytucji.

Jest w języku niemieckim słowo *Sonderweg* (osobna droga), które odnosi się do historycznego poglądu, że Niemcy podążają odrębnym kursem, innym niż pozostałe kraje europejskie. *Sonderweg* i trwająca w Kościele Synodaler Weg (Droga Synodalna) mają ze sobą więcej wspólnego niż tylko jedno słowo. Ktoś powie, że katolicyzm amerykański też jest na swój sposób szczególny i odmienny, choćby od włoskiego, ale w USA nie znajdziemy inicjatywy tak zjednoczonej i obdarzonej instytucjonalną legitymacją, jak w Niemczech.

Synod niemiecki jest szczególnie dlatego, że wytycza specjalną ścieżkę dla omawiania i zatwierdzania propozycji, które same w sobie nawet nie muszą być szczególne, jako że weszły już do powszechnej świadomości wielu współczesnych katolików (widać to choćby w raportach krajowych komisji śledczych w sprawach nadużyć, opublikowanych w ostatnich latach w Australii, Niemczech czy Francji). Niemiecki synod jedynie wyraża to, co wielu katolików (w tym niektórzy biskupi i kardynałowie, tacy jak kard. Jean-Claude Hollerich, jezuita, przewodniczący Komisji Konferencji Episkopatów Unii Europejskiej, mianowany przez Franciszka na kluczowe stanowisko „sprawozdawcy generalnego” synodu w 2023 r.) od dawna myślało, a teraz zaczęło mówić publicznie. I robi to z większą legitymacją społeczną i jasnością teologiczną.

Reakcja Rzymu

Dystans pomiędzy Rzymem a Niemcami jest wyraźny, jeśli spojrzeć na to, co w kwestiach poruszanych na Synodaler Weg mówił i robił Watykan – nie tylko za Jana Pawła II i Benedykta XVI, ale także za Franciszka. Papież Bergoglio mógłby z niemieckimi propozycjami zrobić to samo, co z ustaleniami Synodu Amazońskiego z 2019 r. (dużo bardziej ostrożnymi w porównaniu do niemieckich). Niespełna rok po jego zakończeniu opublikował adhor-

tację „Querida Amazonia”, nie odnosząc się w ogóle do reform proponowanych przez synod. Odrzucił ustalenia biskupów, twierdząc, że były owocem „dyskusji uzasadnionej, ale przeprowadzonej bez rozeznania”, przez synod, który stał się „cennym, wydajnym, a nawet koniecznym parlamentem, ale niczym więcej”. (Niewiele głosów krytyki podniosło się w Ameryce Łacińskiej po takim osądzie).

Watykan może jeszcze zainterweniować wobec Niemiec, nawet podczas obrad plenarnych synodu w październiku 2023 r., które zakończą globalny „proces synodalny”. Może to zrobić nawet nie angażując w interwencję bezpośrednio papieża. Bo niemiecka i rzymska droga będą musiały się skrzyżować.

Od 2019 r. Watykan wysyłał do Niemiec niejasne, ale pełne zaniepokojenia sygnały: ostatnio (17-19 lutego) przy okazji sympozjum na temat kapłaństwa, zorganizowanego przez kard. Marca Ouelleta i jego Kongregację ds. Biskupów, a opartego na zasadniczo przedsoborowej teologii tego sakramentu i posługi. Swoją drogą przypomina to sytuację z 1998 r., gdy na postulat szerszego dialogu międzyreligijnego, postawiony przez synod nadzwyczajny w sprawie Azji, Kongregacja Nauki Wiary odpowiedziała deklaracją „Dominus Iesus” (w 2000 r.). To, co wydarzyło się ponad dwadzieścia lat temu, może powtórzyć się i teraz w kwestii kapłańskiej posługi w Kościele.

Do tej pory Franciszek zachowywał się ambiwalentnie wobec kwestii synodalnych, tak co do metod przeprowadzenia

procesu, jak i omawianych tematów, pozostawiając zaangażowanym siłom i podmiotom pełną swobodę działań. Ale synod niemiecki jest bezpośrednim wyzwaniem dla emocji, z jakimi papież podchodzi do „procesu synodalnego”. Po pierwsze, przyjmuje odmienną metodę – według Franciszka powinna ona opierać się na rozeznaniu, czyli wyraźnie odróżniać się od parlamentarnych mechanizmów głosowania, typowych dla niemieckich zgromadzeń (jak również wszystkich synodów i soborów w dotychczasowej historii Kościoła). Po drugie, zajmuje go inna treść: synod niemiecki w zupełnie odmienny sposób podchodzi do reformy Kościoła. Franciszek podkreśla duchowy aspekt momentu synodalnego, czyli duszpasterską troskę o lud Boży, bez zmiany prawa i doktryny, zwłaszcza w kwestii kobiet i posługi sakramentalnej.

Natomiast synod niemiecki jest wyrazem kultury opartej na teologii akademickiej i instytucjonalnych systemach reprezentacji świeckich. Reprezentuje ją szczerze i bez zbędnej klerykalnej dyplomacji. Ma korzenie w Vaticanum II, ale nie wyraża obaw o kompatybilność wiary z nowoczesnością. Reprezentuje postępową teologię, która w Niemczech, w przeciwieństwie do liberalnego nurtu w katolicyzmie amerykańskim, nie potrzebuje oparcia w „lewicowym” podejściu do spraw społecznych i ekonomicznych, jakie cechuje Franciszka. Jest to kultura teologiczna, z którą Jorge Mario Bergoglio zetknął się krótko w 1986 r., właśnie w Niemczech.

Być może ten wyczuwalny dystans pomiędzy Franciszkiem a niemieckim synodem sprawił, że wewnętrzny front tradycjonalistyczny (kardynałowie Müller, Burke, Sarah) zaczął się ostatnio wycofywać, jakby ufając, że sam papież położy w końcu kres pytaniom, które docierają do Rzymu z drugiej strony Alp. Nie należy zapominać, że po rozpoczęciu procesu synodalnego, w październiku 2021 r., Franciszek niewiele się nim zajmował – nawet gdy miał po temu okazję (choćby mówiąc do biskupów i księży o ich odpowiedzialności).

Franciszek z 2022 r. niewiele przypomina papieża z lat 2014-2015 – jest na przykład ostrożniejszy w kwestii kościelnej reformy. Pierwsze lata pontyfikatu, aż po rok 2019, to szybka i odważna faza dekonstrukcji – symbolicznej – katolicyzmu neokonserwatywnego i neotradycjonalistycznego. Ale po niej nie przyszła faza rekonstrukcji – teologicznej i instytucjonalnej. Być może Franciszek nie widzi w tej chwili takiej możliwości. Ale w końcu to pontyfikat niespodzianek. Może więc będziemy świadkami jeszcze jednej, największej, która doprowadzi łożdź synodalnego procesu do zamierzonego portu.

© MASSIMO FAGGIOLI

Przetłumaczył EDWARD AUGUSTYN

Autor (ur. 1970) jest profesorem Uniwersytetu Villanova (Filadelfia, USA), wykładowcą historii Kościoła i teologii historycznej, publicystą, autorem artykułów i książek nt. Soboru Watykańskiego II.

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ
CZAS!

● **TRÓJMIASTO**, czwartek 24 marca
Spotkanie z Imigrantkami z Ukrainy,
„W nowym domu” / hybrydowe /

● **BIELSKO-BIAŁA**, sobota 26 marca
Spotkanie z Łukaszem Garbalem
– autorem książki o Wedlach / stacjonarne /

● **GLIWICE**, piątek 25 marca
Spotkanie z Łukaszem Garbalem,
„Wedlowie – nie tylko słodczyce”
/ stacjonarne /

● **RZESZÓW**, poniedziałek 28 marca
Spotkanie z Konradem Fijołkiem i Dominikiem
Porczyńskim, „Kultura, którą chcemy,
kultura, którą mamy” / stacjonarne /



więcej na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



Namioty Caritasu na placu Jana Nowaka Jeziorańskiego w Krakowie. 14 marca 2022 r.

Niech nie wie lewica...

TEKST I ZDJĘCIA: JACEK TARAN

To szansa na przebudzenie Kościoła, wyrwanie z marazmu. I Kościół tę szansę wykorzystuje – mówi siostra Małgorzata Chmielewska.

BOH DAN NASYPANYI JEST GRECKO-katolickim klerykiem. Razem z żoną i córką mieszka w klasztorze Augustianów przy kościele św. Katarzyny w Krakowie. Pochodzi z wioski Koniuchy położonej na zachód od Tarnopola. Do Polski przyjechał na studia doktoranckie w krakowskim Uniwersytecie Papieskim. Jako student i żonaty kleryk pracował dorywczo, żeby zarobić na utrzymanie rodziny. Gdy tylko wybuchła wojna, rzucił dodatkowe zajęcia, by cały wolny czas poświęcić organizowaniu pomocy dla Ukrainy. – Studiuję tutaj, ale nie mogę przecież nie angażo-

wać się w to, co dzieje się w moim kraju – mówi.

Wśród swoich licznych znajomych rozsianych po całym świecie prowadzi zbiórki pieniędzy. Potem kupuje sprzęt dla ukraińskiej obrony terytorialnej. – Wysłałem już kilkanaście termowizorów, krótkofalówki. Trudniej jest z kamizelkami kuloodpornymi. Bardzo ważne są też opaski uciskowe, osobiste apteczki i wszelkie akcesoria militarne.

Pokazuje zdjęcia sprzętów, które wysłał: – Patrz, dziesięć krótkofalówek, sześć termowizorów. Jeden taki termowizor kosztuje ponad siedem tysięcy złotych.

To tylko kilka sztuk, ale są bardzo potrzebne.

Ze wzruszeniem opowiada o jednym z darczyńców, który wsparł zbiórkę niezwykle dużą kwotą. – Postanowiłem, że pojadę do niego do Warszawy i osobiście mu podziękuję. Chcę spojrzeć mu w oczy, chcę zobaczyć jego twarz, zapamiętać.

Bohdan uważa, że wspólnie tworzymy nową historię naszych relacji – przecież wiemy, że to sąsiedztwo było trudne. Piszemy nowy rozdział otwartych, braterskich społeczeństw, wymazujemy wszystko to, co było złe między nami.

Pomaga znaleźć mieszkania ludziom, którzy przyjeżdżają z Ukrainy. – Znam już wielu księży w Polsce. Dzwonię więc i pytam, czy mogą przyjąć kogoś na plebanię albo do klasztoru. Dwie rodziny, trzy rodziny, ile potrzeba. Nie spotkałem się jeszcze z odmową. Tuż obok są siostry augustianki. Pomogły mi bardzo, kiedy szukałem miejsc dla kobiet z dziećmi. Dały schronienie i od razu przedszkole, szkołę, ale nie chcą o tym mówić.

Milczenie na temat udzielanej pomocy sprawia, że pojawiają się głosy o małym zaangażowaniu Kościoła. Siostra Małgorzata Chmielewska: – Trudno mi się zgodzić z zarzutami, że Kościół nic nie robi. Robi bardzo dużo. Wiele zakonów czy zgromadzeń pomaga w ciszy, w milczeniu. Nie chcą się tym chwalić. To nie jest tak, że parafie kierują ludzi tylko do domów parafian. Uchodźcy znajdują też schronienie w plebaniach, w domach katechetycznych. Proboszczowie, którzy to robią, nie piszą o tym co chwilę na Facebooku, nie mają na to czasu.

Kłamstwa Putina

Uchodźcy z Ukrainy znajdują też pomoc w murach seminarium Towarzystwa Salezjańskiego w Krakowie. Osoby potrzebujące trafiają tu poprzez salezjański wolontariat misyjny. Koordynatorem pomocy jest ks. Marcin Wosiek. Oprowdza mnie po budynku, pokazuje sypialnie gości z Ukrainy, stołówkę, salę zabaw dla dzieci. Garaże zaadaptowane zostały na magazyny ciągle napływających darów. Na tablicach ogłoszeń rozwieszone informacje w języku ukraińskim – godziny posiłków, odpoczynku, aktywności dla dzieci. Oprócz kameralnych pokoi na kilka łóżek przygotowano też duże sale na kilkanaście miejsc.

Naszą rozmowę co chwilę przerywa telefon. Dzwoni ktoś z Żytomierza, z Bóbrki, Kijowa. Płyną informacje o potrzebach, o zmierzających do Polski ludziach. Pomoc świadczona przez salezjanów

w dużej mierze opiera się na sieci kontaktów na Ukrainie. – To się teraz bardzo sprawdza – mówi ks. Marcin. – Pomagamy w organizacji transportu z lekami, pomagamy dotrzeć uciekinierom do Polski, organizujemy noclegi. Możemy tutaj przyjąć jednorazowo ponad sześćdziesiąt osób.

Ci, którzy zatrzymują się u salezjanów, zwykle ruszają w dalszą drogę. Tak jak Diana Tonakanian, która gorączkowo odlicza godziny do wylotu do Włoch. Urodziła się w Armenii, ale od 28 lat mieszka w małym Wyszogrodzie na przedmieściach Kijowa. Jest stomatologiem.

– Miałam prywatny gabinet, pacjentów i piękne życie, które 24 lutego zmieniło się w koszmar. Gdy rozległy się pierwsze wybuchy, pojechaliśmy z siostrą i jej dziećmi do rodziców – opowiada Diana. – Pięć dni spędziliśmy w piwnicy, baliśmy się wychodzić. Cały czas w ubraniach, w brudzie i kurzu. Trzeciego marca postanowiliśmy wyjechać. Znajomi pomogli nam dostać się do Lwowa. Podróż trwała trzy dni, co chwilę staliśmy w korku. Ale na każdym kroku pomagali nam ludzie. We Lwowie, potem w Zamościu. Byłam przejęta tym, że tyle pomocy otrzymaliśmy w Polsce. Noclegi, jedzenie, ubrania; wszystko za darmo. Za nic nie musieliśmy płacić. Wczoraj zachorowało dziecko mojej siostry. Księża zawieźli nas do lekarza, mogłam zapłacić, ale nikt nie chciał ode mnie pieniędzy. To jest cudowne, jestem bardzo wdzięczna.

Jadę do Włoch, mam ze sobą swój dyplom lekarski.

Diana nie traci nadziei, że wróci szczęśliwie na Ukrainę. – Wierzę w to, że wygramy, że nastanie dzień zwycięstwa. Będziemy świętować, będziemy stroić swoje miasta. Nie wskresimy tych, co zginęli, ale dla nas ważna będzie wtedy przyszłość. Wygramy. Pochodzę z Armenii, ale w Kijowie nigdy przez 28 lat nie spotkało mnie z tego powodu nic złego. Studiowałam, występowałam na konferencjach naukowych. Nikt mi nie powiedział: „Jesteś Ormianką, tobie nie wolno”. To kłamstwo, co mówi Putin, że Ukraina to kraj rasistowski, nazistowski. To wolny kraj, każdy może tutaj żyć i pracować. Rosja okłamała też swoich żołnierzy. Te dzieciaki giną nie wiadomo za co. Nasi giną za ojczyznę, za naszą ziemię, a tamci? Co Putin powie ich matkom, żonom?

Ludzie z Wołynia

Większość krakowskich domów zakonnych przyjęło gości z Ukrainy. Jednymi z pierwszych były siostry albertynki. W ich krakowskim Domu Generalnym schronienie znalazło ponad sześćdziesiąt osób. Kilka mam z dziećmi trafiło też do podkrakowskiego klasztoru Benedyktynek w Staniątkach. Mieszkania dla ofiar wojny znalazły się też m.in. u franciszkanów i dominikanów w Krakowie. O. Maciej Soszyński OP opowiada: – Potrzebne było podjęcie szybkich decyzji. Pierwsze rodziny



Diana bezpieczny przystanek w czasie ucieczki z Ukrainy do Włoch znalazła w seminarium księży salezjanów. Kraków, 10 marca 2022 r.



Ks. Bohdan Nasypany organizuje pomoc dla ukraińskiej obrony terytorialnej. Kraków, 16 marca 2022 r.

→ przyjęliśmy 28 lutego. Na początku przygotowaliśmy dwadzieścia miejsc, zgłosiliśmy je do bazy Caritasu. Od tego momentu właściwie przestaliśmy pannać nad tym kontaktem. Dzwonili do nas wolontariusze nie tylko z Caritasu, ale też z dworca i bezpośrednio z granicy. Dziś jesteśmy w stanie przyjmując jednorazowo ponad sześćdziesiąt osób. Warto podkreślić zaangażowanie braci studentów: to oni niosą cały trud opieki nad tymi ludźmi. Oni też budują relacje z uchodźcami. Jeżdżą z nimi na zakupy czy do lekarza.

Osoby, które otrzymały schronienie u dominikanów, zajmują pokoje gościnne braci. Do dyspozycji uchodźców przekazano też cztery lokale mieszkalne w kamienicach poza klasztorem. – Nie wiemy, czy nasi goście będą chcieli tam zostać na stałe, ale przypuszczamy, że tak może być. Jedna z pań znalazła pracę, dla jej dzieci znaleźliśmy szkołę. Zareagowaliśmy najszybciej jak to możliwe, ale miałem poczucie, że i tak straciliśmy cztery dni. Były one potrzebne na przemodelowanie naszej organizacji. Miejsca, które mieliśmy na zewnątrz, wymagały adaptacji: dwa z tych mieszkań były wcześniej pomieszczeniami biurowymi – tłumaczy o. Soszyński.

W sytuacji, w której znaleźliśmy się wszyscy, dominikanin dostrzega wymiar społeczny i teologiczny: – To najpiękniejszy proces budowania wspólnoty, jaki można sobie wyobrazić. Mieliśmy tu dziesięcioosobową rodzinę z Wołynia. Bardzo nam pomogli przy remoncie i wyposażeniu mieszkań. Dostrzegaliśmy w tym symboliczne pojednanie i zasypywanie historycznych podziałów. To, co się dzieje, to żywa Ewangelia.

Gdzie jest Kościół

Drzwi domów samotnej matki Wspólnoty Chleb Życia otworzyła też s. Małgorzata Chmielewska. – Sytuacja, której jesteśmy uczestnikami, to ogromna szansa na przebudzenie Kościoła, wyrwanie z marazmu, i jestem przekonana, że Kościół tę szansę wykorzystuje – mówi. – Zżymam się strasznie, kiedy widzę w internecie pytania: „a gdzie jest Kościół?”. Kościół to my wszyscy, to ludzie. W domach, które prowadzi nasza wspólnota, błyskawicznie zorganizowaliśmy tymczasowe miejsca pobytu dla kobiet z Ukra-

iny. W Krakowie, Warszawie, Brwinowie. Przez te miejsca bezustannie prze-wija się kilkadziesiąt osób.

Siostra Małgorzata angażuje też do pomocy bezdomnych, którzy mieszkają w prowadzonych przez nią placówkach. – Ci, którzy są sprawni, pomagają przy urządzaniu pomieszczeń, skracając łóżka. Dla nich to też są wyrzeczenia, bo jest zamieszanie, szum, ciasnota. Muszą się dzielić przestrzenią, ale to, że teraz stali się pomocni, potrzebni, ma duże znaczenie dla budowania ich poczucia własnej wartości.

Siostra Chmielewska podkreśla, że ważna jest również współpraca z samorządami i organizacjami pozarządowymi. – Nie można przy tym wybierać, komu pomagamy, a komu nie, czy wybrzydząć: z tą organizacją współpracujemy, a z tą nie, bo to ateści – zastrzega. – Wspomogliśmy Fundację Serce Miasta, która zajęła się tymi uciekinierami, których nikt nie chciał wziąć do siebie. Chodzi tu głównie o osoby z poważnymi dysfunkcjami. Zorganizowaliśmy też transport dla kobiety, która przeszła w Polsce poważną operację onkologiczną, amputację nogi. Ją też bierzemy do siebie.

Gorąca zupa

Osobami z dysfunkcjami, które docierają do nas z Ukrainy, zajmuje się też Caritas Polska. W oddziałach tej instytucji w całej Polsce schronienie znajduje około dwóch tysięcy sierot oraz dzieci z różnym stopniem niepełnosprawności. Caritas organizuje także transporty humanitarne, wspomaga finansowo i poprzez dostawę leków oraz żywności oddziały Caritasu w Ukrainie.

Przed Dworcem Głównym w Krakowie uruchomiony został punkt wydawania gorącej zupy. W namiocie ustawionym na placu Jana Nowaka Jeziorańskiego wolontariusze wydają gościom z Ukrainy gorące posiłki. Obiady wydaje też prowadzona przez Caritas Kuchnia św. Brata Alberta. W akcji biorą udział wolontariusze z Centrum Wolontariatu oraz klerycy z krakowskiego seminarium i Ruch Światło-Życie. W ciągu pierwszych dwóch tygodni wojny schronienie za pośrednictwem Caritasu znalazło w Krakowie i okolicach około 3500 osób.

© P JACEK TARAN



Znak

MARCIN CHODUŃ

Świadectwa ofiar seksualnego wykorzystania zamiast niedzielnej mszy – tak wierni w Dolnej Frankonii zaprotestowali wobec skandali pedofilskich w Kościele.

LUDZIE SIEDZĄ NA KRZESŁACH USTAWIONYCH W KRĘGU, POŚRODKU STOLIK z zapalonymi świecami. Ktoś odczytuje fragmenty raportu na temat przemocy seksualnej duchownych wobec dzieci w archidiecezji Monachium i Fryzycji w latach 1945-2019. Potem długo medytują w ciszy. Jedna z osób skrzywdzonych decyduje się zabrać głos – jej świadectwo wybrzmiewa echem w kościelnym wnętrzu.

Przez trzy niedziele (jedną styczniową i dwie lutowe) w parafii Narodzenia NMP w Aschaffenburgu



NICOLAS ARMER / DPA / AFP / EAST NEWS

Akcja solidarnościowa z ofiarami nadużyć seksualnych w Kościele katolickim, parafia Narodzenia NMP w Aschaffenburg, 13 lutego 2022 r.

w Dolnej Frankonii zamiast mszy w kościele odbywały się spotkania parafian z osobami skrzywdzonymi przez duchownych. Powód? Zdaniem proboszcza ks. Markusa Krautha monachijski raport jasno wykazał, że z nadużyciami wiąże się nie tylko skandal związany z ich tuszowaniem przez hierarchię, ale również fakt, że władze diecezji robią zbyt mało, aby pomóc ofiarom.

– To zdrada sakramentów i Ewangelii – mówi duchowny. – W te trzy niedziele podjęliśmy właśnie takie działania, aby okazać solidarność ofiarom. Nie chcemy tylko głosić miłości bliźniego, chcemy nią żyć.

Milczenie w obecności Boga

Wszystko zaczęło się od rozmowy – po publikacji raportu przed drzwiami kościoła zebrała się po mszy grupa wiernych i żywo dyskutowała. Jak to możliwe, że nadal zaprzecza się winie sprawców i nie wierzy ofiarom? – Nie mogliśmy znieść, że osoby odpowiedzialne w Kościele, którego głównym przesłaniem i misją jest miłość bliźniego, tuszowały czyny i kryły sprawców, aby zachować pozory i dobre imię instytucji – opowiada przewodnicząca rady parafialnej Christine Brumhard. – Było to

przecież szczególnie bolesne i ponownie traumatyzujące dla osób skrzywdzonych, które od lat, często bezskutecznie czekają na uznanie swojego cierpienia, poważne przeprosiny i skruchę lub odpowiednią rekompensatę finansową.

Co jeszcze musi się wydarzyć, aby zbrodnie zostały rozliczone bez względu na urząd i godność sprawców? Parafianie w Aschaffenburgu zadawali sobie jeszcze inne pytania: jaką rolę oni i inni katolicy w Niemczech odegrali w opóźnianiu procesu rozliczania owych zbrodni przez dotychczasowe milczenie? Czy przypadkiem nie pozwalali na to, by sprawy toczyły się starymi kolejniami? Pytali też: co oni, mała parafia na południowym skraju Aschaffenburga, mogą zrobić?

Postanowili działać. Napisali list otwarty do biskupa diecezji Würzburga Franza Junga. Czytamy w nim między innymi: „Jako wiernych Kościoła szokuje nas nie tylko niewypowiedziane cierpienie, którego tak wielu ludzi musiało doświadczyć z rąk księży, biskupów i wikariuszy generalnych, ale także zdrada wobec ofiar, Ewangelii i naszej własnej odpowiedzialności”.

Zdecydowali się także na post. – Czyli wyrzec się tego, co zwykle celebруемy

z radością i co jest dla nas cenne i święte – tłumaczy Christine Brumhard. – Zrezygnowaliśmy z chleba, wina i komunii, czyli Eucharystii. Chcieliśmy w ten sposób powiedzieć odpowiedzialnym: nie powinniście tak dalek postępować.

Dodaje także: – Miał to też być wyraźny znak dla ofiar. Chcieliśmy otworzyć dla nich i ich rodzin gościnną przestrzeń w tym ważnym dla nas momencie, jakim jest niedzielny poranek w naszym kościele. Jednak przestrzeń wolną od wszystkiego, co przypomina o liturgii. Wiele ofiar przestępstw seksualnych nie może bowiem znieść szat liturgicznych, bicia dzwonów, zapachu kadzidła czy widoku naczyń liturgicznych – po tym, jak znęcano się nad nimi w pomieszczeniach kościelnych.

Proboszcz ks. Markus Krauth: – Spotkania miały następującą strukturę: słuchanie relacji ofiar przestępstw seksualnych, czytanie tekstów z raportu monachijskiego, później milczenie w obecności Boga i ofiar. Potem otwarty mikrofon, każdy mógł się wypowiedzieć. Wszyscy, którzy zabrali głos, to osoby wykorzystane przez duchownych.

Głos ofiar

Trzy historie. Różne, ale podobne w bólu, sygnalizowanym długimi przerwami między słowami, w łamiącym się głosie.

Flora-Nike Göthin (62 lata). Po rozwodzie rodziców trafiła w 1965 r. (miała wtedy sześć lat) do sierocińca w Würzburgu, prowadzonego przez zakonnicę ze Zgromadzenia Sióstr Zbawiciela. Ten obraz Flora ma do dzisiaj przed oczami: budzi się w kościelnej kaplicy, leży na materacu. Obok niej dwie inne osoby, które ją mocno trzymają. Jest prawie naga. Przed nią przed ołtarzem czterech mężczyzn – dwóch widzi niewyraźnie, dwaj pozostali są dobrze widoczni. Gdy pierwszy z nich, który ma na sobie sutannę, robi jej zdjęcie, lampa błyskowa rozświetla wnętrze. Po chwili podchodzi do niej drugi mężczyzna, w stroju biskupa, z pastorałem w ręku, i dokonuje na niej rzeczy, której wspomnienie do dziś powoduje ból w całym ciele.

Burkhard Löffler (70 lat). Wychowywał się w religijnej rodzinie. W dzieciństwie mocno zaangażowany w życie Kościoła katolickiego. W 1962 r. po konsultacji z rodzicami Burkhard postanawia zostać księdzem. Trafia do szkoły z internatem przy jednym z niemieckich klasztorów. ➔

⇒ Opiekuje się nim jeden z braci. Szybko owa „opieka” staje się ciężarem – kiedy wszyscy śpią, zakonnik zabiera chłopca do swojego pokoju, obnaża się przed nim i zmusza go do różnych czynności seksualnych, wieńczonych regularnymi gwałtami. Po około pięciu latach znęcanie się nagle się urywa – zakonnik zwraca uwagę na innego, młodszego chłopca.

Harald F. Schwarzer (75 lat). Wykorzystywany w latach 1960-1964 przez księdza w jego rodzinnym mieście Ranstadt, głównie w trakcie wspólnych wakacji. W ramiona księdza pedofila wpędza go własny ojciec, alkoholik, który właściwie codziennie bije syna.

Instrumentalizacja?

Odwołanie niedzielnych nabożeństw spotkało się z krytyką ze strony władz diecezji Würzburga. Ks. Jürgen Vorndran, diecezjalny wikariusz generalny, w wywiadzie dla niemieckich mediów stwierdził, że kuria poparła akcję solidarnościową, nie uważa jednak, by zawieszenie celebracji eucharystycznej bez względu na powód było właściwym działaniem. „Celebracja Eucharystii nie powinna być instrumentalizowana”.

Ks. Krauth rozumie tę reakcję, przyznając, że jego działanie było niezgodne z prawem kościelnym. Nie zgadza się jednak z zarzutem instrumentalizacji. – Dla mnie te trzy spotkania w naszym kościele parafialnym były prawdziwym nabożeństwem, tylko nieco innym – tłumaczy. – Bardzo się cieszę, że to zrobiliśmy. Być może wikariusz generalny oraz dziekan spojrzą na to kiedyś inaczej.

Ks. Grzegorz Strzelczyk, doktor teologii dogmatycznej, adiunkt w Katedrze Teologii Dogmatycznej i Duchowości Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego: – Post od Eucharystii? Można było zrobić w kościele spotkanie dla osób skrzywdzonych, które nie byłoby spotkaniem eucharystycznym, i nie pozbawiać jednocześnie reszty parafian możliwości przyjęcia Eucharystii. Rozumiem, że proboszcz i wierni w Aschaffenburgu chcieli dać mocny znak, ale przy znakach trzeba bardzo uważać, czy się panuje nad ich znaczeniami. Eucharystia jest pokarmem nowego życia. Chrystus daje się nam, abyśmy się mogli mierzyć z wyzwaniem Ewangelii. Czasem przekraczają one nasze standardy, w związku z czym potrzebne jest nam wsparcie Boże, które przychodzi do nas przez sakrament.

KS. MARKUS KRAUTH:

W te trzy niedziele
podjęliśmy takie
działania, aby okazać
solidarność ofiarom.
Nie chcemy tylko głosić
miłości bliźniego,
chcemy nią żyć.

Jeśli uznajemy, że to, co sami wymyśliliśmy, jest lepsze od tego, że Chrystus daje się nam poprzez sakrament, to popadamy w pewną formę pelagianizmu, czyli herezji mówiącej, że człowiek może się do pewnego stopnia zbawić sam, bez uprzedniego działania Boga.

Dla Flory-Nike Göthin było ważne, że mogła przemawiać w kościele bez kadzidła, Biblii, modlitw i śpiewów. – To była dla nas prawdziwa przestrzeń, a podczas wszystkich trzech wydarzeń kościół był wciąż pełny. Ludzie nas wysłuchali i okazali współczucie. Właśnie tego brakuje nam u biskupów i wikariuszy generalnych. Ofiary są tak naprawdę pozostawione same sobie. Także system odszkodowań stanowi źródło ciągłych upokorzeń. Rezygnując z Eucharystii, parafianie w Aschaffenburgu dali wyraźny i mocny znak solidarności z osobami skrzywdzonymi.

Burkhard Loeffler: – Możliwość podzielenia się w parafii w Aschaffenburgu swoim cierpieniem i doświadczeniami oraz reakcja wiernych przyniosły mi ukojenie. To dla mnie kolejny mały krok w pogodzeniu się z traumą przeszłości.

Punkt zwrotny

W latach 90. i w pierwszej dekadzie następnego stulecia medialne doniesienia o nadużyciach seksualnych w niemieckim Kościele nie wywoływały na ogół znaczącej reakcji społecznej. Przełom nastąpił w styczniu 2010 r. w związku z artykułem o przypadkach nadużyć w katolickim Kolegium Canisius w Berlinie, który ukazał się w „Berliner Morgenpost”. Publikacja ta wywołała całą falę doniesień, dzięki którym ujawniano coraz więcej przypadków wykorzystania i które doprowadziły do ogólnoniemieckiej debaty.

Pod presją krytyki Konferencja Episkopatu Niemiec podejmuje od tego czasu formalne działania mające na celu rozliczenie się z problemem wykorzystania dzieci przez duchownych oraz zapobieganie tym przestępstwom w przyszłości (niemiecki episkopat powołał w 2020 r. niezależną komisję do badania przypadków molestowania dzieci i nieletnich przez duchownych). Wiele diecezji ustanowiło w ostatnich latach pełnomocników zajmujących się tą problematyką oraz uregulowało postępowanie w takich przypadkach, w tym także sprawę odszkodowań dla ofiar. Dwie trzecie z 27 niemieckich diecezji opublikowało w ostatnim czasie raporty dotyczące przestępstw seksualnych dokonywanych przez posługujących w nich duchownych.

Do takich dokumentów należy między innymi długo oczekiwana ekspertyza na temat nadużyć w archidiecezji Monachium i Fryzycji, sporządzona przez kancelarię prawną Westfahl Spilker Wastl. Wykazała ona, że przypadki nadużyć seksualnych w tej diecezji w latach 1945-2019 nie były traktowane we właściwy sposób. W badanym okresie było co najmniej 497 ofiar i 235 domniemych sprawców. Raport obciąża wszystkich sześciu rządców diecezji, w tym kard. Reinharda Marksa oraz papieża emeryta Benedykta XVI. Joseph Ratzinger miał zachować się niewłaściwie w czterech przypadkach podczas swojej kadencji jako arcybiskup Monachium w latach 1977-1982.

Wedle ks. Krautha ze wszystkich ekspertyz sporządzonych do tej pory w niemieckich diecezjach wynika, że osoby, które pełniły w nich odpowiedzialne funkcje dłużej niż 10 lat, tuszowały przestępstwa popełniane przez księży i tym samym umożliwiały popełnianie kolejnych, a więc były za nie współodpowiedzialne. – Ten proceder jest wielką porażką oficjalnego Kościoła, ponieważ ma ogromne znaczenie moralne i ludzkie – mówi kapłan.

Christine Brumhard: – Podczas spotkań w te trzy niedziele w naszym kościele parafialnym podjęliśmy pierwsze kroki, by zmienić sytuację. Nie wiemy jeszcze, dokąd zaprowadzi nas ta droga. Stało się jednak dla nas jasne, że ona nas zrywa i że możemy podążać nią tylko razem: zwykli wierni Kościoła oraz osoby w nim skrzywdzone.

© MARCIN CHODUŃ

ZUZANNA

Radzik: Zaryzykować życie



WSTYD PRZYNAĆ, NIE WIEM O NIEJ ZBYT wiele. Nie czytałam jej książek. Tak jak wielu, usłyszałam o niej pierwszy raz, gdy utonęła w Morzu Śródziemnym, próbując pomóc dwójgu tonącym dzieciom. Jej nie udało się uratować. Anne Dufourmantelle, francuska filozofka, wcześniej opublikowała m.in. książkę „Pochwała ryzyka”. To tam pisała: „»Zaryzykować swoje życie« to jedno z najpiękniejszych wyrażen języka francuskiego”.

Bolesna ironia jej śmierci rozpropagowała wiadomość o tym utonięciu od najważniejszych światowych dzienników po głodne plotek portale: filozofka chwalać podejmowanie ryzyka zginęła ratując cudze dzieci. Osierociła trójkę własnych. Dręczyła mnie ta historia z 2017 r., odkąd mignęła mi gdzieś przypadkiem. Bezpieczniejsze jest odwracanie wzroku od tego, że czasem umiera się za to, co się głosi, albo w co się wierzy. Od tego, że zdarza się to na wakacjach, ot tak. Przychodzi moment, który wymaga szybkiej decyzji. Odruch serca. Dlatego unikałam jej historii, która przypominała to, czego nie chcemy pamiętać: że i nam może się zdarzyć, nawet na plaży w Saint-Tropez. Że czasem będziemy musieli lub chcieli stanąć przy swoich wartościach i zaryzykować zbyt wiele.

To bywa lęk jednostek, odsuwających wzrok od faktu, że takie heroizmy i decyzje dzieją się co dzień. To mój lęk. To bywa też lęk państw, czasem całych ich konstelacji. Co się stanie, gdy będziemy musieli stanąć za tym, co głosimy? Gdzie kończy się dbanie o integralność poglądów i czynów, a zaczyna pochopność, może nawet brawura? I gdzie na tej osi stoi bohaterstwo?

Nie od dziś patrzę, jak ludzie wokół mnie stają się bohaterami. Mam szczęście do wspaniałych przyjaciół, zajmujących się ważnymi, bolesnymi sprawami tego świata. Ponieważ są blisko, widzę też koszt. Nie zawsze jest to ryzykowanie życia wprost, częściej codzienne oddawanie go na raty. Cicho, ale konsekwentnie. Stupor po powrocie z obozu dla uchodźców. Terapie, wypalenie, zaniedbane własne zdrowie, maskowane śmiechem nerwy. Bieg bez oddechu, bo zawsze jest coś ważnego. Lekcje, że dbanie o siebie to nie egoizm, przyswajane dopiero po paru kryzysach. To wszystko w ramach wolontariatu albo skromnej pensji.

A teraz krąg tych działających w słusznych sprawach spuchł. Chciałoby się otworzyć kronikę tych indywidualnych historii i doświadczeń, ale też koalicji pomocy, by zapamiętać, że jest to możliwe, i sięgnąć po te rozwiązania w normalnych czasach. Ze wzruszeniem i niedowierzaniem widzę skalę zaangażowania firm i korporacji, po których pomoc w normalnych czasach – poza chlubnymi wyjątkami – ciężko się dobić. Chciałabym zacząć od ich instytucjonalną pamięć, by odtąd już wiedzieli, ile mocy mają, i jak cza-

sem niewiele trzeba, by poprawić pracę małej organizacji pomocowej. I że czynienie dobra rozpromienia ich pracowników.

Oprócz tego chciałabym, żeby w pamięci nas wszystkich zostało, że gdy państwo i jego służby się ociągały, znaleźli się ludzie, którzy wiedzą, jak zorganizować pomoc. Cała sieć tych ludzi – również, jeśli nie głównie, z wyklętych przecież i odcinanych od kasy organizacji pozarządowych. Niepoprawnych, prawnoczułowych, które jeszcze chwilę temu chciano odsunąć od szkół i które trafiały na czarną listę jednego z kuratoriów. Tych samych organizacji, których pracownicy i aktywiści wspierają ofiary haniebnych wywozków przy granicy z Białorusią. Wspierają, czytaj: od miesięcy osobście nocami przeczesują lasy w poszukiwaniu blagających o pomoc ludzi.

Teraz równocześnie z ogarnianiem rzeczywistości, w której też poniekąd są sami, bo bez wsparcia państwa, myślą, co będzie dalej. Co, gdy zostaną kolejny raz z ogromem nieszczęść? Nieszczęść, których skala wymaga kompleksowych rozwiązań i dużych pieniędzy, a nie łatania i pracy bez wytchnienia?

To tutaj, na zapleczu kraju ogarniętego wojną.

A jednocześnie wraca do mnie natrętnie Anne Dufourmantelle, gdy myślę o tych, których heroizm ma tło wojny. Który wojną jest wywołany. Wraca do mnie ten sam opór, bo też wołałabym nie wiedzieć, że można w marcu 2022 r. zginąć, wyprowadzając z domu sąsiadkę, roznosząc mieszkańcom swojego miasteczka chleb albo wracając z karmienia psów w schronisku. Gesty serdeczności i odruchy solidarności z czasów pokoju, choć zawsze niezwykle, w scenografii wojny wydają się czymś olbrzymim. Niepokojąco jednocześnie znajomym i obcym.

©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli toczy się postępowanie w sprawie I Ns 312/19 z wniosku Jana Pamuły o stwierdzenie nabycia prawa własności przez zasiedzenie nieruchomości złożonych z:

- działki nr. ewid. 332 o pow. 8 arów, stanowiącej rolę, powstałej z pb 71 i pgr 16/6 obj. Lwh 4, z pgr 16/5 obj. Lwh 3, z pb 72 obj. Lwh 105 i z pgr 16/3 obj. Lwh 429,
- działki ewidencyjnej nr 470 o pow. 6 arów, stanowiącej rolę, powstałej z pgr 243/3 obj. Lwh 423
- i działki nr ewid. 486 o pow. 7 arów, stanowiącej rolę, powstałej z pgr 224/2 obj. Lwh 423,

położonych w Rzecyzcy Okrągłej, gmina Radomyśl nad Sanem, powiat stalowowolski, województwo podkarpackie, nieposiadających urządzonej księgi wieczystej. W/w nieruchomości znajdują się aktualnie w posiadaniu Jana Pamuły i Kazimierzy Pamuły.

Sąd wzywa wszystkich właścicieli ww. nieruchomości, a w szczególności Władysława Guściore, brata Franciszka Guściory, bądź ich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od daty zamieszczenia ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Stalowej Woli i wykazali swoje prawa do tychże nieruchomości. O ile w tym terminie nikt się nie zgłosi albo praw swoich nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie ono wykazane.

NA PÓŁNOCNEJ FLANCE

Im brutalniej Rosja postępuje na Ukrainie,
tym bardziej w Finach i Szwedach
narasta przekonanie,
że ich kraje powinny wejść do NATO.
Groźby Moskwy już nie działają.

PATRYCJA BUKALSKA



JUSSI JALONEN, FIŃSKI HISTORYK WOJSKOWOŚCI, starannie dobiera słowa na określenie nastrojów wśród swoich rodaków: – Powiedziałbym, że to postawa oporu, sprzeciwu.

– Finowie nigdy nie ufali Putinowi, a teraz postrzegany jest jak ktoś całkowicie nieprzewidywalny i poza kontrolą. Do niedawna nasi politycy uważali też,

że mamy jakąś tajemniczą zdolność rozmawiania z Rosjanami i wypracowywania z nimi porozumienia. Teraz okazuje się, że to tylko jeden z naszych narodowych mitów – mówi Jalonен.

W Finlandii, która po II wojnie światowej miała przez kilkadziesiąt lat – aż do rozpadu Związku Sowieckiego – ograniczoną możliwość podejmowania decyzji

w polityce zagranicznej, a również i później żyła w obawie przed rozdrażnieniem wschodniego sąsiada, dziś coś się zmieniło. Coś istotnego.

– Jesteśmy gotowi – mówi Jalonен, a tę zmianę widać w sondażach. Pod koniec lutego za członkostwem w Sojuszu Północnoatlantyckim po raz pierwszy opowiedziała się ponad połowa an-



Patrol regimentu Gotland w okolicach portu i lotniska na Gotlandii. Szwecja, 16 stycznia 2022 r.

debaty jest obniżana przez rząd – ocenia Justyna Gotkowska, koordynatorka programu bezpieczeństwa regionalnego w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie.

Gotkowska podkreśla, że głównym – choć nie jedynym – czynnikiem, który będzie wpływał na dyskusję w obu krajach, jest oczywiście Rosja i jej działania w sąsiedztwie Szwecji i Finlandii lub przeciwko tym państwom. – Im Rosja jest bardziej agresywna, tym większe poparcie dla członkostwa – mówi Gotkowska.

Nastroje w Finlandii zaczęły zmieniać się zresztą już po rosyjskiej agresji na Ukrainę w 2014 r.

– Była zmiana, ale nie tak duża jak teraz – wspomina dr Jussi Jalonen. – Wtedy postrzegaliśmy to jako konflikt na ograniczoną skalę. NATO też miało taką optykę. Podobnie zresztą jak w 2008 r. [podczas napadów Rosji na Gruzję – red.].

– Teraz jest inaczej – dodaje Jalonen. – To, co widzimy, to jest lądowa wojna w środku Europy. Konwencjonalny atak w starym stylu na pełną skalę.

Justyna Gotkowska zwraca uwagę na istotny szczegół dotyczący ostatnich sondaży. – Te wzrosty poparcia dla członkostwa w NATO są duże, ale po stronie społeczeństwa, a nie elit i rządzących partii, które są ostrożniejsze – podkreśla. – W Finlandii jednak elity już kalkulują i oceniają ryzyko. W Szwecji ze względu na sytuację rządu ta opcja jest raczej wykluczana. To jednak może zmienić się pod wpływem działań Rosji.

Z pewnością opinia publiczna zmienia się bardzo dynamicznie: w sondażu na początku marca po raz pierwszy ponad połowa Szwedów opowiedziała się za wejściem do NATO. Takiej decyzji życzyłoby sobie 51 proc. ankieterowanych (wzrost od stycznia o niemal 10 proc.), podczas gdy przeciwnych jest 27 proc. (spadek o 10 proc.).

Wiatr historii

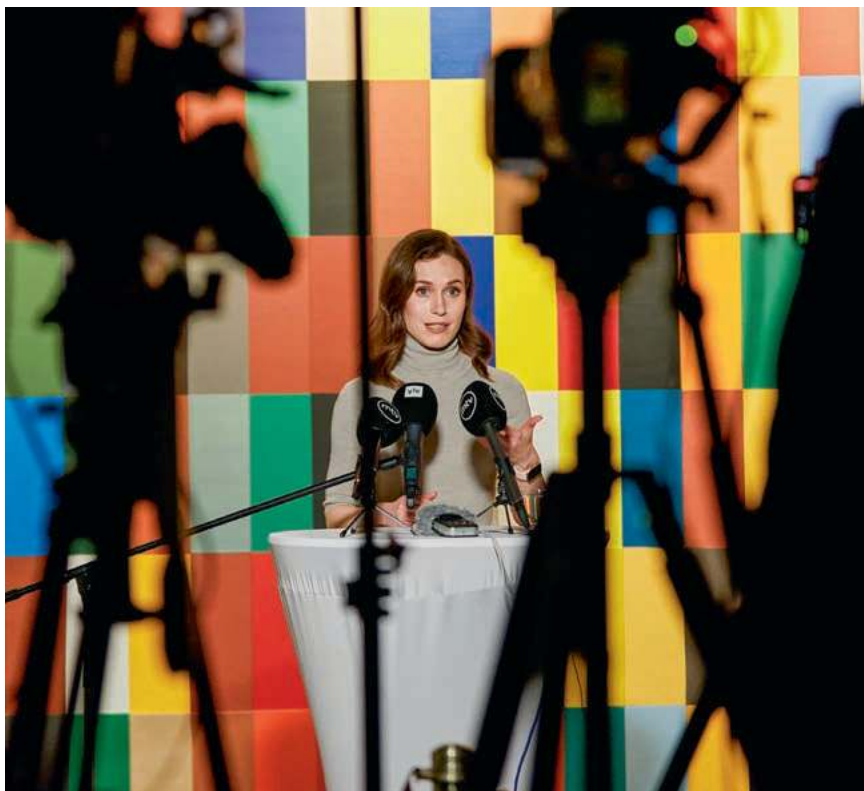
Choć Szwecja i Finlandia są sąsiadami i obydwa te kraje postawiły na politykę neutralności, to jednak historia ich relacji z Moskwą jest różna.

kietowanych Finów. W ciągu kolejnych dwóch tygodni poparcie to wzrosło do aż 62 proc.; przeciwnych temu jest jedynie 16 proc. (reszta jest niezdecydowana).

Aby uświadomić sobie, jak radykalna jest ta zmiana opinii, wystarczy przypomnieć, że w 2017 r. zwolennikami członkostwa ich kraju w NATO było jedynie 21 proc. Finów.

Efekt „Rosja”

– W Finlandii dyskusje o członkostwie w NATO na poziomie politycznym są znacznie bardziej zaawansowane niż w Szwecji. Poprzez swoje sąsiedztwo i długą granicę z Rosją Finlandia poczuła się bardziej zagrożona. Są już więc prowadzone dyskusje w fińskim parlamencie, podczas gdy w Szwecji temperatura



Konferencja prasowa premier Finlandii Sanny Marin po spotkaniu z kanclerzem Scholzem.
Berlin, 16 marca 2022 r.

⇒ Szwecja nie brała udziału w żadnej wojnie od 1814 r. i pozostała neutralna nawet w czasie II wojny światowej. Swoją politykę zagraniczną oparła na nieangażowaniu się w sojusze militarne (choć bierze udział w misjach pokojowych).

Finowie – odwrotnie. Mają za sobą wojny z Rosją bolszewicką (1918-22) oraz ze Związkiem Sowieckim (1940-44). Kluczowa w pamięci zbiorowej Finów jest tutaj słynna wojna zimowa, trwająca od końca listopada 1939 r. do marca 1940 r., podczas której zdołali się samotnie oprzeć wielokrotnie silniejszej Armii Czerwonej i obronili swą niepodległość (za cenę pewnych strat terytorialnych).

Przeciwko Finlandii Sowieci rzucili wtedy ok. 400 tys. żołnierzy – dwa razy więcej niż teraz przeciwko znacznie większej Ukrainie (ok. 200 tys.). Wygląda na to, że dzisiejsi rosyjscy generałowie nie wyciągnęli wniosków z błędów poprzedników z czasów wojny zimowej – i teraz w kampanii prowadzonej w Ukrainie używają czołgów bez wsparcia piechoty.

– Wojna zimowa zawsze była pamiętana, mitologizowana, zawsze jest w na-

szej pamięci. Stała się legendą. Tym bardziej że jest widziana jako wojna czysta moralnie, bo w pełni usprawiedliwiona, bez historycznych obciążeń. Żadnych związków z nazistami, żadnego złego traktowania jeńców wojennych. Prosta i uczciwa – opowiada dr Jalonien.

– To doświadczenie jest ważne dla naszej narracji obrony kraju, ale teraz ma też praktyczne znaczenie dla pomocy Ukrainie – dodaje historyk. – Wtedy, zimą 1939/40, ww. to my potrzebowaliśmy międzynarodowego wsparcia, a teraz Ukraińcy go potrzebują. Jak mówią obecnie Finowie: dajmy Ukraińcom broń, żebyśmy sami nie musieli jej używać za rok.

I tak się dzieje – Finlandia dostarcza uzbrojenie Ukraińcom. Również Szwedzi zdecydowali się wysłać im broń i inny sprzęt wojskowy.

– Przed wojną w Ukrainie Szwecja prowadziła politykę niewysyłania broni w obszary konfliktu, tak jak Niemcy. I tak samo jak Niemcy zmieniła teraz zdanie – mówi Justyna Gotkowska.

Jak sąsiad z sąsiadem

Szwedzi powtarzają, że jeśli Finlandia wejdzie do NATO, oni również to zrobią.

– Szwecja nie miałaby wyjścia, musiałaby przebudować całą swoją strategię – mówi Gotkowska. – Szwedzka polityka nie miałaby wtedy realnego uzasadnienia. Byłaby też presja opinii publicznej.

– Szwedzi tak mówią, ale nie ma pewności, czy tak byłoby rzeczywiście. W końcu z Finlandią w NATO Szwecja byłaby całkowicie otoczona przez państwa Sojuszu. To one by ją chroniły – zastanawia się Jalonien.

Oba kraje jednak ściśle współpracują ze sobą, z USA oraz z NATO, a obecnie biorą udział we wszystkich konsultacjach Sojuszu. Szwecja już po 2014 r. wprowadziła zmiany w swoim systemie bezpieczeństwa i zwiększyła budżet na obronność. Teraz szwedzka premier Magdalena Andersson zapowiedziała, że wydatki będą zwiększane aż do osiągnięcia poziomu 2 proc. PKB wymaganego przez kraje NATO (w 2020 r. było to w Szwecji tylko 1,2 proc. PKB). – Podobnie jak Niemcy, Szwecja odbudowuje też swoje możliwości wojskowe i siły zbrojne – mówi Gotkowska.

Finlandia już prawie osiągnęła poziom 2 proc. PKB na obronność i jest dziś zapewne, jak twierdzi Jalonien, najsilniejszym militarnie krajem nordyckim. – Nie mogliśmy opierać się na NATO i mamy długą granicę z Rosją, więc jest jasne, że potrzebujemy silnej armii – mówi. – Zawsze wiedzieliśmy, że sytuacja jest niestabilna i wiele może się zdarzyć.

Finlandia – w przeciwieństwie do większości krajów europejskich – nadal polega na powszechnym obowiązku służby wojskowej. Do armii powoływani są wszyscy mężczyźni powyżej 18. roku życia. Mimo że istnieje możliwość odbycia służby cywilnej zamiast wojskowej, to jednak większość poborowych decyduje się na służbę w armii. Z kolei w Szwecji w 2017 r. wznowiono częściowy pobór.

Co się mówi, co się robi

Fińskim i szwedzkim dyskusjom i nastrojom uważnie przygląda się Rosja. Kilka dni temu rzeczniczka rosyjskiego MSZ zagroziła „wojskowymi konsekwencjami” w przypadku skierowania przez te kraje wniosków o przyjęcie do Sojuszu.

Co prawda rządy w Sztokholmie i Helsinkach podkreślają, że tylko one będą podejmować decyzje o swojej poli-

tyce bezpieczeństwa, ale jednocześnie starają się nie eskalować emocji. Szwedzka premier stwierdziła ostatnio, że taki wniosek w obecnej sytuacji „jeszcze bardziej zdestabilizowałby tę część Europy i zwiększył napięcie”.

Swojego stanowiska – za czy przeciw – nie ujawnili fiński prezydent Sauli Niinistö ani premier Sanna Marin („Jesteśmy partnerem NATO” – powiedziała Marin, sugerując, że na razie to może wystarczyć). Z kolei fiński minister obrony Antti Kaikkonen stwierdził, że to nie jest dobry moment na składanie wniosku.

– Zdaniem Magdaleny Andersson dotychczasowa szwedzka polityka bezpieczeństwa, oparta na szerokiej współpracy, jest właściwa. Społeczne poparcie dla członkostwa rośnie, ale w Szwecji rządzą socjaldemokraci i nie ma w partii większościowego poparcia dla NATO – mówi Justyna Gotkowska. – To jednak jest stanowisko formalne – zaznacza. – Bo praktycznie Szwecja bardzo mocno współpracuje z USA i NATO. To, co się mówi, a co *de facto* robi, to dwie różne rzeczy.

Nawet to formalne stanowisko może się jednak zmienić w przypadku agresywnego, prowokacyjnego zachowania Rosji wobec tych krajów.

– Jeśli jednak tego czynnika nie będzie, to Szwecja i Finlandia będą kontynuowały politykę zacieśniania współpracy z USA i innymi sojusznikami, ale bez podejmowania ryzykownej decyzji, która może spowodować działania odwetowe ze strony Rosji – uważa Gotkowska.

– Decyzja o członkostwie w NATO to jedno. Pytanie, jak miałyby się to odbyć i czy potrzebne byłoby tu referendum. Nie jest to nigdzie zapisane. Jest też ryzyko, że Rosja próbowałaby na wynik takiego referendum wpłynąć – zastanawia się Jussi Jalonen. – Moim zdaniem najważniejsze jest to, że Finowie traktują obecną sytuację poważnie, jednocześnie zachowując spokój. Reagują tak, jak powinni reagować.

– No i, jak już mówiłem, jesteśmy gotowi na każdy scenariusz – dodaje.

© PATRYCJA BUKALSKA

Gdy zawodzą porównania

PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY

Kilkuset Ukraińców przyjeżdża codziennie na główny dworzec kolejowy w stolicy Katalonii. Hiszpania przyjmuje pierwszych swoich uchodźców wojennych ze wschodu kontynentu. I usiłuje sobie wytłumaczyć tę wojnę.

DRŻENIE: TYLE DA SIĘ WYCZUĆ W PIERWSZYM tygodniu inwazji. Jakoś nie możemy z moimi polskimi znajomymi w Barcelonie usiedzieć w miejscu: wymieniamy się informacjami, wystąpieniami ukraińskiego prezydenta, wieściami od ludzi z różnych miejsc, lękiem. Jednocześnie to drżenie zupełnie niespożytkowane: nie wiadomo, co z nim zrobić, czym się zająć. Nie wychodzi z niego nic konstruktywnego; wiemy, że kręcimy się w kółko. Ale w tej chwili każda aktywność jest głównie udawaniem przed sobą samym, że nasze myśli nie uciekają z powrotem do wojny.

Dlatego tak nam trudno zrozumieć, że nasi sąsiedzi, koledzy i koleżanki z pracy, nauczycielki ceramiki, ulubione panie sklepowe – oni wszyscy nie drżą. A przynajmniej nie tak, jak nam wydawałoby się teraz naturalne i stosowne. – Ach, bę-

dzie problem z olejem! – zauważa jedna z nich (memy z olejem słonecznikowym, który znika z półek, zalewają właśnie hiszpański internet). Ktoś rzuca: *¡qué horror!* – i szybko zmienia temat. Któraś z polskich znajomych publikuje w mediach społecznościowych pytanie: „Czy wasi Hiszpanie też nie przejmują się wojną?”.

Po raz pierwszy chyba czujemy się tu, w Katalonii, dziwnie obco. Potem przychodzi refleksja: czy jest się czemu dziwić? To drugi koniec Europy, a zwykli Hiszpanie niewiele mają skojarzeń z Ukrainą. I druga: może to drżenie jest i tutaj, tylko nieco inne?

To także nasza wojna

Jeśli rzeczywiście miałam jakąś hipotezę hiszpańskiego zdystansowania do wojny, profesor socjologii Antonio Aledo →

Spotkanie rodziny ukraińskich imigrantów w Cizur Menor, Hiszpania, 15 marca 2022 r.



ALVARO BARRIENTOS / AP / EAST NEWS

→ szybko się z nią rozprawia: – Oczywiście, że się tym wszystkim przejmujemy, i to bardzo. Dla nas to też jest szokujące, oglądać obrazy, których nigdy nie spodziewaliśmy się w Europie zobaczyć.

Aledo klasyfikuje hiszpański niepokój. – Po pierwsze, także po drugiej stronie Europy wrażenie robi ogrom przemocy i niesprawiedliwości, która spadła na Ukrainę. Po drugie, wśród Hiszpanów pojawia się obawa, że wojna wymknie się spod kontroli i – tu Aledo wykonuje kilka ruchów dłonią, od lewej do prawej strony, pam-pam-pam – do Hiszpanii też może dotrzeć. W końcu sprawy związane z atakiem nuklearnym... Może o tych obawach nie mówi się głośno, ale one są.

Takie lęki na Półwyspie Iberyjskim wydają się pewnie dziś abstrakcyjne, zwłaszcza dla czytelnika z Polski, jednak Aledo podkreśla, że ta wojna to dla Hiszpanów kolejny z elementów pozbawiających ich poczucia stabilizacji: po kryzysie finansowym i pandemii.

Również z tym, że rezultat wojny w Ukrainie może wpłynąć na przyszłość Europy, trudno się kłócić. Tak sugeruje kataloński polityk Carles Campuzano, który swój esej w „El Periódico” tytułuje „To też nasza wojna”. Píše, że „wojna putinowskiej Rosji przeciw Ukrainie przypomina nam, że stan pokoju, w którym od 1945 r. żyje zdecydowana większość Europejczyków, jest wyjątkiem w historii ludzkości”.

Analogie nie pomagają

Kanały telewizyjne, tak jak w Polsce, oferują serwisy poświęcone wyłącznie inwazji Rosji na Ukrainę. Hiszpanie uczą się nazw miast, o których istnieniu niedawno nie mieli pojęcia. Niektórzy próbują zrozumieć genzę rosyjskiej agresji, szukając porównań, które pozwolą prze-

tłumaczyć ją na własny kontekst kulturowy.

„Po dwunastu dniach wojny w Ukrainie wszystkie metafory, które miały przedstawić inwazję Putina jako coś, co społeczeństwo hiszpańskie i katalońskie może odnieść do sytuacji im bliskich, zostały już wykorzystane” – komentuje w dzienniku „La Vanguardia” pisarz Francesc-Marc Álvaro. Wymienia trzy, najchętniej używane przez różne strony sceny politycznej: w pierwszej Ukraina jest Hiszpanią, a Donieck i Ługańsk to chcące się uniezależnić Katalonia i Kraj Basków. W drugim Ukraina to, przeciwnie, Katalonia, zaatakowana w 2017 r. przez Hiszpanię po niepodległościowym referendum. W końcu cofamy się jeszcze dalej w przeszłość i Ukraina staje się Drugą Republiką Hiszpańską, bez wsparcia europejskich demokracji w walce z generałem Franco.

Wszystkie te porównania, twierdzi Álvaro, prowadzą tylko do jeszcze większej dezinformacji: – Hiszpanie nie rozumieją realiów wschodniej Europy, zawsze byli od tego daleko. Takie uproszczenia nie pomagają nam zrozumieć ani waszych, ani naszych własnych konfliktów.

NATO i czytanie map

– Trzeba sięgnąć w przeszłość, do inwazji na Krym, ale też ekspansji NATO, wiesz? Ona zagraża granicom Rosji. Rozumiem więc pozycję Putina, co nie znaczy, że usprawiedliwiam ten atak. Ale to akcja-reakcja – mówi 40-letni David. – Obie strony ponoszą trochę odpowiedzialności.

Wiele rozmów z hiszpańskimi znajomymi sprowadza się ostatnio do tych kilku zdań Davida. Mam wrażenie, że niektórzy Hiszpanie na szybko wyspecjalizowali się w geopolityce i z powagą kreślą na mapie strefy wpływów. Może dlatego jako

imigrantka ze Wschodu czuję się w tych rozmowach obco. To Ukraińcy, ale też ja, Polka, jesteśmy w tych analizach strefą wpływu, pozbawieni podmiotowości.

W swoim najnowszym artykule dla „La Vanguardii” Francesc-Marc Álvaro zauważa, że – mimo widocznej solidarności z uciekającymi przed wojną Ukraińcami – liczniejsze były manifestacje przeciw inwazji na Irak w 2003 r. niż dziś te przeciwko Rosji. – Nastroje antyamerykańskie mają w Hiszpanii, a szczególnie w Katalonii, długą tradycję – tłumaczy mi później. – Jest po temu kilka powodów, niektóre sięgają XIX w., ale te bliższe naszym czasom to choćby wspieranie przez USA dyktatury Franco czy dyktatur w Ameryce Łacińskiej. Uchodźcy z tamtych rejonów trafiali do Barcelony, a Katalończycy czuli z nimi solidarność.

„Ani Putin, ani NATO” – czytam hasło na antywojennej manifestacji organizowanej w Barcelonie jeszcze w lutym. Podobnie na kolejnym, tym razem feministycznym proteście 8 marca. Takie głosy pojawiają się zwykle, choć nie tylko, po lewej stronie i nie są odosobnione. Stawianie znaku równości między NATO a Putinem i brak jednoznacznego potępienia rosyjskiego imperializmu stało się zresztą jednym z powodów, przez który polska partia Razem odcięła się od zachodnich międzynarodówek.

„Lewica, która ma wątpliwości w sprawie Ukrainy, jest w błędzie” – pisze z kolei w „El Periódico” Andreu Claret. „Tak jak w błędzie była zresztą europejska lewica, która przyłączyła się do polityki nieinterwencji w trakcie hiszpańskiej wojny domowej. Nie chodzi o ignorowanie błędów Zachodu, ale w momencie, gdy Putin zarządził inwazję na suwerenne państwo, krytyka nie może sparaliżować solidarności z atakowanymi”. Natomiast wspomniany Campuzano na łamach tego samego dziennika twierdzi, że jeśli o kogoś tu chodzi, to właśnie o Ukraińców: „W każdym konflikcie tych rozmiarów istnieje wymiar geopolityczny. Najlepiej jednak rozumieją to sami Ukraińcy, którzy chcą być częścią europejskiego snu i sojuszy, które łączą nas z Waszyngtonem, Tokio czy Ottawą”.

Symbole określają narrację

– Opinia publiczna w ogromnej większości skupia się jednak na krytyce Rosji – socjolog Antonio Aledo daje do zrozumienia, że nie uogólniałyby nastrojów

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku pod sygn. akt I Ns 433/21 toczy się postępowanie z wniosku Krzysztofa Biernata o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na rzecz wnioskodawcy i uczestniczki Wandy Biernat na prawach wspólności ustawowej własności zachodniej części działki ewid. nr 52, pow. 0,05 ha, położonej w Szczepanowie gm. Brzesko – odpowiadającej p.grt. 93 z zamk. lwh 396 Szczepanów, w którym jako właściciel ujawniony jest Józef Kądziołka, s. Stanisława (wpis z 1965), a jako władający w ewidencji gruntów Starostwa Powiatowego w Brzesku wskazany jest Władysław Kądziołka, s. Józefa.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem, o ile zostanie udowodnione.

części lewicy na społeczeństwo. – Krytykujemy atak na niezależne państwo, skupiamy się na postaci Putina, jego bestialstwie. Pojawiają się porównania do Hitlera.

O przeważającym w społeczeństwie potępieniu Putina oraz o wsparciu dla Ukrainy mówi mi również Alexandre López-Borrull, profesor komunikacji społecznej na barcelońskim Universitat Oberta de Catalunya: – Poparcie dla Ukrainy wyraża ogromna większość, widzimy to też wśród polityków. A to nie zdarza się tu często. Ostatnią taką solidarność i chwilowe zawieszenie naszej politycznej wojny mieliśmy na początku kryzysu pandemicznego. Godne pożałowania jest tylko milczenie skrajnej prawicy, czyli VOX-u, i próba wybielania przez nich ich relacji z Putinem.

Polityczna jedność w sprawie Ukrainy dotyczy wskazania winnego i ofiary, ale już nie tego, jak powinna zachować się Hiszpania. Gdy 2 marca premier Pedro Sánchez zmienia dotychczasowe stanowisko i decyduje o wysłaniu broni Ukrainie, część lewicowej partii Podemos, z którą socjalistyczna PSOE Sáncheza tworzy rząd, krytykuje ten rodzaj wsparcia. Premier mówi, że decyzja stawia Hiszpanię „po właściwej stronie historii”. Koalicjanci twierdzą, że lepiej skupić się na dyplomacji.

Gdy idzie jednak o opinię publiczną, w sondażu opublikowanym przez portal Publico.es aż 59 proc. Hiszpanów opowiada się za wysłaniem broni Ukrainie; ponad połowa też nie miałaby nic przeciw wysłaniu armii do obrony cywilów.

Polityczna jedność
w sprawie Ukrainy dotyczy
wskazania winnego i ofiary,
ale już nie tego,
**jak powinna
zachować się Hiszpania.**

84 proc. optuje za przyjęciem ukraińskich uchodźców.

Opinie na temat militarnego wsparcia są podzielone, ale López-Borrull, który zajmuje się analizą dezinformacji, twierdzi, że społeczne nastroje są na tyle pro-ukraińskie, iż nawet krążące po sieci fake newsy (podobnie jak w Polsce generowane przez te same konta, które niedawno kreowały treści antyszczepionkowe) niespecjalnie wpływają na opinię publiczną.

– W tych najważniejszych kwestiach, jak fake newsy, że Zelenski uciekł z Kijowa albo że atak na szpital w Mariupolu nie miał miejsca, nikt tego nie chwycił – tłumaczy López-Borrull. – A mówię, że one są najważniejsze, bo to właśnie takie symbole są decydujące w walce o narrację. Wpływają też na morale i poczucie dumy po stronie ukraińskiej. Przypomina mi się tu zawsze film „Gladiator”: najpierw musisz zabić symbol, aby zabić człowieka.

„Valerie” już nie popłynie

Na główny dworzec kolejowy w Barcelonie codziennie przyjeżdża ok. 350 Ukra-

inców, którzy uciekli z kraju. Katalonia, podobnie jak i cała Hiszpania, przyjmuje swoich pierwszych uchodźców wojennych ze wschodu kontynentu.

Trudno tę sytuację porównać z Warszawą czy innymi polskimi miastami. Ale przybyłych jest już na tyle dużo, że sytuacja wymaga odgórnej koordynacji – rząd pracuje właśnie nad systemem, który zagwarantuje, że Ukraińcy trafią do bezpiecznych i dostosowanych do ich potrzeb domów. Zaledwie 24 godziny po złożeniu wniosku o azyl mają otrzymać pozwolenie na podjęcie pracy, a transport w wielu hiszpańskich miastach jest już dla nich darmowy.

Pojawiają się również głosy krytyczne – nie tyle wobec pomocy Ukraińcom, co wobec jej ograniczonego wymiaru w innych przypadkach. „Zajmijmy się też kryzysem, który już tu jest” – apelują organizacje pozarządowe, za przykład podając trudne warunki, w jakich znajdują się niepełnoletni imigranci z Afryki.

Kiedy piszę te słowa, wojna wpływa na panoramę Barcelony również w inny sposób. Z portu nad Morzem Śródziemnym, w którym widok przesłaniają pnące się do góry luksusowe jachty, znika „Valerie”. Mierzący 85 metrów i należący do rosyjskiego oligarchy Siergieja Czemezowa jacht, którego wartość szacuje się na 140 mln dolarów, zostaje zarekwirowany przez hiszpańskie służby w ramach sankcji nałożonych na Rosję.

„Valerie” nie jest pierwsza i nie będzie też najpewniej ostatnia.

© PAULINA MAŚLONA



**ATAK
NA UKRAINĘ
SERWIS SPECJALNY**

Korespondenci wojenni,
analitycy ds. wschodnich,
doświadczeni dziennikarze i reporterzy
o sytuacji na froncie.

Relacjonują:
Paweł Pieniżek, Wojciech Pięciak,
Anna Łabuszewska, Wojciech Konończuk,
Wojciech Jagielski, Grażyna Makara i Marcin Żyła.

Teksty, zdjęcia, wideo i podkasty na
TygodnikPowszechny.pl/atak-na-ukraine

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Nowy sezon na słoneczniki

MONIKA OCHĘDOWSKA

Dla wielu młodych Tajwańczyków wojna rosyjsko-ukraińska to dziś najważniejsza sprawa świata. „My, jako jego część, też musimy zabrać głos” – mówią.

UWAGĘ TŁUMU ZWRACAŁ DZIŚ JEDEN mężczyzna. Trzymał przed sobą rosyjski paszport, w którym flamastrem napisał wielkie „No war!” – opowiada „Tygodnikowi” mieszkający w Tajwanie Paweł Górecki. „Tak, jestem Rosjaninem – mówił zerkającym na niego przechodniom – ale nie chciałem tej wojny, nie popieram jej. I co mam teraz zrobić?”.

Przez cały weekend przed Biurem Rosji w Tajpej odbywały się manifestacje solidarności z Ukrainą (Federacja Rosyjska nie uznaje Tajwanu i nie utrzymuje z nim stosunków dyplomatycznych, nie ma więc w tym kraju swojej ambasady). Podczas pierwszych dni antywojenne protesty gromadziły mniej więcej dwieście, trzysta osób, ale już w niedzielę 13 marca – jak policzyły miejscowe media – było tu półtora tysiąca Tajwańczyków. Na zdjęciach jedna z ulic miasta po horyzont wypełniona jest błękitno-żółtym tłumem maszerujących.

Murem za Ukrainą

Na ponowną agresję Rosji na Ukrainę Tajwan zareagował bardzo szybko. Już kilka godzin po ataku miejscowe MSZ wydało oświadczenie potępiające rosyjską agresję, a wszystkich przebywających w Ukrainie Tajwańczyków niezwłocznie ewakuowano do Polski. Kilka dni później Tajwan – odpowiadający za niemal połowę światowej produkcji półprzewodników – przyłączył się do międzynarodowych sankcji przeciw Rosji.

Wicepremier i minister ds. transformacji cyfrowej Ukrainy Mychajło Fiedorow, wzywając kolejno na Twitterze wszystkie największe korporacje do bojkotu Rosji, z bezpośrednią prośbą do zawieszenia stosunków z agresorem zwrócił się także do dwóch tajwańskich producentów elektroniki – firm Acer i Asus. „W pierwszej kolejności Asus rozważa ewakuację swo-

ich pracowników z Rosji” – odpowiedziała Fiedorowowi minister gospodarki Tajwanu, Wang Mei-hua. Ostatecznie firma wstrzymała także dostawy, a pozostali producenci elektroniki zadeklarowali ścisłą współpracę z rządem.

Tajwańczycy prędko rozpoczęli także organizować pomoc dla Ukraińców. W pierwszej połowie marca przez Frankfurt i Warszawę wysłano 27 ton materiałów medycznych. Zaraz potem uruchomiono kolejną zbiórkę – tym razem głównie wózków i kul dla poszkodowanych. Rząd Tajwanu otworzył także specjalne konto, na które do połowy marca wpłynęło ponad 600 mln dolarów tajwańskich (równowartość ponad 20 mln euro) datków. Swoją miesięczną pensję na pomoc uchodźcom przeznaczyła także prezydent Tajwanu, Tsai Ing-wen.

Tłumaczenie świata

– Tajwańczycy od lat troszczą się o Ukrainę – wyjaśnia Wei-Yun Lin-Górecka, tłumaczka literatury polskiej na język chiński i pierwsza Tajwanka z honorowym odznaczeniem Zasłużony dla Kultury Polskiej, prywatnie żona Pawła. To dzięki Lin-Góreckiej Tajwańczycy czytają dziś m.in. Schulza, Sapkowskiego, Szymborską, Różewicza czy Korczaka. Lin-Górecka zajmuje się zawodowo przekładem od kilkunastu lat, przez pewien czas uczyła chińskich studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego, razem z mężem przeniosła się na stałe do Tajpej w 2016 r. Dziś – pracując m.in. nad kompendium o relacjach polsko-tajwańskich – opiekuje się młodym pokoleniem tajwańskich tłumaczy i tłumaczek.

– Wiedza o Ukrainie jest tutaj dużo większa niż jeszcze osiem lat temu, gdy na kijowskim placu Niepodległości wybuchły protesty w obronie demokratycz-

nych wartości. Podczas Euromajdanu naprawdę wiele się u nas mówiło u Ukrainie – opowiada Lin-Górecka.

– Przygotowując się na dzisiejszą demonstrację, zabrałem ulotki informujące o filmie „Zima w ogniu” Evgenya Afinevsky’ego, który jest dostępny na Netflixie – mówi Paweł. To dokumentalny zapis proeuropejskiego zrywu w Ukrainie, który w 2014 r. doprowadził do dymisji ówczesnego prezydenta Wiktora Janukowycza. – Prędko okazało się, że wszyscy obecni na demonstracji go już oglądali – dodaje z uśmiechem.

Daleko, ale blisko

Podczas naszej rozmowy wielokrotnie powraca jednak inny tytuł – polskiego reportażu, który Tajwańczycy mogli przeczytać dzięki tłumaczeniu Lin-Góreckiej. To książka Igora Miecika „Sezon na słoneczniki”, napisana zaraz po Majdanie. Opowiada nie tyle o tamtych zimowych tygodniach przełomu 2013 i 2014 r., co o życiu zwykłych ludzi – górników z Donbasu, pracowników fabryki czekolady Petra Poroszenki, kijowskich oligarchów. Po „Sezon na słoneczniki” Tajwańczycy mogli sięgnąć już w 2017 r.

– Zaraz po wydaniu książka cieszyła się popularnością w niewielkich, specjalistycznych kręgach – przyznaje tłumaczka. – Ale teraz Tajwańczycy przypomnieli sobie o reportażu Miecika. Potrzeby są tak duże, że wydawca pilnie poszukuje resztek nakładu w magazynach i gromadzi je w jedno miejsce, skąd można zamawiać ostatnie egzemplarze.

Popularność książki widać na zdjęciach z niedzielnych manifestacji w Tajpej. Tajwańczycy przychodzą wyrażać swoje poparcie dla Ukraińców nie tylko ubrani w ich barwy, w niebiesko-żółtych maseczkach na twarzach i z błękitno-żółtymi flagami, ale także ze słonecznikami w dłoniach.

Ale dlaczego wydarzenia za naszą wschodnią granicą tak bardzo dotyczą mieszkańców kraju leżącego daleko między Japonią, Filipinami a Wietnamem?

O to samo pytał demonstrantów Górecki: – Jest wojna, giną ludzie, trzeba się temu przeciwstawić – odpowiadają zwykle Tajwańczycy – tłumaczy. – Drugi wątek, jaki pojawia się w rozmowach, szczególnie z młodymi, to przekonanie, że wojna w Ukrainie to dziś najważniejsza sprawa świata. „My, jako jego część, też musimy zabrać głos”, mówią.



CHIANG YING-YING / AP / EAST NEWS

Marsz solidarności z Ukrainą w Tajpei, Tajwan, 13 marca 2022 r.

– Tajwańczycy zawsze opowiadali się po stronie demokracji – wyjaśnia Lin-Górecka. – To dla nas ogromna wartość. Wierzmy, że wszystkie demokratyczne państwa powinny tworzyć wspólny front. Poza tym doskonale rozumiemy, co znaczy żyć obok wielkiego, nieprzyjaznego sąsiada, nieustannie powtarzającego: „Twoje państwo nie istnieje, twoja kultura nie ma prawa bytu”.

– I rzeczywiście, pod koniec rozmów w tłumie protestujących pojawiała się deklaracja: „jesteśmy tu, bo Tajwan jest w podobnej sytuacji” – dodaje Górecki.

W ostatnich dniach tajwańskie wojsko przeprowadza ćwiczenia. Archipelag Dongyin, gdzie się odbywają, stanowi niewrażliwy punkt regionu. Jak twierdzą eksperci, to on może się stać pierwszym celem ataku chińskiej armii. Chociaż ministerstwo obrony Tajwanu podkreśliło, że tego typu działania są rutyną, nie da się ukryć, że inwazja Rosji na Ukrainę spowodowała wzrost napięcia w Cieśninie Tajwańskiej. Pojawiły się obawy, że Chiny mogą wykorzystać

trudną sytuację Zachodu do rozpoczęcia agresji.

Bez paniki

Górecki uspokaja, że ćwiczenia wojskowe z udziałem Tsai Ing-wen odbywają się kilka razy do roku. A zaraz po ostatnich prezydent wzięła udział w otwarciu najdłuższej ścieżki rowerowej na Tajwanie. Zapewniają, że Tajwańczycy zachowują właściwy sobie hart ducha:

– Jesteśmy bardzo zdyscyplinowanym narodem. W czasie pandemii stosujemy się do obostrzeń, a gdy tylko pojawiła się możliwość szczepień, chętnie z niej skorzystaliśmy. Gdybyśmy teraz czuli zagrożenie, postąpilibyśmy analogicznie, zwińjąc szyki. Dowiadywalibyśmy się na przykład, gdzie są schrony przeciwlotnicze, publikowalibyśmy ich adresy w sieci, przygotowalibyśmy pakiety, które skądinąd powinniśmy tak czy owak mieć pod ręką na wypadek trzęsienia ziemi czy tajfunów. Czujemy się bezpiecznie i nie spodziewamy się paniki.

Górecki jednocześnie przyznają, że Chiny dysponują innymi środkami nacisku na Tajwan. Mają np. możliwość blokady żeglugi na Morzu Południowochińskim.

– Jeśli Pekin zechce nas dziś zaatakować – dodaje Lin-Górecka – to przede wszystkim będzie osłabiać nasze morale. Przekonywać, że jesteśmy słabsi niż zwykle i nikt nie stanie w naszej obronie. Ale wierzę, że to się nie uda, bo zbudowaliśmy skuteczne państwo. Także Ukraińcy przez ostatnie osiem lat wzmacniali w swoim kraju nie tylko armię, ale demokrację i społeczeństwo obywatelskie. Gdy w 2017 r. rozmawiałam z Igorem Miecikiem, powtarzał, jak ważna jest codzienna troska o, uwaga, parki i ścieżki rowerowe. Może nam się to wydać trywialne, ale Miecik już wówczas był przekonany, że to właśnie ona zmienia Ukrainę. Dzisiaj widzę, że miał absolutną rację. Dlaczego? Bo demokracja jest jak układ odpornościowy. Działa zarówno wtedy, gdy państwo wzrasta, jak i wówczas, gdy grozi mu wyniszczenie. ©

TOMASZ

Stawiszyński: W innym świecie



NA TWARZY JOHN BERMANA – BĄDŹ CO BĄDŹ DOŚWIADCZONEGO amerykańskiego dziennikarza – widać było rosnące zdziwienie. 9 marca 2022 r. w prowadzonym przez niego w CNN programie „New Day” gościł ukraiński restaurator, youtuber i muzyk Misza Katsurin. Przez dłuższy czas po wybuchu wojny – opowiadał łączący się wprost z Kijowa gość – jego mieszkający w Rosji ojciec w ogóle się z nim nie kontaktował. Żadnego telefonu z pytaniem, czy wszystko w porządku, żadnego smsa – choć przecież dookoła spadały bomby i przemieszczały się obce wojska. Wreszcie Katsurin sam postanowił do ojca zadzwonić. I wtedy usłyszał, że to... nieprawda. Nie masz racji, synu – mówił ojciec. Jakie znowu bomby? Jaka znowu inwazja? Rosja rozpoczęła pokojową operację w Ukrainie, żeby was uratować od nazistowskiego reżimu. I tyle. Żadnych argumentów ojciec nie przyjmował, nie udawało się go przekonać, że jest inaczej. „On żyje w innym świecie” – podsumował syn w rozmowie ze zdziwionym Bermanem. A wcześniej opisał to w niezwykle popularnym poście na Instagramie, za sprawą którego otrzymał zaproszenie do CNN.

Ale co to właściwie znaczy, że ojciec Miszy Katsurina „żyje w innym świecie”? Czy tę diagnozę – powtarzającą się zresztą w licznych komentarzach i diagnozach dotyczących współczesnej Rosji – należy rozumieć dosłownie, czy raczej metaforycznie? Czy jest to po prostu ujęcie w efektownie brzmiącą przenośnię cokolwiek banalnej konstatacji, że każda totalitarna władza potrzebuje skutecznej propagandy? Istotą totalitaryzmu jest przecież rewolta przeciw rzeczywistości, przeciw autentycznym ludzkim potrzebom, przeciw ludzkiej i nie-ludzkiej naturze, wreszcie przeciw dobrostanowi społeczeństwa i jednostki. A warunkiem koniecznym do utrzymania takiej kontrfaktycznej ofensywy jest staranne jej zakłamanie.

Czy o to chodziło Miszy Katsurinowi? A może miał on na myśli osławiony *ruszski mir*, osobną cywilizację kierującą się swoistym systemem wartości? Świat rządzony logiką różną od tej opartej na prawie wyłączanego środka i dlatego dla ob-

cych niemożliwy do pełnego objęcia rozumem. Skądinąd wielu przenikliwych znawców spraw geopolitycznych i militarnych w ten właśnie sposób tłumaczyło swoją długotrwałą pewność, że Putin tej wojny nie rozpocznie. Bo przecież w żadnym razie mu się to nie opłacało, a poza tym, jeśli ktoś faktycznie chciałby dokonywać zbrojnej inwazji, to wszak najpierw przez kilka miesięcy nie gromadziłby demonstracyjnie wojsk pod granicą. To logiczne: ktokolwiek naprawdę chce zaatakować, ten do ostatniej chwili udaje, że atak to ostatnie, co mu chodzi po głowie. No ale Putin – tak się tłumaczyli analitycy – „kieruje się inną logiką”. Jaką? W każdym razie taką, której zachodni umysł nie jest w stanie zrekonstruować.

Ale może chodzi tu o zjawisko sięgające jeszcze głębiej? Niesłusznie dziś zapomniany, znany już tylko w wąskich kręgach badaczy, XX-wieczny włoski antropolog Ernesto de Martino twierdził, że rzeczywistość nie istnieje sama w sobie, lecz powstaje przy wydatnej współpracy naszych aparatów poznawczych. Badając fenomen zjawisk magicznych w społecznościach pierwotnych, de Martino stawiał – tyleż efektowną, co, przynajmniej, karkołomną – tezę, że magia... naprawdę działa tam, gdzie ludzie powszechnie w nią wierzą. Przy czym działanie należy tu rozumieć literalnie – jako „obiektywne” występowanie określonych zjawisk, nie zaś jako, dajmy na to, zbiorową halucynację. Być może więc – niewykluczone, że tak by to widział de Martino – ojciec Miszy Katsurina naprawdę żyje w innym świecie, w którym sprawy mają się odmiennie niż w naszym?

Niezależnie jednak od tego, którą przyjmujemy interpretację – banalną, racjonalną czy karkołomną – jedno wydaje się oczywiste. Nie ma wspólnoty bez wspólnego świata i nie ma wspólnego świata bez narzędzi, z pomocą których da się do niego dotrzeć, oraz języka, z pomocą którego da się o tym rozmawiać. Ludzki umysł – a wiemy to m.in. dzięki literaturze, sztuce, filozofii, psychologii, biologii i neuronaukom – nie jest wcale aż tak bardzo zainteresowany poznaniem świata i siebie. Wręcz przeciwnie. Prawda – zwłaszcza taka, która rozbija komfort, zmusza do rewizji już powziętych przekonań, stawia pod znakiem zapytania wszelkie oczywistości – to coś, przed czym nader często starannie się chronimy. Docieranie do prawdy wymaga wysiłku, bywa mozolnym trudem przebijania się przez kolejne warstwy fałszu.

Kim się jednak stajemy bez tego wysiłku, bez gotowości do jego podjęcia?

Zapytałbym o to chętnie ojca Miszy Katsurina, ale nie sądzę, by chciał podjąć rozmowę. ©

Przed Sądem Rejonowym w Oławie w sprawie sygn. akt I Ns 476/21 toczy się postępowanie z wniosku Gminy Brzeg o stwierdzenie nabycia spadku po Annie Grabowskiej z d. Zalewskiej, córce Stanisława i Pauliny, zm. 9 listopada 2020 r. w Oławie i tu ostatnio na stałe zamieszkałej.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim w Wydziale I Cywilnym toczy się postępowanie w sprawie I Ns 375/21 o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Kuchta, zmarłej 15 grudnia 2019 r. w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stałe zamieszkałej w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku po ww., gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Podkast Powszechny: UKRAINA broni Europy

„Nad ranem spadają pociski i one mogą trafić akurat w twój dom – na to nie da się być gotowym” – życie pod raketami relacjonuje **Paweł Pieniążek** z oblężonego Kijowa

„Cyberwojna nie uznaje granic. I próbuje walczyć o nasze umysły” – o tajnym froncie Putina opowiadają **Agata Kaźmierska** i **Wojciech Brzeziński**

Kim jest przywódca Czeczenii i najwierniejszy sługa Kremla, Ramzan Kadyrow – o pierwszej wojnie Putina mówi **Wojciech Jagielski**

„Mężczyzna na granicy wyjmuję bagaże, ściska żonę, dzieci wieszają mu się na szyi. Wsiada w samochód i odjeżdża, kobiety i dzieci idą w stronę Polski” – opowiada **Marek Rabin**

oraz: czy da się spakować życie do jednej walizki? Jak możemy pomóc Ukrainie? Jak świat naukowy reaguje na tę wojnę?

Słuchaj na **TygodnikPowszechny.pl/podkast** oraz na:



Wspieraj na:



PATRONITE





NICK PARRINO / LIBRARY OF CONGRESS

Rozdawanie chleba przez Polski Czerwony Krzyż w obozie polskich uchodźców w Teheranie, 1943 r.

UCIECZKA DO WOLNOŚCI

80 lat temu ponad sto tysięcy obywateli polskich wydostało się z sowieckiej matni.
Znaleźli schronienie głównie na Bliskim i Środkowym Wschodzie.
Wielu z nich miało nie wrócić do ojczyzny.

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

POLAKOM, KTÓRZY WIOSNĄ 1942 R. PŁYNĄ statkami przez Morze Kaspijskie – z sowieckiego Krasnowodzka (dziś turkmeńskiego Turkmenbaszy) do irańskiego Pahlawi (obecnie Bandar-e Anzali) – towarzyszy nie tylko zrozumiała dreszcz emocji, ale także bezgraniczna radość.

Będąca wówczas dzieckiem Barbara Kulikowska zanotuje: „Za chwilę będziemy na wolnej ziemi, z dala od Sowietów, gdzie nic nam nie będzie grozić i nigdy nie zabraknie jedzenia. Bogu będziemy dziękować za ocalenie, a szachowi Persji za przyjęcie nas”.

„Zastanawiam się – dodaje Kulikowska – czy jest ktoś, kto stracił rodzinny dom, ojczyznę, przeżył niewolę i potrafiłby określić smak odzyskanej wolności. To uczucie wydaje się niemożliwe do nazwania. Do dzisiaj pamiętam te dni, kiedy niektórzy Polacy padali na kolana na wybrzeżu Morza Kaspijskiego w Pahlawi i całowali złoty piasek”.

Jak do tego doszło? Zaczniemy od początku.

Schemat eksterminacji

We wrześniu 1939 r. sowiecka Rosja wypełnia sojusznicze zobowiązania wobec nazistowskich Niemiec i siłą anektuje ponad połowę terytorium Rzeczypospolitej. W podbitym kraju terror uderza głównie, choć nie wyłącznie, w społeczne elity. Represje osiągają kulminację wiosną 1940 r.: na rozkaz Stalina NKWD morduje w zbrodni katyńskiej blisko 22 tys. Polaków – nie tylko wziętych do niewoli oficerów, lecz także cywilnych więźniów politycznych.

Na podbitym terenie władzę Kremla umacnia też brutalna polityka ludnościowa. W lutym, kwietniu i czerwcu 1940 r. oraz w maju i czerwcu 1941 r. Sowietci wywożą w głąb swego kraju łącznie ponad 320 tys. polskich obywateli: urzędników, osadników, kolonistów, leśniczych, rodziny osób aresztowanych przez NKWD, uchodźców wojennych z centralnej Polski itd. Wśród deportowanych są nie tylko etniczni Polacy, lecz także Białorusini, Ukraińcy, Żydzi. Celem operacji jest rozbicie struktur społecznych, wyrugowanie polskości i eksterminacja osób uznanych za „wroga klasowego”.

Schemat wywózki jest podobny. Dramat zaczyna się w nocy lub nad ranem. W pamięci świadków pozostaną zakodowane łomot do drzwi i krzyki:

„*Odkrywaj!*” („*Otwieraj!*”), a potem rewizja, grabież, niszczenie mienia. Pada rozkaz spakowania niezbędnych rzeczy. „*Bystryj!*” („*Szybciej!*”) – ponaglają enkawuści.

Sterroryzowani i zdeorientowani ludzie trafiają na najbliższą stację kolejową, a stamtąd ruszają w nieznane zatłoczonymi wagonami towarowymi. Podróż trwa nawet kilka tygodni. Odbywa się w ciasnocie i brudzie. Jest znaczone tragediami – śmiercią, kalectwem, chorobami. Obywatele z ziem wschodnich II RP na zawsze żegnają rodzinne strony.

„Przejeżdżając przez granicę polsko-rosyjską [tj. tę sprzed września 1939 r. – red.] zapanował smutek i płacz. Wiedzieliśmy, że wjeżdżamy w kraj biedy, nędzy i głodu, mając małe nadzieje na wydostanie się stąd. (...) Po drodze zostawialiśmy trupy starców i dzieci, którzy nie przetrzymali tej jazdy” – zapisze pewien deportowany ze Lwowa chłopiec.

Szliśmy 200 kilometrów

Obywatele polscy, rozproszeni m.in. na bezkresach Kazachstanu, Uralu i Syberii, trafiają do nadzorowanych przez NKWD osiedli. Przeżywają szok kulturowy. Wegetują w ziemiankach, lepiankach, barakach, namiotach. Warunki socjalno-higieniczne urągają standardom. Ludzie tracą zdrowie przy wyrębie lasu, zbiorach zbóż i bawełny, w kopalniach. Umierają z powodu chorób, głodu, zimna, giną w wypadkach. Doświadczają sytuacji granicznych.

Szczególnie bolesny jest los dzieci, skazanych na łaskę i – częściej – niełaskę Sowietów. Wiele umiera. Są zmuszane do pracy, indoktrynowane, rusyfikowane, poddane ateizacji. Cierpią psychicznie i fizycznie, zwłaszcza sieroty. Po wyjściu ze Związku Sowieckiego pewien nastolatek notuje: „W Rosji straciłem i ojca, i matkę, i brata, i siostrę. Bardzo mi dlatego smutno”. Mimo represji wychowane w patriotycznym duchu dzieci wykazują hart ducha i nie poddają się.

Sytuację obywateli RP zmienia 22 czerwca 1941 r. atak Niemiec na ich sojusznika – Związek Sowiecki. 30 lipca tego roku premier gen. Władysław Sikorski zawiera układ z władzami sowieckimi. Na jego mocy zostają na nowo nawiązane stosunki bilateralne, powstają Polskie Siły Zbrojne (PSZ) w Związku Sowieckim, a obywatele polskich obejmuje tzw. amnestia.

Tak zwana, bo przecież z prawnego punktu widzenia nie uczynili nic złego. Jej zastosowanie nie ma więc nic wspólnego z rzeczywistością – w zamyśle Kremla służy legitymizacji bezprawnych represji popełnionych przez Sowietów po 17 września 1939 r. Mimo to gabinet Sikorskiego przyjmuje tę polityczną znie wagę – w imię ratowania rodaków.

Na czele armii polskiej w Związku Sowieckim staje gen. Władysław Anders – uwolniony z Łubianki na mocy „amnestii” żołnierz Września '39. Cywile i wojskowi zmierzają do miejsc formowania się armii, zlokalizowanych w republikach środkowoazjatyckich – Buzułuku, Tatiszczewie, Tockoje. Są zdeterminowani, walczą o życie. Pewien pięcioletni chłopiec pochodzący z powiatu wilejskiego notuje: „Szliśmy 200 kilometrów na piechotę, przez góry, naturalnie że boso, po ostrych kamieniach, w 40 stopniach ciepła i bez wody”.

Formująca się armia cierpi na brak kadry oficerskiej – eksterminowanej w ramach zbrodni katyńskiej. Szwankuje aprowizacja, nie starcza mundurów, ekwipunku, broni. Mimo nieprzygotowania żołnierzy już w lutym 1942 r. Stalin chce wysłać Polaków na front – jako mięso armatnie. Sprzeciwia się temu Anders.

Szalone tempo

Wobec pogarszającej się sytuacji wokół polskiej armii Anders postanawia ewakuować z „niebezpiecznej ziemi” (jak nazywa ją Józef Czapski) tylu ludzi, ilu się da. Według najnowszych ustaleń historyka Sławomira Kalbarczyka zwraca się do Stalina z propozycją przeniesienia armii na Środkowy Wschód, ale nie informuje o tym władz polskich i brytyjskich. Anders diagnozuje, że sytuacja militarna wymaga wzmocnienia rejonu Bliskiego Wschodu. Polacy mogą tam pomóc Brytyjczykom w przyszłej walce z Wehrmachem, który atakuje przez Egipt oraz Kaukaz, aby zdobyć ropoносne ziemie. Po konsultacjach inicjatywa Andersa zostaje ostatecznie przyjęta wspólnie przez szefów rządów Polski, Wielkiej Brytanii i Związku Sowieckiego.

Anders chce, by do ewakuacji dołączyli cywile. Po latach pisze we wspomnieniach: „Ludzie marli w ośrodkach przejściowych i zapasowych setkami i tysiącami. Wydałem zarządzenia dołączenia do transportów wojskowych każdego Polaka, który się zgłosi. Polecilem dołączyć ➔

→ sierocińce i ochronki dla dzieci”. Za tę decyzję bierze osobistą odpowiedzialność.

Niektórzy nie mają jednak szczęścia: nie dociera do nich informacja o „amnestii” i ewakuacji, nie zostają wypuszczeni z miejsca zesłania, albo są chorzy i nie nadają się do podróży, spóźniają się przez trudności komunikacyjne.

Ewakuacja do Iranu odbywa się w tempie szalonym jak na sowieckie warunki. „Pewnie bardzo zależy im na tym, by się nas pozbyć, byśmy w tak dużej masie nie byli” – czytamy pod datą 24 marca 1942 r. w dzienniku czynności gen. Andersa. Polskie władze wojskowe przygotowują wykazy ewakuowanych. Ze strony sowieckiej procedurę nadzoruje generał NKWD Gieorgij Siergiejewicz Żukow.

Wolność jest blisko. Ale śmierć – np. z głodu i wyczerpania – nadal dziesiątkuje całe rodziny. W jednym z kołchozów w Uzbekistanie z siedmiu polskich rodzin przeżywa tylko dwuletnia dziewczynka. Świadek zapamięta jej słowa: „Tatuś nie chce wstać. Zosia płakać i płakać”. Dalsze losy dziecka są nieznane.

W pierwszej turze ewakuacji – od 24 marca do 5 kwietnia 1942 r. – Związek Sowiecki opuszcza ponad 33 tys. żołnierzy i prawie 11 tys. cywilów, w tym 3 tys. dzieci. Z Krasnowodzka zatłoczone do granic wyporności sowieckie statki z uchodźcami płyną do Pahlawi (noszą one m.in. takie nazwy jak „Beria” czy „Mołotow”). Kilkundniowa podróż odbywa się w trudnych warunkach. Jest też lądowa droga ewakuacji: prawie 3 tys. cywilów przybywa przez malownicze góry Kopet-dag do Aszhabadu, a stąd do irańskiego Meszhedu; później zostają przetransportowani do Teheranu. Część uchodźców – głównie dzieci – jedzie do Indii.

Stan zdrowia ewakuowanych, a zwłaszcza najmłodszych, jest generalnie bardzo zły.

Z mrocznego snu

Przybycie do Iranu wywołuje wśród polskich obywateli euforię. Dotyczy to wszystkich – bez względu na płeć, wiek, wykształcenie. Rabin Wojska Polskiego Pinkas Rosengarten zapisze we wspomnieniach: „Nastroje uciekinierów zmieniły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w momencie przybycia do irańskiego nabrzeża, do portu Pahlevi – tak jakby obudzili się z długiego, mrocznego snu. Z gardeł setek podróżnych wydobywały się okrzyki radości, szczęścia i zado-



Polskie kobiety w obozie dla uchodźców, Teheran, 1943 r.

Przybycie do Iranu
wywołuje wśród polskich
obywateli euforię.

**„Nastroje zmieniły się
jak za dotknięciem
czarodziejskiej różdżki”,**

pisze rabin Wojska Polskiego.

wolenia. Z chwilą zejścia na irański ląd ludzie wpadali w euforię, gdyż kończyli długą podróż pełną niebezpieczeństw i cierpień”.

Silne emocje towarzyszą też tym, którzy docierają do Iranu drogą lądową. Iwona Gronkowska, wtedy dziecko, zapamięta: „Po karkołomnej jeździe górską drogą dotarliśmy do granicy perskiej. Po jej przekroczeniu – kiedy zdaliśmy sobie z tego sprawę – smutny nastrój zmienił się w euforię. Łzy smutku przeobraziły się w łzy radości. Popłynęły modlitwy dziękczynne, śpiewy, okrzyki. Nie mogłam uwierzyć, że to rzeczywistość, że naprawdę opuszczam ten kraj naszego nieśczęścia, udręki, kraj straszny, krainę zła niemożliwego do wyobrażenia, rządzoną zasadami perfidnymi, pokrętnymi i skazującymi człowieka na zagładę, niedającą mu szans”.

W Pahlawi powstają prowizoryczne obozy relokacyjne, a w Kazwinie szpital. Wielu nocuje pod gołym niebem – na plażach. Z powodów sanitarnych muszą spalić swój dobytek: płomieniem trawia znoszone mundury, ubrania cywilne. Nikt nie żałuje spalonych rzeczy. Korzy-

stają z możliwości obmycia się w słonej wodzie. To swoisty rytuał oczyszczenia i początek nowego życia.

Do 25 kwietnia 1942 r. pierwsza rzesza uchodźców opuszcza gościnne Pahlawi i górkami serpentynami dociera do Teheranu.

Powrót do życia

Wśród wygnańców zachodzi trudny, choć zarazem fascynujący proces „przyzwyczajania się z powrotem do świata”. Odkrywają egzotykę Orientu; na ich oczach materializuje się świat znany dotychczas z opowiadań z „Księgi tysiąca i jednej nocy”.

Początkowo, mimo starań Brytyjczyków (w czym ważną rolę odgrywa m.in. szef ich misji ppłk Alex Ross) i gościnności Irańczyków, egzystencja uchodźców z Lechistanu jest ciężka. W biednym i zróżnicowanym społecznym Iranie brakuje pomieszczeń, lekarstw, ubrań, wśród uchodźców szaleją choroby z tyfuszem na czele. W Pahlawi zostaje założony polski cmentarz.

Z czasem maszyna administracyjna zaczyna działać coraz sprawniej. Polskie władze wojskowe i cywilne, w tym zwłaszcza poselstwo pod kierownictwem ministra Karola Badera, współpracują z Irańczykami i robią, co mogą, by pomóc uchodźcom.

Ważny jest los najmłodszych. Dzieci i młodzież przebywają w Teheranie. Sierocińce powstają w Meszhedzie i Isfahanie; w tym ostatnim mieście panują korzystne warunki klimatyczne i mieszkaniowe, dlatego dotrze tam najwięcej, gdyż ponad 2 tys. małych uchodźców. Wspólnie uczą się i bawią w utworzonych dla nich zakładach wychowawczych.

Pod koniec lipca 1942 r. władze sowieckie pozwalają przesunąć na Środkowy Wschód pozostałą część polskiej armii i cywilów. W drugiej turze ewakuacji od 10 sierpnia do 1 września 1942 r. przybywa do Pahlawi ok. 44 tys. żołnierzy i urzędników państwowych oraz 26 tys. cywilów, w tym 9,6 tys. dzieci. Do połowy października ludzie ci zostają ulokowani w stolicy Iranu.

Okno zostaje zamknięte

W sumie w roku 1942 Związek Sowiecki opuszcza ponad 112 tys. obywateli polskich, w tym 77 tys. żołnierzy; wśród cywilów jest prawie 13 tys. dzieci. Niestety, większość obywateli polskich pozostaje

na „nieludzkiej ziemi”. Część wróci później – żołnierze z podporządkowaną Sowietom armią, a cywile w ramach ekspatriacji. Wielu tam umrze.

Tymczasem siły polskie w Iranie wchodziły w skład brytyjskiej 10. Armii (z obawy przed wzrostem wpływów Berlina od przełomu sierpnia i września 1941 r. Wielka Brytania okupuje Iran razem z Sowietami). 12 września 1942 r. Sikorski wydaje rozkaz utworzenia jednolitej Armii Polskiej na Wschodzie, powstałej z połączenia jego oddziałów z jednostkami wchodzącymi w skład Wojska Polskiego na Środkowym Wschodzie. Są rozlokowani w obozach na pustyniach Iraku. Z kolei w Palestynie powstają tzw. szkoły junackie (dla nastolatków), działa też Legia Oficerska, Pomocnicza Służba Kobiet, ośrodki szkoleniowe.

Równocześnie pogarszają się stosunki polsko-sowieckie. Jeszcze w kwietniu 1942 r. Kreml wstrzymuje pobór do armii Andersa. W styczniu następnego roku wprowadza tzw. paszportyzację, która

oznacza, że wszyscy mieszkańcy ziem zajętych w 1939 r. przez Armię Czerwoną stają się automatycznie obywatelami sowieckimi.

Wreszcie 13 kwietnia 1943 r. wybucha polityczna bomba. Niemcy informują o odkryciu w Katyniu grobów polskich oficerów zamordowanych przez NKWD. Rząd Sikorskiego oczekuje wyjaśnień, a w odpowiedzi 25 kwietnia Kreml zrywa stosunki dyplomatyczne z legalnymi władzami RP w Londynie. Okno ewakuacyjne dla Polaków zostaje zamknięte.

Później

Los rozdziela żołnierzy i cywilów. Armia Polska na Wschodzie, która od lipca 1943 r. nosi nazwę 2. Korpusu Polskiego, szkoli się na pustyniach Iraku, Palestyny i w górach Libanu. W grudniu 1943 r. żołnierze płyną z egipskiej Aleksandrii przez Morze Śródziemne do Włoch, gdzie będą walczyć z Niemcami. Szlak bojowy „tułaczey armii” wyznaczą miejsca symbole, jak Monte Cassino, Ankona, Bolognia.

Natomiast w dwóch dużych falach relokacji, jesienią 1943 oraz 1945 r., uchodźcy-cywile wyjadą z Iranu na wszystkie kontynenty: do Argentyny, Australii, Indii, Kanady, Libanu, Meksyku, Nowej Zelandii, Palestyny, USA, Wielkiej Brytanii, krajów Afryki Południowej i Afryki Środkowej. Niektórzy zdecydują się potem na powrót do ojczyzny, gdzie panuje już komunizm (dla wielu krok ten skończy się źle).

Charakter nowego systemu panującego w Polsce poznaje też wspomniany ppłk Ross: pragnąc zobaczyć po wojnie, co dzieje się w jego „ukochanej Polsce” (w 1933 r. spędził w niej rok, ucząc się języka polskiego), razem z brytyjską drużyną piłkarską jedzie do Warszawy.

Po latach jego syn David zanotuje: „Nie wiem, jaki był wynik meczu, ale wiem, że Ojciec był przerażony tym, co tam zobaczył”.

© BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

Autor jest doktorem historii, pracuje w warszawskim oddziale IPN.

REKLAMA

„(---)
ugruntowanie
dziewcząt
do cnoty
niewieścich.”

DLA
CPK

– P. Skrzydlewski



Centrum
Praw
Kobiet

**PRZELEJ GNIEW NA NASZE KONTO
PRZEKAŻ 1% SWOJEGO PODATKU
DLA CENTRUM PRAW KOBIECI**

KRS 0000188668

SEKRETNE ŻYCIE PSZCZÓŁ

Większość gatunków nie produkuje miodu, nie spotykamy też u nich królowej i robotnic. Są nawet takie, które podrzucają jajeczka do obcych gniazd.

TEKST I ZDJĘCIA: JUSTYNA KIERAT

GDYBYŚMY PRZEPROWADZILI ANKIETĘ uliczną z pytaniem o charakterystyczne cechy pszczół, z pewnością usłyszeliśmy o zapylaniu roślin, produkcji miodu i wosku, życiu w koloniach złożonych z królowej i robotnic, być może również o uządleniach. Biolog szybko zauważy, że składa się to na niezły opis pszczoły miodnej.

Tymczasem oprócz niej w samej Polsce zaobserwowano jak do tej pory ponad 480 gatunków – to więcej niż występuje w naszym kraju gatunków ptaków. Na całym świecie opisano zaś ponad 20 tys. gatunków pszczół – i liczba ta stale rośnie. Pszczoły inne niż miodna również zapylają rośliny, zarówno dzikie, jak i uprawne, i niejednokrotnie robią to bardziej efektywnie niż słynna mieszkanka uli. Część innych cech kojarzonych z pszczolą miodną występuje u niewielu gatunków.

Samotność na łące

Życie w rodzinach złożonych z królowej, której głównym zadaniem jest składanie jaj, i robotnic, odpowiedzialnych za wszelkie prace w gnieździe, o bardzo ograniczonych możliwościach rozmnażania się, jest charakterystyczną cechą gatunków społecznych. Szacuje się, że stanowią one zaledwie około 10 proc. gatunków pszczół. W Polsce należą do nich trzmiele, żyjące dość podobnie jak

pszczoła miodna, a także pewni przedstawiciele rodziny smuklikowatych (*Halictidae*), których kolonie liczą niejednokrotnie zaledwie kilka samic i w których gniazdach nie znajdziemy miodu. Większość gatunków stanowią natomiast samotnice, u których każda samica pełni jednocześnie funkcję robotnicy i królowej: buduje gniazdo i zaopatruje je w pokarm, ale także składa w nim swoje jaja. Cała ta praca jest przez nią wykonywana samodzielnie, bez pomocy innych samic.

Bodaj najbardziej znanym gatunkiem pszczoły samotnej jest murarka ogrodowa (*Osmia bicornis*), coraz częściej hodowana jako zapylacz sadów. Z naszego punktu widzenia jej zaletą, oprócz efektywnego zapylania, jest także brak agresji przy gnieździe. Murarki, podobnie jak inne samotnice, żądają tylko w ostateczności, np. przydepnięte lub złapane w rękę.

Oprócz pszczół społecznych i mniej znanych pszczół samotnych jest trzecia, jeszcze bardziej tajemnicza grupa. To pszczoły pasożytnicze. Co ciekawe, w przyrodzie wcale nie są one czymś wyjątkowym. Szacuje się, że w Polsce stanowią około 25 proc. gatunków pszczół – to więcej niż gatunków społecznych! Nie przekłada się to jednak na liczbę osobników: zwykle to gatunki społeczne tworzą najliczniejsze populacje, a pasożyty są rzadkie. U pszczół nie są one jednak aż tak rzadkie, byśmy nie mieli szans zoba-



czenia jakiegoś osobnika podczas spaceru po łące.

Komu potrzebny pyłek

Pszczoły pasożytnicze są często nazywane również kukułkami, i w odniesieniu do większości z nich jest to nazwa nadzwyczaj trafna. Nie mamy tu bowiem do czynienia z pasożytnictwem tego rodzaju, jak w przypadku wszy, tasiemców czy drobnych organizmów żyjących na powierzchni lub wewnątrz ciała swojego żywiciela i odżywiających się jego kosztem. Dorosłe pszczoły kukułki odwiedzają kwiaty i same troszczą się o siebie. Nie budują jednak własnych gniazd, a ich potomstwo rozwija się w gniazdach innych gatunków pszczół, społecznych lub samotnych.

Kukułki są mocno wyspecjalizowane – zazwyczaj jeden gatunek pasożyta atakuje zaledwie jeden lub kilka gatunków gospodarzy. Mają szereg przystosowań do swojego trybu życia, z których najbardziej charakterystycznym jest utrata części ciała służących do przenoszenia pyłku.

U pszczół samotnych i społecznych samice muszą zbierać duże ilości pyłku i przenosić go do gniazda, by nakarmić potomstwo. Transport zazwyczaj odbywa się na tylnych odnóżach. U pszczoły miodnej i trzmieli służą do tego tzw. koszyczki, czyli płaskie powierzchnie na tylnych голениach otoczone włoskami, do których przyczepia się skleiony nektarem i uformowany w kulkę pyłek. Inne gatunki mają na tylnych nogach gęste włoskowe szczoteczki. Pyłek więźnie między rozgałęzionymi włoskami i może być bezpiecznie przeniesiony do gniazda, a potem wy-

czesany przez pszczołę w miejscu przeznaczenia.

U części gatunków podobna szczoteczka zlokalizowana jest nie na nogach, lecz na spodzie odwłoka – w ten sposób przenosi pyłek np. murarka ogrodowa. Do wyjątków należą samotki (*Hylaeus*), które zamiast magazynować pyłek gdzieś na powierzchni ciała, połykają go i przenoszą w wolu. Samicom pasożytów wszystkie te przystosowania są zbędne. Jedyny pyłek i nektar, który zbierają, to ten na własne potrzeby, zjadany na miejscu na kwiatkach. Struktury do przenoszenia pyłku, obecne u ich niepasożytniczych przodków, zanikły więc u nich w toku ewolucji.

Zbrodnia w gnieździe

Co ciekawe, wiele gatunków pszczół samotnic gniazduje w koloniach. Są to zgrupowania gniazd, zlokalizowanych jedno obok drugiego, każde należące do innej samicy. Mimo że jedna kolonia może liczyć niekiedy setki i więcej gniazd, na pierwszy rzut oka identycznych, każda pszczoła trafia do własnego, nosi do niego pokarm i składa w nim jaja. Odnalezienie gniazda nie zawsze jest łatwe, ale samice – posługując się wzrokiem i węchem – dokonują tej sztuki z zadziwiającą precyzją. Jeśli któraś przez pomyłkę wejdzie do cudzej norki i zostanie na tym przyłapana przez właścicielkę, wywiązuje się walka. Nie ma mowy o współpracy w opiece nad gniazdem i potomstwem, tak oczywistej w rodzinach pszczół społecznych.

Jeżeli będziemy mieli szczęście obserwować pszczoły w takiej kolonii – a może ona być zlokalizowana np. na słabo porośniętym roślinnością skrawku gleby, w glinianej skarpie czy na trawniku – zauważymy samice wylatujące z gniazd i wracające do nich z pokarmem, a być może również samce kręcące się w pobliżu i wypatrujące potencjalnych partnerek. Czasami naszą uwagę może przyciągnąć jednak pszczoła wyglądająca inaczej niż większość mieszkanki kolonii, która krąży między gniazdami i zagląda do nich, jak gdyby czegoś szukała. Czasami przysiadzie w pobliżu jednej z norek, obserwując wejście. To właśnie samica pszczoły kukułki, wyczekująca okazji do złożenia jaj. Musi odnaleźć odpowiednie gniazdo, wejść do niego po kryjomu pod nieobecność właścicielki i złożyć wewnątrz swoje jajo, ukrywając



Mamrzyca (*Epeolus*)
to jedna z pszczół kukułek
występujących w Polsce.



Trzmielec do złudzenia przypominają swoich bliskich krewnych i gospodarzy – trzmiele.

→ je tak, by samica gospodarza po powrocie nie zorientowała się, co zaszło.

Jaja większości pszczoł są obłe i lekko wydłużone – mają kształt zbliżony do grubej kielbaski. Jaja gatunków pasożytniczych miewają o wiele wymyślniejsze kształty – mogą być asymetryczne, mieć urzeźbioną powierzchnię i być bardzo małe. To rodzaj kamuflażu. Kukułka niełoży też jaja, jak inne pszczoły, na porcji pyłku i nektaru umieszczonego w komórce gniazdowej, bo zostałoby ono natychmiast zauważone i zniszczone. Zamiast tego ukryje je, zakopując głęboko w pyłku albo przytwierdzając do ścianki gniazda. Jeśli wszystko pójdzie po jej myśli, właścicielka gniazda dokończy zbieranie pokarmu, po czym złoży własne jajo i zamuruje komórkę gniazdową, zamykając w niej swoje potomstwo razem z pasożytem.

Kiedy obie pszczoły wyklują się z jaj, larwa kukułki, zaopatrzona w mocne żuwaczki, zabije konkurenta, a przeznaczony dla niego pyłek i nektar zje sama. Jeśli będzie to samica, to po przeobrażeniu i przezimowaniu zacznie poszukiwać gniazda do podłożenia swoich jajeczek, dokładnie tak, jak zrobiła to rok wcześniej jej matka. Jeśli natomiast z gniazda wyjdzie samiec, to będzie miał tylko jedno zadanie: odszukać samicę swojego gatunku i odbyć z nią stosunek. Pod tym względem kukułka nie różni się od innych pszczoł – w ogromnej większości przypadków samce nie biorą udziału w żadnym aspekcie budowy gniazda ani opieki nad potomstwem.

Wrogie przejęcie

Pewne gatunki kukułek, zamiast podrzucać jaja do otwartych komórek gniazdowych będących w trakcie budowy, wyszukują takie świeżo zamknięte, w których znajduje się kompletna porcja pokarmu i jajo lub mała larwa. Jaja tych kukułek nie potrzebują specjalnego kamuflażu, gdyż samice samotnic nie zaglądną do raz zamkniętych gniazd, a więc pasożytowi nie grozi zdemaskowanie. Po włamaniu się do wnętrza samica składa własne jajo, po czym zamyka komórkę z powrotem. Czasem zabija również larwę lub jajo gospodarza, wyręczając od tego zadania swoje własne potomstwo.

Pszczoły kukułki mogą pasożytować nie tylko na samotnicach. Wspomniane wcześniej społeczne gatunki z rodziny smuklikowatych pod wieloma względami niewiele różnią się od pszczoł samotnych. Nie karmią swoich larw na bieżąco małymi porcjami, jak pszczoły miodne, ale budują dla nich komórki, w których pozostawiają pokarm na cały okres rozwoju larwalnego.

Nęczyń (*Sphecodes*) mogą atakować rodziny społecznych smuklikowatych w sposób pozbawiony finezji. Samica wdziera się do gniazda gospodarza, nie zadając sobie trudu, by się ukrywać – nie miałoby to sensu, gdyż jest ono stale pilnowane przez którąś z opiekujących się nim samic. Nęczyń walczy więc ze stawiającymi odpór właścicielkami gniazda, oszalałymi przez wydzielanymi przez siebie substancjami chemicznymi i zabijając tyle, ile zdoła, by po wygranej walce

otworzyć ukończone komórki, zniszczyć znajdujące się w nich larwy, złożyć własne jaja i opuścić zniszczoną przez siebie kolonię.

Pszczoły gospodarze nie są bezbronne w zmaganiach z pasożytami – wyewoluowały u nich rozmaite strategie obronne, które mają chronić je przed traceniem potomstwa. Jeśli samica pasożyta zostanie przyłapana w gnieździe, zostanie energicznie przepędzona. Niektóre gatunki murarek przezuwają zebrany przez siebie i ulokowany w gnieździe pyłek. Jeśli wcześniej zostały w nim ukryte jakiegokolwiek jaja pasożyta, zostają tym sposobem zniszczone.

Ciekawy sposób na zmniejszenie ryzyka ataku pasożyta ma pszczolinka napiaskowa (*Andrena vaga*), często spotykana wiosenna pszczoła, darząca szczególnym upodobaniem kwiaty wierzb, z których zbiera pyłek, i piaszczystą glebę, w której kopie norki. W przeciwieństwie do wielu samotnic, które wyruszając po pokarm, pozostawiają wejście do gniazda otwarte, pszczolinka napiaskowa starannie je zasypuje. Na tym nie koniec – kilka centymetrów od gniazda wykopuje płytką jamkę, będącą fałszywym wejściem. Jeżeli pod nieobecność samicy pszczoła kukułka będzie próbowała podłożyć swoje jaja, z pewnością najpierw skieruje się do dobrze widocznej, otwartej jamki, i straci cenny czas, zanim zorientuje się, że została oszukana. Samice pszczolinek tak bardzo przykładają się do konstrukcji fałszywych wejść, że naukowcy obserwowali samice, które powróciwszy do gniazda, najpierw kierowały się do fałszywego wejścia, dopiero po chwili orientując się, że zostały oszukane... przez siebie same.

Podboje trzmiełców

Nie wszystkie pszczoły pasożytnicze podrzucają jaja do cudzych gniazd i zostawiają je swojemu losowi. Trzmielec, podobne do trzmieci nie tylko z nazwy, ale również z wyglądu, i blisko z nimi spokrewnione, w toku ewolucji wykształciły inną strategię. Samica trzmieca wyszukuje gniazdo trzmiecia, kierując się m.in. jego charakterystycznym zapachem, po czym stara się wejść do niego i zastąpić królową. Kiedy się jej to uda, zaczyna składać jaja, a wychowywaniem wyklutych z nich larw zajmują się robotnice trzmiecia z podbitego gniazda.

Droga do tego jest jednak niełatwa. Pierwszym wyzwaniem jest znalezienie gniazda będącego na odpowiednim stadium rozwoju. Jeśli samica trzmielca trafi do kolonii, gdzie jest dużo robotnic, może zostać pokonana i zabita przy próbie wejścia do gniazda. Samice trzmielców są wprawdzie przystosowane do walki – ich kutikula (twardy chitynowy pancerzyk) jest gruba, a żądło mocne – ale gdy przewaga liczebna obrońców jest zbyt duża, może to nie wystarczyć. Z kolei zbyt mała liczba robotnic w dopiero rozwijającym się gnieździe jest łatwiejsza do pokonania, a nawet może pozwolić wślizgnąć się niepostrzeżenie bez walki, ale nie zapewni licznemu potomstwu pasożyta należytej opieki.

Wewnątrz gniazda samica trzmielca może przyczaić się przez jakiś czas, nie rzucając się w oczy i nasiąkając zapachem kolonii, ale w końcu nadchodzi czas na przejęcie władzy. Królowa zostaje zdominowana lub zabita, a ewentualne bunty robotnic są tłumione w zarodku przede wszystkim agresywnym zachowaniem. Uzurpatorka unika zabijania robotnic,

Samice pszczolinek tak bardzo przykładają się do konstrukcji fałszywych wejść do swoich gniazd, że nie tylko udaje im się **oszukać pasożytnicze pszczoły, ale też siebie.**

gdyż – w przeciwieństwie do królowej – są jej potrzebne jako siła robocza. To one wychowują jej larwy.

Wszystkie te fascynujące i brutalne zachowania pasożytniczych pszczoł mogą prowokować do pytania, czy owady te są czymś złym i szkodliwym dla reszty pszczolej społeczności? Pszczoły cieszą się powszechną sympatią. O ich znaczeniu jako zapylaczy, a także licznych (powodowanych działalnością człowieka) zagrożeniach mówi się od dawna. Czy pszczoły pasożytnicze są czarnymi

owcami w tej rodzinie? Nic podobnego. W dobrze funkcjonującym ekosystemie pasożyty są czymś naturalnym, elementem życia gatunków będących ich gospodarzami. Co więcej, ponieważ istnienie pszczoł kukulek jest uzależnione od ich gospodarzy, dla naukowców obecność pszczoł pasożytniczych jest znakiem, że w danym miejscu żyje stabilna populacja tych, na których one pasożytują. Innymi słowy, ekosystem mieszczący zarówno pszczoły społeczne, samotne, jak i pasożytnicze będzie mówił o tym, że nasze wysiłki zmierzające do ochrony pszczoł przynoszą efekty.

Jeśli spotkamy w czasie wiosennych i letnich spacerów samice pszczoły kukulki zajętej poszukiwaniem gniazda nadającego się do podrzucenia swoich jajeczek, nie martwmy się zatem, ale życzymy jej powodzenia. © JUSTYNA KIERAT

Autorka zajmuje się popularyzacją biologii, edukacją przyrodniczą i rysowaniem. Píše i ilustruje książki dla dzieci. Jej prace znaleźć można m.in. na blogu justynakierat.wordpress.com

Z napięcia między ortodoksją a nieortodoksją tworzy się dialog, z którego powstaje opowieść i z którego bierze się świat.

Olga Tokarczuk w rozmowie z Tomaszem Stawiszyńskim „Tropem herezji”

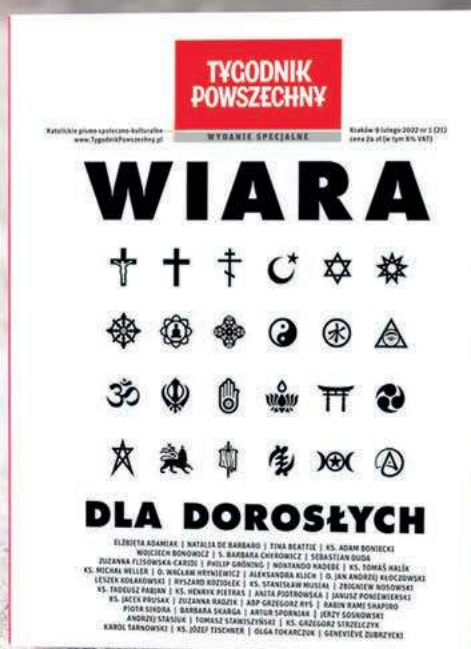
Wydanie specjalne

„Wiara dla dorosłych”

dostępne w najlepszych miejscach z prasą.

Sprawdź na

TygodnikPowszechny.pl/dladoroslych



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP”

GDZIE JESTEŚCIE?

Z Serhijem Żadanem wymieniałam maile. Umawialiśmy się na wywiad. „Pogadamy jutro po południu. Ok?”; „Zadzwoń, proszę, pojutrze”; „Spróbujmy dziś” – pisał. Wojna przybrała na sile. Rozmowy nie udało się nagrać. Czekam.

MAŁGORZATA NOCŃ

ŻADAN ŹLE SIĘ CZUJE W ROLI DOMOROSłego politologa, eksperta od Ukrainy, w której tak często obsadzają go dziennikarze. Woli mówić o literaturze albo muzyce. Na wywiad o pisarstwie nie ma jednak na razie miejsca. Jego „Internat” stał się również w Polsce książką wręcz legendarną, teraz tę wojenną powieść (powstała po pojawieniu się na wschodniej Ukrainie „zielonych ludzików” Putina) czyta się jak spełnione proroctwo.

Dziś Serhij walczy, choć nie wziął do rąk karabinu. To walka pisarza-obywatela, który nie opuścił ukochanego Charkowa. Żyje pod artyleryjskim ostrzałem, w huku bomb, patrzy, jak „jego świat”, jak nazywa miasto, w którym mieszka, zrównywany jest z ziemią.

„Słowo”

Kilka lat temu, jesienią, spotkaliśmy się z Żadanem w Charkowie. „Zadzwoń, jak już dotrzesz” – esemesa Serhija odebrałam w nocnym pociągu relacji Kijów–Charków. Nie znaliśmy się dobrze. Rozmawialiśmy zaledwie kilka razy. Ale kiedy zadzwoniłam, Serhij poddyktował mi swój adres. Rzucił krótkie: „Wpadaj”.

Kamienica w centrum miasta. W mieszkaniu nie tyle bałagan, co nieład: książki, gazety, płyty, kubki z niedopitą kawą. – Musisz być głodna – stwierdził. – Ugotowałem zupę. Idę podgrzać. Na stole położył talerz jarzynówki i kromkę chleba. Słyszałam, że z mieszkania ktoś wychodzi i ktoś do niego wchodzi. W pokoju pojawiła się dziewczyna. Rzuciła, „Cześć”, zapaliła papierosa, zniknęła za drzwiami. Czuło się, że to otwarty, lewacki dom. Spontaniczne imprezy, po których goście zostają do rana. Przeniosłam wzrok na piłkę. Leżała nieopodal stóp Serhija. Wstał, zaczął kopać i odbijać ją o ścianę. „Chodź, pokażę ci miasto” – powiedział.

Od 24 lutego (dzień ataku Rosji na Ukrainę) Żadan prowadzi na swoim profilu na Facebooku coś w rodzaju „pamiętnika z walczącego miasta”. Z przeżyciem oglądam pierwsze zdjęcia: niebo zasnute dymem, ogień, zgliszcza. W mailach pytam, czy jest bezpieczny. 27 lutego Serhij pisze: „Wszystko u mnie w porządku”. 1 marca: „Jestem cały. Bombardują Charków”.

Codziennie na jego profilu pojawiają się nowe zdjęcia i filmy. Bagażnik samochodu osobowego wyladowany po dach. Palca nie wciśniesz. W środku paczki z jedzeniem, środkami czystości, lekami, środkami opatrunkowymi. Pytam jednego z kolegów pisarza, kim teraz jest Żadan. Słyszę: – Krąży między szpitalami, punktami pomocy, odbiera przesылki i przekazuje je potrzebującym. Organizuje jedzenie, ubrania – czyli rzeczy pierwszej potrzeby podczas wojny. Kim jest? Kurierem, sanitariuszem, kierowcą.

Żadan nie „dołączył do wolontariuszy”. To on sam od 2014 r., kiedy na wschodniej Ukrainie rozgorzał konflikt, zaczął tworzyć sieć wolontariatu w Donieckim Zagłębiu Węglowym. Założył fundację, jeździł z aprowizacją na front. Pisarz umieszcza fotografie ludzi, z którymi współpracuje, i dopisek: „przyjaciele”. Są uśmiechnięci. Pokazują znak Victorii. Jakby wojna toczyła się nie w ich mieście, lecz gdzieś daleko.

Serhij publikuje także zdjęcia miasta. Poranione ostrzałem kamienice, zrównane z ziemią budynki użyteczności publicznej. Zasypane gruzem ulice, na których nie ma żywego ducha. Mieszkańcy ukryli się w piwnicach i schronach, czekają na kolejny alarm bombowy. Charkowa, który pokazywał mi kilka lat temu, już nie ma. Wojna zabija ludzi i miasta.

Tamtego jesiennego popołudnia długo spacerowaliśmy po Charkowie, który przedwojenni urbiści zaprojektowali jako „socjalistyczną metropolię”. Co charakterystyczne dla tamtych czasów, wybudowano ją przy fabryce traktorów. Po rewolucji październikowej Charków stał się na kilkanaście lat stolicą Ukrainiejskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Ściągał najlepszych architektów, pisarzy i artystów. Większość tworzyła w duchu wcale nie socjalistycznym, tylko ukraińskim.

Żadan pokazał mi m.in. ukraiński konstrukttywizm. Poszliśmy na ul. Kultury 9. – Budynek „Słowo” – powiedział. Historia pięciokondygnacyjnej kamienicy z lat 20. zeszłego wieku jest dobrze opisana. Kilka lat temu nakręcono o niej nawet film. Z lotu ptaka bryła ma kształt litery C (w alfabecie ukraińskim i rosyjskim C to łańskie S – jak „słowo”). Przed wojną kamienicę zamieszkali najwybitniejsi przedstawiciele ukraińskiej inteligencji. Długo by wymieniać. Byli wśród nich m.in.: Arkadij Lubczenko, Ołeksia Słisarenko, Ostop Wysznia, Wołodmyr Sosiura.

W latach Wielkiego Terroru, nocą, mieszkańców „Słowa” budziło pukanie do drzwi. W progu padało szybko: „Ubrać się”. Wyprowadzeni przez funkcjonariuszy NKWD do kamienicy nigdy już nie wrócili. Trafili do łagrów, gdzie zamęczyła ich katorżnicza praca albo zostali rozstrzelani. Do historii ukraińskiej literatury przejdą jako przedstawiciele „rozstrzelanego odrodzenia”.

7 marca 2022 r. Żadan napisze na Facebooku: „Pocisk uszkodził legendarny budynek »Słowo«. Rosjanie uczynili to celowo: zawsze niszczyli naszą kulturę. Tym razem nie osiągną jednak swojego celu. Rosjanie to barbarzyńcy. A »Słowo« odbudujemy”. Patrzę na zrujnowaną część kamienicy. Wybite okna, wokół gruz.

Andrij Lubka, ukraiński poeta i pisarz, przyjaźni się z Żadanem od wielu lat. Jeszcze do niedawna co kilka dni wymieniali korespondencję (Lubka także został na Ukrainie): – W oblężonym Charkowie pomagają mu przetrwać dwie cechy. Pierwszą nazwałbym „hiperaktywnością”. Bo ten facet musi być w ciągłym ruchu. Nie potrafi beczynnie siedzieć. Drugą charakterystyczną dla niego cechą jest czarne poczucie humoru. Nawet o najgorszych traumach potrafi żartować. Śmiech, ironia towarzyszą mu zawsze.

Miazga

Zanim został okrzyknięty jednym z najwybitniejszych ukraińskich prozaików, Żadan dał się poznać jako poeta. W szkole lubił bawić się słowem. Pierwsze utwory miały charakter dość chuligański. Nie stronił od przekleństw. Ale nauczycielka (w tamtych siermiężnych, radzieckich czasach) zamiast go zrugać, zachwyciła się. Powiedziała mu: „Pisz, masz talent”.

Oprócz pisania, Żadan recytuje i śpiewa. Po jednym z krakowskich koncertów zespołu Sobaki w Kosmosie (Serhij jest jego wokalistą) siedzieliśmy przy piwie. Ktoś odezwał się po rosyjsku i od razu chciał połknąć swoje słowa. Serhij odparł: „Ej, spokojnie. Nie jestem rusofobem”.

Wojna też nie uczyniła z niego rusofoba. Zawsze podkreśla odrębność Kijowa i Moskwy. Jest doskonałym znawcą ukraińskiej literatury, ale wychował się w miejscu, w którym kultura ukraińska i rosyjska się splatają. Piszę tylko po ukraińsku. 8 marca zanotował na Facebooku: „Przyjaciele. Nie zapominajcie, historia nie tylko pisze się na nowo. Ona pisze się w języku ukraińskim”.

Serhij Żadan. Kraków, 8 czerwca 2015 r.

→ W Polsce współczesna literatura ukraińska kojarzyła się długo z „fenomenem stanisławowskim”, czyli pisarstwem Jurija Andruchowycza, Tarasa Prochaški, Jurka Prochaški. Wszyscy oni tworzyli w Iwano-Frankiwsku (dawnym Stanisławowie). Żadan jest pisarzem na wskroś ukraińskim, ale ma inną niż jego zachodnioukraińscy koledzy wrażliwość. Wschodnia Ukraina, z której pochodzi, długo była pomijana w debacie na temat ukraińskiej tożsamości. Czarna dziura. Miazga i otchłań. Młodzi nic, tylko chcą stąd uciec. Jeśli już wspominało się na świecie o ukraińskim pisarstwie, to czyniło się to w kontekście Kijowa, Lwowa i właśnie Iwano-Frankiwska.

Andruchowycz tak pisze o Żadanie: „Wreszcie poeta i prozaik, tłumacz, reżyser i performer spoza kręgu »fenomenu stanisławowskiego«. (...) Udało mu się połączyć tradycję poezji ukraińskiej (szczególnie futuryzmu) i elementy kultury punk z symboliczną przestrzenią industrialną miejskiego krajobrazu”.

Po dwóch pierwszych powieściach – „Big Mac” (2003, wyd. pol. 2005) i „Depeche Mode” (2004, wyd. pol. 2006) – Żadanowi nie tylko udało się przełamać zachodniocentryczny literacki trend, zapoczątkował także w literaturze modę na wschodnią Ukrainę. Ołeksij Czupa (najpierw trzymał w ręku łopatę, by potem chwycić za pióro); Wołodymyr Rafejenko (rosyjskojęzyczny pisarz, który postanowił nauczyć się ukraińskiego i w nim tworzyć); Tamara Horicha-Zernia, czyli Tamara Duda (z wolontariuszki stanie się pisarką i opublikuje niezwykle wzruszającą powieść „Docja” – „Córeczka”, ukazującą wojnę z perspektywy kobiety) to znani dziś „donieccy” autorzy. Ale zadebiutują długo po Żadanie.

To Żadan jako pierwszy opisał wschodnioukraińską prowincję z beznadzieją jej blokowisk, facetami w dresach, cwaniakami-biznesmenami i inteligentami. To w jego książkach znajdziemy brud poradzieckich podwórek. Nie tylko je opisał, udało mu się przemówić ich slangiem (w Polsce dzięki znakomitym przekładom Michała Petryka). Mistrzowsko operuje kontekstem: nawiązuje do historii i tożsamościowych sporów. Czuję wschodnią Ukrainę, bo to jego ziemia. Urodził się w Starobielsku, mieście na południowy wschód od Charkowa, położonym w obwodzie ługańskim – co za



ARCHIWUM PRYWATNE SERHIJA ŻADANA

„Wiele o tej wojnie będzie pisane i śpiewane. To będzie język, który kształtuje się dzisiaj. Ma za dużo bólu, ale wystarczy gniewu, wiary i miłości” (z profilu facebookowego Serhija Żadana). Dniepr, 13 marca 2022 r.

chwilę okaże się ważne – dawniej woroszyłowgradzkim.

Żadan ma jeszcze coś: idealny słuch literacki. Jak mówi Lubka, potrafi wygłosić poważny (wręcz wzniosły i patetyczny) wykład na uniwersytecie, ale też porozmawiać z dressem, a nawet z żulem – po ukraińsku „gopniakiem”. A na scenie łączy swoją poezję z czystym punkiem.

Ojczyzna

Żadan nazywa Donbas i Ługańszczyznę swoją małą ojczyzną. Sportretował ją w dwóch książkach: „Woroszyłowgrad” (2010, wyd. pol. 2013) i „Mezopotamia” (2014, wyd. pol. 2014).

W „Woroszyłowgradzie” do Hermana (głównego bohatera) dzwoni Kocza. „Ma sprawę” – otóż brat Hermana zapadł się pod ziemię. Kocza prosi: niech Herman przyjedzie na kilka dni do Woroszyłowgradu (miasta swojego dzieciństwa). Trzeba dopilnować interesów, Herman – jak to bywa na Ukrainie – pozwolił bratu zarejestrować na siebie biznes. Teraz jest wściekły, bo w Charkowie prowadzi spokojne życie jako „niezależny ekspert” – to znaczy zajmuje się praniem pieniędzy. Żadan pisze: „Redagowaliśmy czyjeś przemówienia, prowadziliśmy seminaria dla

młodych liderów i treningi dla obserwatorów wyborczych, układaliśmy programy polityczne dla nowych partii, rąbaliśmy drewno na dachy taty Bolka, w telewizyjnych talk-show broniłymi demokracji i praliśmy, praliśmy kasę, która przechodziła przez nasze konta”.

Herman wyznaje: „Odnalazłem wszystkich dawnych znajomych, wszystkie swoje stare miłości, wszystkich nauczycieli i wrogów. Dawni znajomi szczerze cieszyli się z mojego powrotu i na tym się kończyło. Stare miłości poznawały mnie ze swoimi dziećmi i przypominały o niewidzialnym upływie czasu, który czyni nas mądrzejszymi, choć do mądrości czyni nas konieczność dodać cellulitu. Nauczyciele prosili o życiowe rady, a wrogowie o pożyczanie jakiegokolwiek sumy”. Wyblakłe fotografie, które bohater Żadana przegląda w albumie kochanki, przedstawiają: pionierów, szkolne akademie „ku czci”, kobiety – zmęczone i zaniebane. Blokowiska, sypiące się mieszkania, dziurawe drogi. Bałagan. W miejskiej infrastrukturze i w ludzkim życiu (każdy rozwiódł się już kilka razy, ma kilka kochanek lub kochanków, były nieślubne dzieci, odsiadki, alkoholizm).

Herman mógłby się poddać, sprzedać biznes brata, zainkasować pieniądze i wrócić do Charkowa, ale nagle okazuje się, że nie o to chodzi. Chodzi o sprawiedliwość. O jakieś ideały – przed mafiosami powiązanymi z miejscową władzą drży bowiem całe miasto. Woroszyłowgrad zaczyna Hermana pociągać. Szuka w nim piękna, seksu, miłości. Choć od przypadkiem spotkanego mężczyzny słyszy: „Wiesz, co ci, Herman, powiem? Wydaje mi się, że wasze problemy są z tego, że za bardzo trzymacie się tych miejsc. Wbiliście sobie do głowy, że najważniejsze to tu zostać, najważniejsze i ani kroku do tyłu, i łapiecie się tej swojej pustki. A tu ni chuja nie ma. Po prostu ni chuja. Tu nie ma się czego trzymać”.

Rozmowa z Olgą, przyjaciółką i księżową Hermana toczy się tak:

– „Chyba chciałaś wyjechać? Co może cię tu trzymać?

– No, jak to co – odpowiedziała po zastanowieniu. – Zawsze są rzeczy, które nas trzymają.

– Zwykle trzyma pewność jutra. Masz pewność jutra?

– Nie – przyznała – nie mam. Ale mam pewność wczoraj. Czasami ona też trzyma”.

W „Mezopotamii” (utrzymanej w podobnym tonie co „Woroszyłowgrad”) Żadan opisze Charków. Nakreśli szkic miasta, do którego przyjechał jako młody chłopak na studia filologiczne. I znów ukaże je przez pryzmat jego mieszkańców. Opisie ich poplątane losy i niełatwe wybory. Posłuży się ironią.

W 2015 r. dostał we Wrocławiu Literacką Nagrodę Europy Środkowej „Angelus” właśnie za „Mezopotamię”. Jury tak uzasadniało werdykt: „I w Mezopotamii, i w ukrywającym swoją tożsamość dzisiejszym Charkowie najważniejsze jest bowiem jedno: »Wszystko znajduje się pomiędzy rzekami i wszystko stąd się zaczyna – i wszystkie historie, i cała miłość«. Brzmi górnolotnie? Niech będzie. Ale »Mezopotamia«, będąca intymnym portretem ukochanego miasta, jest także, a może przede wszystkim, powieścią o miłości. O rozstaniach i powrotach, o nieprzespanych z zazdrości nocach, o młodzieńczych rojeniach i dorosłych zwątpieniach. O schadzkach w eleganckich apartamentach i klubach górnego miasta oraz szybkich randkach w pobliżu nadrzecznych slumsów. Jeśli wielkość pisarza mierzyć jego umiejętnością radzenia sobie z tym najtrudniejszym tematem, to lawirującą między ironią a melancholią »Mezopotamia« Serhij Żadan pokazuje, że trzeba się z nim liczyć”.

„Internat”

Zanim do Donieckiego Zagłębia przyszła wojna (2014 r.), na wschodzie kraju miały miejsce „próby” Majdanu, czyli proeuropejskiego zrywu. „Próby”, bo nie ma co porównywać wschodu Ukrainy z jej centralną i zachodnią częścią. Na wschodzie Ukraińców wychodzących pod flagami niebiesko-żółtymi i unijnymi rozganiały bojówki separatystów i miejscowe służby. Swój Majdan miał też Charków, współtworzył go m.in. Żadan. Został dotkliwie pobity. Fotografie jego skrwawionej twarzy opublikowały największe tytuły prasowe na świecie.

Kiedy na wschodzie wojna rozgorzeje na dobre, Żadan z pisarza obnażającego ukraińskie patologie, uciekającego się do humoru i kpiny, zmieni się w obywatela-aktywistę. Zaangażuje się w antykorupcyjne akcje (łapownictwo jest jedną z największych patologii Ukrainy i dotyczy także armii). Podczas podróży na front zobaczy śmierć. I wtedy, i dziś



„Jeśli masz coś do przekazania przez Dniepr do Charkowa – napisz do Darii Konoch [na zdjęciu – red.] na jej stronie, tutaj wszystko zostanie zaakceptowane, a my wskoczymy i zawieziemy do Charkowa” (z profilu facebookowego Serhija Żadana).

Z wolontariuszami podczas załadunku pomocy dla Charkowa. Dniepr, 6 marca 2022 r.

Żadan podkreśla, że sporów nie można rozwiązywać uciekając się do nienawiści. Jest „wschodniakiem”, zna więc ludzi, którzy poparli separatystów, a dziś popierają Rosję. Nie gardzi nimi. Przysporzył sobie tym wrogów. Już kilka lat temu część literackiego środowiska wywała go, by się określił.

Książkę o wojnie w Donieckim Zagłębiu Żadan długo – jak sam mówi – „nosił w sobie”. Chciał stworzyć uniwersalną opowieść o konflikcie zbrojnym. „Internat” ukazał się w 2017 r. (wyd. pol. 2019), Żadan nie podaje miejsca, w którym toczy się akcja. Wszystko wskazuje jednak, że chodzi o Debalcewe, w którym na przełomie lat 2014-15 rozegrały się ostatnie duże bitwy pomiędzy wojskami ukraińskimi i prorosyjskimi separatystami; później wojna zmieniła się w pozycyjną.

Paszy, głównego bohatera, z zawodu nauczyciela, „wojna nie interesuje”. Nie chce brać karabinu do rąk. Nie chce też uciekać. Ojciec prosi go, by odebrał z tytułowego internatu siostrzeńca. Pasza jest wściekły, ale godzi się spełnić prośbę. W trwającej trzy dni podróży przez zaspyane śniegiem drogi Pasza zetknie się z chaosem i okrucieństwem wojny. Zo-

baczy „tych” i „tamtych”, którzy jeszcze przed chwilą żyli obok siebie. W dramatycznej chwili chwyci za telefon. „Weź – powtarza rozpaczliwie – odbierz, gdzie wy wszyscy jesteście? Odbierajcie telefon. Niech ktokolwiek odbierze. Dlaczego nikt nie odpowiada, gdzie wszyscy jesteście? Gdzie jest ktokolwiek? Gdzie jesteście? Nikogo nie ma, nikogo nie słysząc. Nikogo nie żal, nikogo”.

Wciąż czekam na rozmowę z Żadanem. Wierzę, że uda nam się za jakiś czas spotkać. A Żadan opowie mi o swojej nowej książce. Może będzie to kolejna powieść wojenna? Napisana ku przestrodze, bo przecież Serhij pozostał pacyfistą i wciąż powtarza, że salwy z czołgów i karabinów nie rozwiązują konfliktów. A może nie zechce już pisać i mówić o wojnie. Znowu, jak przed powstaniem „Internatu”, będzie potrzebował czasu, by „ułożyć sobie w głowie myśli”.

Nie będę mu teraz zawracać głowy wieścią, że Polska Akademia Nauk wysunęła jego kandydaturę do Literackiej Nagrody Nobla. Akademia Szwedzka musiałaby złamać regulamin i swoje zwyczajowe procedury, bo kandydatury można zgłaszać do 31 stycznia. No to niech złamie.

© MAŁGORZATA NOCUŃ



STATENS MUSEUM FOR KUNST / MATERIAŁY PRASOWE MNK

Vilhelm Hammershøi, Wnętrze przy Strandgade z promieniem słonecznym na podłodze, 1901 r.

Odpoczynek

PIOTR KOSIEWSKI

Jego nauczyciel zanotował: „Mam ucznia, który maluje bardzo dziwnie. Nie rozumiem go, ale myślę, że będzie ważny”. I dodał: „Staram się na niego nie wpływać”.

WYSTAWA VILHELMA HAMMERSHØIA „Światło i cisza” w krakowskim Muzeum Narodowym daje wyjątkową możliwość zobaczenia prac jednego z najoryginalniejszych artystów prze-

łomu XIX i XX wieku. Jego oszczędne, wręcz ascetycznie skromne obrazy przyciągały w ostatnich latach uwagę zarówno krytyków i historyków sztuki, jak i publiczności, a wystawy jemu poświęcone, poczynając od zorganizowanej w 1997 r. w paryskim Musée d’Orsay, a następnie prezentowanej w The Solomon R. Guggenheim Museum w Nowym Jorku, uznano za wielkie wydarzenie.

Międzynarodowa kariera twórczości Duńczyka to kolejny krok do zmiany kanonu sztuki ostatnich dwóch wieków. Płótna Hammershøia pokazują bowiem inne oblicze naszej nowoczesności i przełamują dominujące przez kolejne dekady przekonanie, że to, co najważniejsze w twórczości artystycznej końca XIX i pierwszych dekad XX wieku, wyznacza francuski impresjonizm i następujące po nim kolejne „izmy”.

Malarz z kraju na uboczu

W minionych dekadach artystyczną mapę zaczęto uzupełniać o obszary długo pozostające na uboczu. Zwrócono uwagę na ośrodki wcześniej pomijane lub niedoceniane. Jednym z nich jest Kopenhaga, a sztuka duńska wzbudza w ostatnim czasie coraz większe zainteresowanie, czego przykładem kolejne wystawy jej poświęcone w Paryżu i innych europejskich miastach oraz obecność prac duńskich twórców w stałych ekspozycjach najważniejszych muzeów, jak Luwr czy londyńska National Gallery.

Vilhelm Hammershøi urodził się 15 maja 1864 r. w Kopenhadze, w zamożnej rodzinie kupieckiej. W wieku ośmiu lat zaczął pobierać lekcje rysunku, a w 1879 r., mając lat piętnaście, trafił do Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Kopenhadze. Studiował tam do 1884 r.,



ATHENEUM MUSEUM HELSINKI / MATERIAŁY PRASOWE MNK

Vilhelm Hammershøi, *Wnętrze domu artysty*, Strandgade 30, 1900 r.



ART COLLECTION OF AMBASSADOR JOHN L. LOEB JR. / MATERIAŁY PRASOWE MNK

Vilhelm Hammershøi, *Wnętrze z kobietą wkładającą gałęzie do wazonu*, Strandgade 30, 1900 r.

ale równocześnie w 1883 r. zaczął uczęszczać do Kunstnernes Frie Studieskoler, nowej szkoły, stworzonej jako alternatywa dla konserwatywnej uczelni. Chodził na zajęcia Pедера Severina Krøyer, malarza, który wykorzystał doświadczenia francuskiego impresjonizmu i wprowadził je do duńskiej sztuki. On też dostrzegł talent, ale również odmienność młodego malarza. Zanotował nawet: „Mam ucznia, który maluje bardzo dziwnie. Nie rozumiem go, ale myślę, że będzie ważny”. I dodał: „Staram się na niego nie wpływać”.

Hammershøi zabiegał o akademickie uznanie. W 1885 r. po raz pierwszy wziął udział w wiosennej, prestiżowej wystawie w Charlottenborgu, jednak w kolejnych latach jego prace były odrzucane. Jego twórczość zbyt odstawiała od akademickich gustów. Zaczął za to podróżować: do Berlina i Drezna, zwiedził Belgię i Holandię, a w 1889 r. po raz pierwszy pojechał do Paryża. Trafił tam ponownie dwa lata później, tym razem z niedawno poślubioną żoną Idą, siostrą przyjaciela, także ciekawego malarza – Petera Ilsteda. W liście do matki donosił: „Przyjechałem do Paryża, aby wiele zobaczyć, a najlepiej czegoś się nauczyć, ale wierzę, że więcej się nauczę ze sztuki dawnej niż z nowej”. To ważna deklaracja, mówiąca wiele o jego artystycznych wyborach.

Jego twórczość zaczęła zdobywać uznanie. Obrazy młodego artysty docenił Théodore Duret, krytyk, który wcześniej dostrzegł znaczenie Édouarda Maneta, a potem impresjonistów. James McNeill Whistler, amerykański malarz, który radykalnie zmienił postrzeganie malarstwa i samego procesu tworzenia, pisał o obrazach Hammershøia, że są zachwycające, i miał nadzieję poznać ich autora. Rainer Maria Rilke pojechał w 1904 r. do Kopenhagi tylko po to, żeby się z Hammershøiem spotkać, a o jego twórczości napisał, że „zawsze daje wiele możliwości do dyskusji o tym, co w sztuce ważne i fundamentalne”. W kolejnym roku malarza odwiedził Paul Cassirer, marszand, który rozpropagował w Niemczech m.in. Vincenta van Gogha i Paula Cézanne’a. W 1910 r. Hammershøi został członkiem Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Jednocześnie z Idą stworzyli własny, odrębny świat. Rilke opowiadał o niezwykłej ciszy, jaka panowała w życiu Hammershøia, oraz o jego prawie niesłyszalnym głosie. W 1898 r. małżonkowie przenoszą się do mieszkania przy Strandgade 30, w starej części Kopenhagi. To tam powstanie około sześćdziesięciu obrazów z widokami wewnątrz, które uczynią malarza sławnym.

W 1914 r. u Hammershøia lekarze rozpoznają raka gardła. Umiera 13 lutego 1916 r. w wieku 51 lat.

Znane i nieznane

Na krakowskiej wystawie – wcześniej prezentowanej w Muzeum Narodowym w Poznaniu – zebrano ponad czterdzieści dzieł. To imponujący, reprezentatywny zbiór. Są tu płótna należące do najważniejszych w dorobku Hammershøia, pochodzące z kopenhaskiego Statens Museum for Kunst, a także m.in. z paryskiego Musée d'Orsay czy berlińskiej Alte Nationalgalerie. Wystawa pozwala zobaczyć także prace mało znane i rzadko prezentowane, np. jego rysunki. Niektóre z nich, jak dwa portrety kobiet, stworzył na studiach. Są tu też jego akademickie akty, w tym niezwykle, namalowany przez zaledwie 20-letniego artystę, w którym starannie oddane ciało modelki, utrzymane w perlisto-szarej tonacji, wydaje się namacalne, a jednocześnie nierealne. Pod koniec życia Hammershøi stworzył niesamowite „Trzy studia nagiej kobiety”, które swą brutalną szczerością są zaskakująco bliskie pracom Picassa z pierwszej dekady XX wieku. To jedno z najbardziej zaskakujących dzieł w sztuce minionego stulecia.

„Światło i cisza” przypomina też o Hammershøiu jako portreciście. Na wystawie Akademii w Charlottenborgu debiutował portretem swojej siostry Anny. W twórczości portretowej przełamywał schematy. Odchodził od oficjalności. ➔

→ Tworzył niezwykle, intymne wizerunki, jak w pokazanym na wystawie „Wieczorne w salonie” z 1891 r., w którym przedstawił matkę i żonę uchwycione przy wieczornych robótkach. Oddane codziennym zajęciom, wydają się być nieświadome tego, że ktoś je podpatruje. Najchętniej zresztą malował bliskich i przyjaciół. Matkę, siostrę, żonę, Alfreda Bramsen – dentystę, który jako jeden z pierwszych docenił jego talent i przez lata go wspierał. Podkreślał, że nie chciał malować obcych ludzi. Tych, którzy „przychodzą i zamawiają swój portret”. Wolałby – dodawał – „dobrze ich poznać, żeby ich namalować”.

Są na wystawie także jego autoportrety. W powstałym w 1911 r. przedstawił siebie w domu letnim przy pracy. Wygląda, jakby na chwilę przerwał malowanie – w dłoni nadal trzyma pędzel. Nie widzimy jednak, nad czym pracuje. Poza płótnem, jakby zostało ono brutalnie obcięte, zostały sztalugi z powstającym zapewne nowym dziełem. Co więcej, cięcie przechodzi przez część dłoni artysty. Znaczną część obrazu zajmują za to przeszkłone drzwi. Wydają się niemalże tak ważne, jak postać malarza. W ich szybach odbija się fragment pokoju z charakterystycznym oknem, często obecnym w jego najsłynniejszych przedstawieniach wewnątrz. Jakby chciał w tym płótnie zawrzeć wszystko to, co definiuje jego twórczość, ale też ukryć przez widzami swój warsztat.

Nieoczywiste kadrowanie tego autoportretu bliskie jest poszukiwaniom fotografów, którzy zaczęli odchodzić od zasad klasycznego komponowania obrazu, ukazując to, co dotąd niedostrzegane czy pomijane, i tym samym zmieniając sposób postrzegania rzeczywistości. Wystawa zwraca uwagę na znaczenie fotografii w twórczości Hammershøia. Pokazuje, jak świadomie z niej korzystał. Artysta, który tak wiele zawdzięczał dawnej sztuce, okazuje się jednocześnie bardzo nowoczesny.

Skromne obrazy

„Przeważnie maluję wnętrza – mówił w rozmowie dla tygodnika „Hver&Dag” w 1907 r. – Co mnie do tego skłoniło?... Naprawdę trudno powiedzieć. To przyszło samo”. To właśnie te obrazy przyniosły mu uznanie. Dziś też Hammershøi kojarzony jest przede wszystkim z widokami wewnątrz. Sam żalił się zresztą, że jego

obrazy o innej tematyce nie cieszą się zainteresowaniem.

Na wystawie „Światło i cisza” znalazły się te najpiękniejsze. Na jednym z nich kobieta układa gałązki buzu w wazonie. Na innym stoi zatopiona w lekturze. Jest też młody mężczyzna – oparty o ścianę czyta książkę. I jedno z najsłynniejszych płócien Hammershøia: „Młoda kobieta. Odpoczynek” z 1905 r. Siedząca, ubrana w prostą bluzkę i czarną spódnicę. Upięte włosy odsłaniają szyję. Na stole nakrytym obrusem stoi biała patera.

Ale są też na wystawie inne widoki wewnątrz. Puste przestrzenie bez ludzi: pokój z krzesłem windsorskim albo ze starą, masywną sofą. Wszystko wydaje się trwać w bezruchu, zatopione w ciszy. Przestrzenie jakby całkowicie odizolowane od świata zewnętrznego. Jedynie światło czasami się do nich wdziera i rozświetla podłogę, fragmenty mebli. Można by pomyśleć, że Hammershøi pracował zawsze w tym samym miejscu, wciąż malował te same sceny. Kameralność obrazów podkreślona jest przez ich niewielki format, bliski dziełom XVII-wiecznych holenderskich „małych mistrzów”.

Wiele z tych obrazów powstało w mieszkaniu przy Strandgade 30, stannie, a jednocześnie bardzo oszczędnie, a nawet na ówczesne standardy ascetycznie urządzonym, co można zobaczyć na zachowanych do dziś fotografiach. Sam malarz podkreślał: „Gdyby tylko ludzie zrozumieli, że kilka drobnych przedmiotów w pokoju przydaje mu więcej piękna i jakości niż wiele rzeczy przeciętnych”. Deklarował też, że woli stare budynki i stare meble. Atmosferę, jaką mają rzeczy z przeszłości. Paradoksalnie, surowe wnętrza stworzone przez Idę i Vilhelma Hammershøiów są bliskie współczesnej estetyce.

Malarz od młodości fascynował się dziełami holenderskich mistrzów. To z nich czerpał inspirację. Narzucają się porównania z dziełami Vermeera, Pietera de Hoocha, ale też dopiero dziś doceniono Jacobusa Vrela. Z autorami, którzy z niezwykłą uwagą przyglądali się rzeczywistości swoich czasów w jej najbardziej zwyczajnym wydaniu. Hammershøi należy zresztą do tych malarzy, którzy odzyskali dla współczesnych holenderski złoty wiek. Można też wymienić inną ważną dla Hammershøia tradycję – malarzy duńskiego „złotego wieku” z pierwszych dekad XIX stulecia, coraz

bardziej obecnie cenionych autorów kameralnych przedstawień życia codziennego, piewców mieszczańskiego świata. Nie są to jednak bezpośrednie nawiązania, nie mówiąc już o naśladownictwie. Hammershøi dekonstruuje dawne malarzkie konwencje. Dokonuje redukcji, usuwając z obrazów wszystko, co może rozpraszać widza lub sugerować, że opowiadają one jakieś historie. Patrząc na bohaterów jego płócien, nie wiemy, kim oni są. Co myślą, co odczuwają.

Porównując obrazy ze zdjęciami mieszkania Hammershøiów, można dostrzec pominięcie niektórych sprzętów czy fragmentów wyposażenia, jedynie szkicowe oddanie rycin czy rysunków wiszących na ścianach. Malarz podobnie postępuje w przypadku pejzaży, których wybór znalazł się na wystawie. Nie sposób dostrzec na nich śladu ludzi czy zwierząt, są wydłubione ulice Kopenhagi, opustoszałe pola i parki.

Uderzające jest też kolorystyczne wyrefinowanie płócien Hammershøia. Operuje on wąską gamą barwną z dominacją odcieni szarości i czerni. Maluje drobnymi, delikatnymi pociągnięciami pędzla, co pozwala przedstawić najdrobniejsze wariacje świetlne oraz tworzy tak charakterystyczne rozmycie konturów. Jego płótna wydają się spowite mgłą. Zapytany o stosowanie stonowanej i ograniczonej gamy barwnej, tłumaczył: im mniej jest kolorów, tym silniej one działają. Jednak to nie one były dla niego najważniejsze, lecz linie, coś, co określał „architektoniczną zawartością tego, co widzę”. Ów wewnętrzny ład, rygorystyczne czasami podporządkowanie kompozycji obrazów geometrii, dodaje im tajemniczego, melancholijnego nastroju.

Vilhelm Hammershøi dożył wystąpienia futurystów, rewolucji kubistycznej i narodzin konstruktywizmu. A jednak jego twórczość przetrwała czasy awangard. Więcej, okazuje się aktualna, bliska współczesnej wrażliwości. Jego obrazy przypominają o innym modelu nowoczesności – podszytej sceptycyzmem, przywiązanej do ciągłości, choć nieodwracającej się od tego, co nowe.

© PIOTR KOSIEWSKI

Vilhelm Hammershøi, ŚWIATŁO I CISZA, Kraków, Muzeum Narodowe, wystawa czynna do 8 maja br. Kuratorki: Martyna Łukasiewicz, Aleksandra Krypczyk-De Barra.



MAREK ZAKRZEWSKI / TEATR POLSKI W POZNANIU

Konrad Adamski i Mariusz Cichoń w spektaklu „Śluby panieńskie”, Teatr Polski w Poznaniu

Ściągają się na nic

DARIUSZ KOSIŃSKI

Lektury szkolne to stały element teatralnego repertuaru. Jak się okazuje, bardzo i na różne sposoby kłopotliwy. Bo teatr leży dziś na przeciwległym biegunie kultury niż polska szkoła.

TO NIE PRZYPADEK, ŻE BÓJ O „DZIADY” w Krakowie rozpoczął się od stanowiska wydanego przez kuratorkę oświaty. Jej zalecenie, by szkoły nie chodziły na przedstawienie Kleczewskiej, powstało w związku z wieloletnią praktyką adresowania części przedstawień do młodzieży szkolnej, w nadziei na sprowadzenie dużych i dobrze zorganizowanych grup. Sprawa oczywista, choć ukrywana

– mówi się, że teatr wystawia „klasykę”, choć w rzeczywistości duża część tego repertuaru to po prostu lektury szkolne.

W relacjach szkoła–teatr istnieje nieustanne zagrożenie konfliktem, wynikającym z zasadniczej odmienności celów. Szkoła oczekuje materiału, jeśli nie potwierdzającego obowiązujące ją interpretacje, to przynajmniej nieodchodzącego od nich zbyt daleko. Nastawienie teatru jest dokładnie odwrotne. Nawet ten deklarujący się jako tradycyjny, czy wręcz konserwatywny, nie ma ochoty i nie ceni wysoko kanonicznych interpretacji znanych tekstów. Szuka raczej tego, co współbrzmi z dzisiejszym światem i jego zasiadającymi na widowni mieszkańcami. W efekcie tej rozbieżności, choć teatr wciąż inscenizuje lektury i wysyła do szkół oferty zbiorowych biletów, to coraz częściej owocuje to konfuzją albo otwartym konfliktem.

Indukcja

We wrześniu ubiegłego roku nauczycielka jednego z poznańskich liceów katolickich zmusiła będących pod jej opieką uczniów do wyjścia z „Malarni” Teatru Polskiego w czasie przedstawienia „Ślubów panieńskich” według Aleksandra

Fredry w reżyserii Andrzeja Błazewicza i w dramaturgii Pawła Sablika. Jej reakcję spowodowała genderowa reinterpretacja tekstu oraz piękna, pełna czułości scena miłosna, tyle że między dwoma mężczyznami. Zamiast pełnej humoru komedii o miłosnych intrygach, za jaką dramat Fredry (niekoniecznie słusznie) jest uważany, powstała dramatyczna gra o niezdolnej lekkości płynnych tożsamości seksualnych.

Paradoksalnie – świetny materiał dla katolickiej pedagogiki, dający się zinterpretować tak, że wobec dramatów i cierpień, jakie powoduje odejście od heteronormy, lepiej już mimo wszystko trzymać się jej, jak długo to możliwe. Interpretacja taka na dodatek byłaby bardzo w duchu Fredry, którego konserwatyzm był podświadomą rozpaczą i depresją. No, ale nagie pośladki wystarczyły, by wywołać gwałtowną reakcję, o tyle nieusprawiedliwioną, że teatr uprzedzał szkołę o scenach nagości, a uczniowie mieli nawet odpowiednie zaświadczenia od rodziców (*sic!*).

W poznańskich „Ślubach” zastosowano strategię całkiem często używaną dziś przez teatr wobec lektur jako tekstów dobrze znanych. Polega ona na

→ wprowadzeniu do inscenizacji elementów współczesnych, jawnie odmiennych od oryginalnych, by uruchomić pole mocnych napięć przywracających dawny tekst dzisiejszemu życiu. Wbrew powtarzanym od dawna zarzutom, że zamiast wykorzystywać Mickiewicza, Słowackiego czy Shakespeare'a do mówienia o współczesności, lepiej napisać własny tekst, sedno i sens takiej strategii, a także jej istotna kulturowa wartość zasadzają się na dwubiegowym przepływie napięcia między znanym i prowokującym nowym.

Kiedy zamiast dwóch modelowo polskich panien na scenę wchodzi ubrani w historyczne suknie, ale niegrający dziewcząt mężczyźni (znakomici Mariusz Cichoń i Konrad Adamski), a zamiast sceny dyktowania listu Gustaw (równie świetny Piotr B. Dąbrowski) czule tuli się do nagiego kochanka, i historyczny tekst, i to, co współczesne, zostają wyrwane ze zbyt dobrze znanych ram, by opalizować nowymi znaczeniami. Homoseksualną miłość, tak często opisywaną jako „perwersja” i „wyuzdanie”, oświecla blask panieńskiej niewinności „pierwszego razu”, a dramat Fredry ujawnia – stanowiący przecież jego podstawę i przewodni temat! – kulturowy mechanizm wytwarzania „naturalnych” związków heteronormatywnych.

Takie właśnie wzajemne oddziaływanie stanowi podstawowy sens wystawiania w teatrze dzieł dawnych, szczególnie „lektur obowiązkowych”. Teatr musi szukać sposobów docierania do widzów o zupełnie innych niż dawne uwarunkowaniach. Uruchamianie napięć między historycznym a współczesnym pozwala stanąć wobec pytania o różnice czasów i podważyć dogmat „uniwersalnych i ponadczasowych wartości”, będący podstawową ramą kanonu lektur obowiązkowych. Zderzenie dawnego z dzisiejszym zwykle prowadzi do niepokojącego rozpoznania, że duża część tego, co uważamy za niezmiennie ogólnoludzkie, wcale takie nie jest. To dlatego tak wielki problem z teatrem mają niektórzy konserwatyści, których cała postawa opiera się na wierze w jakąś niezmienną. A właśnie tę wiarę teatr przede wszystkim wystawia na próbę, nawet jeśli ostatecznie niekiedy ją ocala.

Z tych samych powodów problemy z teatrem ma dziś szkoła rządzona dogmatem jednego kanonu wartości. To, co dla uczących myśleć samodzielnie jest skarbem, dla wierzących w swoją nie-

Zderzenie dawnego
z dzisiejszym zwykle
prowadzi do niepokojącego
rozpoznania, że
**duża część tego, co
uważamy za ogólnoludzkie,
wcale takie nie jest.**

omyślność kuratorów, ministrów i marszałków stanowi skandal.

Recykling

Podstawą teatralnych przekształceń lektur jest bardzo często rozpoznanie klątwy powszechnej ich nieznajomości, która dręczy i niszczy te – świetne często – teksty. Status lektury obowiązkowej polega wszak na tym, że wszyscy wiedzą, „o co w niej chodzi”, nawet, a zwłaszcza wtedy, gdy nigdy jej nie poznali bezpośrednio.

Wzorcowym przykładem takiej sytuacji jest „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego. Niemal wszyscy mają je osłuchane i wiedzą, „co jest grane” – że pany i chłopcy, że co tam komu w duszy gra i miałeś chanie złoty róg. Ale naprawdę mało kto jest w stanie usłyszeć i zobaczyć „Wesele” tak, jakby spotykał się z nim pierwszy raz, i samodzielnie je poznać, to znaczy – odkryć własne jego znaczenia. Trud umożliwienia takiego doświadczenia to dziś wręcz podstawowe zadanie teatru w relacji do takich zamordowanych szkołą i kanonem lektur.

Nie tak dawno podjęli go Tomasz Cymerman i Wojtek Klemm w „Weselu” zrealizowanym w Teatrze Szaniawskiego w Wałbrzychu. Jego oficjalna premiera odbyła się wprawdzie już w 2019 r., ale z powodu pandemii spektakl grany był tak rzadko i uległ takim zmianom, że jego wznowienie w listopadzie 2021 r. uznano za kolejną premierę. Zaplątane w śmietnik wszechobecnych folii ciała co chwila próbują wyzwolić się od siebie i uciec z tego niekończącego wesela, na którym jednak muszą tańczyć, bo nie sposób tego nie robić, gdy muzyczka gra, a dudniący rytm bez udziału woli porusza fibrami także naszych ciał, usiłujących usiedzieć na swoich miejscach.

Zasada pracy z jedną z może najbardziej lekturowych lektur, jakie zna nasz program nauczania, widoczna jest szczególnie wyraźnie w pierwszej części przedsta-

wienia, gdzie też daje najlepsze rezultaty. Klemm nie inscenizuje tekstu, ale zdaje się wydobywać jego fragmenty z kłębiącego się na scenie przemieszania śmieci i ciał. W Wałbrzychu lekturę znaleziono na śmietniku i z jej poszarpanych kartek odczytuje się oderwane kwestie. I właśnie to wyrwanie ze zbyt już dobrze znanego kontekstu sprawia, że sensy zapomniane, bo nauczone na pamięć, zostają odfyskane.

Ta moc nieco słabnie w drugiej części. Praca z tekstem częściowo zachowuje wcześniejszy mechanizm fragmentaryzacji i recyklingu, ale teraz ma się wrażenie, że na śmietniku znaleziono jednak ocalałą połowę książki, z której odczytuje się wybrane kawałki ułożone w oryginalnym porządku. Ma to chwilami nadal porywającą moc, ale jednak osuwa się stopniowo w rodzaj przeglądu czy quizu. Zaczęłam sobie nawet wyobrażać przewrotną nauczycielkę, która sprawdza znajomość lektury pytając uczniów, do kogo należą poszczególne wyśpiewywane przez aktorki i aktorów słowa.

Mimo to spektakl Klemma i Cymermana wydaje się w kontekście szkolnej pracy z lekturami znakomitą materiałem wyjściowym do rozmowy o podstawowym przecież doświadczeniu uczniów i nauczycieli – przymusie powtarzania i demonicznym powrocie tego samego. Czy naprawdę trudno sobie wyobrazić tego typu rozmowę w szkolnej klasie? I czy to nie ona mogłaby się okazać lepszym bodźcem do rzeczywistego przeczytania Wyspiańskiego? A czyż własne przeczytanie lektury nie jest tym, co nawet w szkole kurator Nowak i ministra Czarnka może bardziej pomóc w zdaniu matury niż ściągą z wypisanymi z bryku „przydatnymi” cytatami?

Czy to już wszystko?

Na szczęście dla miłośników całości i względnej linearności wciąż zdarzają się (i to we wcale niemałej liczbie) przedstawienia stosujące wobec lektur strategię o wiele łagodniejszą, choć też przecież odmienną od ilustracji i wykonania. Tak się składa, że stosunkowo świeży i bardzo dobrze przyjmowany przez publiczność ich przykład pochodzi z repertuaru tego samego teatru, który wystawił „skandaliczne” „Śluby panieńskie”. Mowa o „Cudzoziemce” według powieści Marii Kuncewiczowej (premiera w październiku 2021 r.) w reżyserii Katarzyny Minkow-

skiej, będącej także wspólnie z Tomaszem Walesiakiem autorką scenariusza.

Nie jest to inscenizacja powieści, ale jej teatralizacja. Na scenie inscenizowana jest ceremonia pożegnania zmarłej właśnie Róży Żabczyńskiej – rodzina spotyka się wokół jej przygotowanego do pochówku ciała. Spektakl otwiera jednak sama Róża (Alona Szostak) – widmo krążące wśród widzów i z towarzyszeniem muzyki granej na żywo wprowadzające ich w sytuację. Już w jednej ze swych pierwszych kwestii Szostak jasno potwierdza teatralne osadzenie całości, a choć w dalszej części spektaklu nie ma wielu bezpośrednich odwołań do teatru, to liczne zwroty do widzów, przekraczanie granicy sceny, wykorzystywanie konwencji występu estradowego, a także pewien dystans do postaci podtrzymują wprowadzone na początku ramy. Jesteśmy w teatrze – miejscu, gdzie i życie Róży, i przedstawiająca je powieść zostaną poddane krytycznej reinterpretacji. Niezależnie od tego, jak dobrze są one znane, sam proces tak jasno wystawiony i przeprowadzony według oryginalnego układu dramaturgicznego wciąga na bardzo podstawowej zasadzie zainteresowania, „co robią teraz?”.

Oczywiście powieść Kuncewiczowej nie należy do tak żelaznego kanonu jak komedia Fredry czy dramat Wyspiańskiego (dziś jest wymieniana w spisie lektur uzupełniających do wyboru),

Czyż własne przeczytanie lektury nie jest tym, co może bardziej pomóc w zdaniu matury niż ściągą z „przydatnymi” cytatami?

Nawet w szkole kurator Nowak i ministra Czarnka.

więc dla części widzów, zwłaszcza młodszych, już sama historia może być nowością. Niemniej jednak twórcy poszukują znamiennej dla teatru współczesnego sposobu na przybliżenie tekstu dawnego współczesności nie tylko i nie tyle przez przesunięcie czasowe (ich Róża urodziła się w roku 1949, a jej pogrzeb odbywa się w roku 2021), ile przez wydobywanie z powieści tematu silniej dziś rezonującego niż odkrycie sposobów na ujawnienie psychicznej złożoności głównej bohaterki. Choć pojawia się ona ze słowami „To wszystko dla mnie”, w trakcie przedstawienia schodzi na dalszy plan, a na pierwszy wysuwa się poraniona przez nią rodzina, stopniowo wyzwajająca się od niej, by w finałowym monologu córki Marty (Monika Roszko) znaleźć wreszcie drzwi pozwalające wyjść z pokoju poddałego toksycznej władzy matki.

W porównaniu z poznańskimi „Ślubami” i wałbrzyskim „Weselem” poznać-

ska „Cudzoziemka” wydawać się może „klasyczna” i „tradycyjna”. Ale to tylko pozory. Minkowska lepiej się maskuje i na pewno wielu widzów jej przedstawienia będzie uważało, że widziało „wierną” teatralizację powieści. Paradoks polega na tym, że to właśnie twórcy tego przedstawienia „zdradzają” Kuncewiczową w punkcie, który dla jej powieści wydaje się kluczowy – Róża jest w tej inscenizacji potworem, któremu nie dane jest właściwie żadne usprawiedliwienie.

Jej dzieciństwo i młodość zostały wprowadzone do kilku ogólnikowych zdań o stereotypowej polskiej ksenofobii. Jej miłosna „złota legenda” zostaje sprowadzona na taki poziom współczesnej nijałości (świetnie rozegrany przez Michała Kaletę w roli kochanka z przeszłości), że jednoznacznie kompromituje Różę jako zabójczą mitomankę. Nie dotyczy nas siła jej osobowości, o której mówi tylko ukochany syn Władus, całkowicie kompromitowany przesadnie manieryczną smarkaterią Michała Sikorskiego. Nie broni jej nawet muzyka, bo nikt na scenie i widzowie nie wydaje się rzeczywiście rozumieć, co to znaczy żyć pieśniami Schumanna. Najbardziej zaś radykalnym a ukrytym przesunięciem wydaje mi się zamazanie, jeśli nie wręcz usprawiedliwienie małżeńskiego gwałtu, z którego poczęła się nieszczęsna Marta. O realności tego aktu oczywistej przemocy seksualnej zaświadcza tylko Róża, ale czyni to w tej

REKLAMA



Mira Marcinów

Pięć uczuć
podstawowych
jak pięć palców



WIRTUALNE
MUZEA
MAŁOPOLSKI

WYSTAWA W PORTALU WIRTUALNE MUZEA
MAŁOPOLSKI • WWW.MUZEA.MALOPOLSKA.PL

→ części przedstawienia, gdy już nikt jej nie wierzy. Czy spokojny, stateczny Adam (Andrzej Szubski) mógłby zgwałcić żonę? No gdzież ta... Wariatka sama to wymyśliła.

I tak pod pozorami rodzinnej terapii w Teatrze Polskim zachodzi zdumiewający proces unieobecniania Róży Żabczyńskiej, która w końcu odchodzi bez słowa w rytm piosenki Peggy Lee: „Jeśli to wszystko, co jest, jeśli nie ma nic więcej, moi drodzy, to tańczmy, odbijmy fiaskę i zróbmy bal, skoro nie ma niczego więcej”. Zapada kurtyna, huczą brawa, a kulturowy chłopak za mną stwierdza, że jest głodny i napiłby się wina.

Mnie zaś w głowie gra ta finałowa piosenka i w jej rytm dochodzę do wniosku, że jednak jest coś więcej i że takie ustawianie sobie przeciwnika nie jest fair. Wolę Błazewicza i Klemma, którzy wprowadzili wale w lekturę bez pardonu, ale traktując ją serio i nawet tnąc krzyżową sztuką wiedzą, że walczą z czymś obdarzonym mocą. Tę moc odnawiają i sami z niej czerpiąc, jednocześnie przywracają ją oryginałowi. Fredro znów, tu i teraz, mówi coś o płci, a Wyspiański o Polsce. Kuncewiczowa nie mówi nic – jej uteatralizowana powieść zostaje sprowadzona do niemal poradnikowego banału o konieczności wyjścia z pokoju matki, a jej bohaterce na wszelki wypadek odbiera się głos dokładnie w tym momencie, gdy mogłaby powiedzieć coś nieoczywistego.

Po wyjściu z teatru zakładam słuchawki i słucham „Is That All There Is”, ale w wykonaniu PJ Harvey. To cover, więc też interpretacja znanego materiału, wcale nieodległa od tych teatralnych. PJ śpiewa zupełnie inaczej niż Peggy Lee – w jej głosie nie ma tryumfu, jest rozczarowanie, wahanie i niedowierzanie. Na końcu nie ulga, ale mocny znak zapytania.

© DARIUSZ KOSIŃSKI



Narysować ucieczkę

ANITA PIOTROWSKA

W naszej części Europy „dom” powinien zostać słowem tego roku. Pytaniem o jego definicję rozpoczyna się film Jonasa Pohera Rasmussena. Jaka ma być, kiedy nagle trzeba zostawić za sobą cały dotychczasowy świat.

WIELE MÓWI PRZESUNIĘCIE W TYTULE filmu Rasmussena. Podczas gdy duńskie „*Flugt*” i angielskie „*Flee*” zawierają w sobie jedynie ucieczkę, polski tytuł – „Przeżyć” – sugeruje dużo więcej niż tułaczkę i utratę domu. Bo jest to film o kruchości wszystkiego, co się posiada, i zarazem o woli przetrwania. Forma animowanego dokumentu staje się nie tylko środkiem artystycznym, ale i kamuflażem.

Afgański uchodźca, występujący pod przybranym nazwiskiem Amin Nawabi, opowiada zaprzyjaźnionemu reżyserowi swoją bardzo osobistą historię, pełną kryjówek, przebrań i mimikr. Leżąc na dywanie, zbliżonym kolorystyką i wzorem do ręcznie tkanych „afganów”, bohater zachowuje się niczym w gabinecie psychoterapeuty i po raz pierwszy zanurza się tak głęboko w wypieranych przez siebie wspomnieniach.

Ze współczesnej Kopenhagi powraca do roku 1984 i szczęśliwego dzieciństwa

w Kabulu. Mimo toczącej się już wojny chodził sobie po mieście z walkmanem na uszach, grał w piłkę, puszczał latawce i z upodobaniem cesał długie włosy swoich sióstr. Aresztowanie ojca przez komunistyczne władze zburzyło spokój rodziny, a zwycięstwo mudżahedinów i panujący w Afganistanie chaos zmusiły Amina i jego bliskich do wyjazdu z kraju. Jedynym możliwym wówczas kierunkiem była Moskwa i tam właśnie rozpoczęła się koszmarowa odyseja rodziny Nawabi, zanim pojedynczo i różnymi kanałami przerzutu dotarli wreszcie do Skandynawii. Dla głównego bohatera nie oznaczało to jednak szczęśliwego zakończenia.

Choć „Przeżyć” wyrasta z indywidualnych doświadczeń, stanowi uniwersalne studium przymusowej ucieczki. Mimo odmiennych czasów i okoliczności przywołuje jakże aktualny dzisiaj słownik związany z losem uchodźców: obcość, bezdomność, rozdzielenie, degradacja, niepewność... W przypadku nielegalnego imigranta trzeba dopisać takie słowa, jak przemyt, selekcja, fałszywy paszport, azyl, kontener, burza na pełnym morzu czy ciemny las. Te ostatnie stały się obrazami wręcz symbolicznymi, świetnie tutaj wygranymi plastycznie.

Pojawiają się też kłamstwa, bo w prawdę czasem trudno uwierzyć, a przecież trzeba wypaść jak najlepiej w oczach mniej lub bardziej gościnnych gospodarzy, by nie zostać cofniętym do piekła. Ekspresyjna kreska użytych w filmie animacji wyraża również stany emocjonalne – strach, poczucie bezradności, lecz także te rzadko nazywane przez uchodźców po imieniu. Na przykład wstyd.

Dokument Rasmussena odzwierciedla proces przetwarzania traumy i próbę odzyskania tego, co Amin przez długi okres

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”. Słuchaj nas
w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM

Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM | Gorlice – 97,4 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | www.radiokrakow.pl



MATERIAŁ PRASOWE FOCUS FEATURES

Kadr z filmu „Przeżyć”

jednak nie zapomnieli w ferworze opowieści, że to wszystko zdarzyło się naprawdę, Rasmussen wplata w narrację materiały archiwalne. Widać na nich barwną codzienność Kabulu przed nastaniem mullahedzińskich rządów, upiorne warunki w estońskim ośrodku dla azylantów czy otwarcie w 1990 r. pierwszego moskiewskiego McDonalda (historia właśnie zatacza koło). Swoją drogą, rosyjski etap swojej tułaczki wspomina Amin najgorzej.

Jako że „Przeżyć” jest w dużej mierze opowieścią o dorastaniu, na ścieżce dźwiękowej nie mogło zabraknąć listy przebojów z tamtej epoki. Stąd w ważnych momentach z przeszłości towarzyszą bohaterowi hity w wykonaniu skandynawskich, lecz popularnych wówczas na całym świecie zespołów. „Take On Me” A-ha, „Wheel Of Fortune” Ace Of Base, „Joyride” Roxette – nawet konkretne tytuły wybrano nie przypadkowo. Dla dzieciaka z Afganistanu ta muzyka była obietnicą lepszego życia, dla geja rozpoznającego swoją seksualność zaś – marzeniem o kolorowym, pełnym akceptacji świecie.

Desperacka wędrówka w poszukiwaniu tego świata to także brzemienne, szczególnie dla dziecięcej pamięci, spotkanie. Z kreaturami żerującymi na czyjejś niedoli, z ludźmi, którzy wyciągnęli kiedyś do Amina życzliwą dłoń, oraz z tymi, którym sam nie był w stanie pomóc, karmiąc w ten sposób demona wiecznej winy. Dodajmy, że Amin i Rasmussen nie ignorują losu kobiet na uchodźstwie ani przemocy seksualnej. Wiele jest jednak powodów, dla których tak mocno dzisiaj rezonuje ów dokument. Traktuje wszak o permanentnej ucieczce, o ciągłym ukrywaniu się, zawieszeniu w tymczasowości i bólu wykorzenienia. Najbardziej udany plakat do filmu nie przedstawia zresztą Amina, ale ustawione w rzędach sylwetki wielu ludzi, o różnym pochodzeniu i wyglądzie.

„Przeżyć” przynosi też nadzieję, że każda wojna musi się kiedyś zakończyć, choć w wymiarze indywidualnym niekoniecznie wraz z ustaniem prześladowań i działań bojowych. Bo trzeba będzie jeszcze odbudować dom, również ten w sobie. ©

PRZEŻYĆ (*Flee*) – reż. Jonas Poher Rasmussen. Prod. Dania / Francja / Hiszpania / Norwegia / Szwecja / USA / Wielka Brytania / Włochy 2021. Dystryb. *Against Gravity*. W kinach.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Odkupienie



Dramat, reż. Fran Kranz, USA 2021, VoD

Sześć lat po szkolnej strzelaninie zostaje zaaranżowane spotkanie rodziców ofiary z rodzicami oprawcy. Czy ta trudna dla wszystkich rozmowa pozwoli im choć trochę uporać się z przeszłością? Bliżej teatru telewizji niż kina, za to z ogromną emocjonalną siłą, Kranz wciąga widza w sam środek konfliktu, w którym główną stawką jest wina i przebaczenie.

2. Plemię



Dramat, reż. Myroslaw Slabospyzkyi, Ukraina/Holandia 2014, MOJEEKINO.pl, CDA Premium

Tytuł odnosi się do ukraińskiej szkoły z internatem dla głuchych i panujących tam brutalnych reguł. Mówiony w języku migowym, bez napisów i lektora, nakręcony z udziałem naturšczyków, film pokazuje działanie systemu opartego na korupcji i przemocy. Skrajnie minimalistycznymi środkami opowiada o zderzeniu idealizmu z wolą przetrwania.

3. Jacinta



Dokumentalny, reż. Jessica Earnshaw, USA 2020, iTunes Store

Trzy pokolenia kobiet próbują wyzwolić się od uzależnień i ciągłych kolizji z prawem. Jacinta jest równocześnie matką i córką, ale ta podwójna rola okazuje się największym wyzwaniem. Zwłaszcza po wyjściu z więzienia, kiedy sympatyczna, lecz słaba dotychczas bohaterka musi stanąć mocno na nogi. Reżyserka przez trzy lata towarzyszyła jej w tych zmaganiach.

4. Szatańskie tango



Dramat, reż. Béla Tarr, Węgry/Niemcy / Szwajcaria 1994, Nowe Horyzonty VoD

Arcydzieło węgierskiego reżysera to adaptacja powieści László Krasznahorkai i zarazem jedna z bardziej ekstremalnych filmowych przygód. Nie tylko ze względu na metraż (ponad 7 godzin!). W czarno-białych kadrach i bez żadnej taryfy ulgowej Tarr odmalowuje postsowiecki stan ducha. Jedni widzą w tym kronikę nadchodzącej apokalipsy, inni obraz kondycji ludzkiej w stanie surowym.

swojej poniewierki zagubił – poczucia bezpieczeństwa. Bo jak tu stworzyć nowy dom, gdy tak łatwo go utracić? Po co zakładać rodzinę, przywiązywać się, wspólnie planować? I jak budować bliskość na oszustwie? „Przeżyć” konfrontuje nas bowiem ze skrywaną latami tajemnicą Amina, i to nie jedną.

Pierwsza wiązała się z jego homoseksualizmem, na który – wedle słów bohatera – w języku dari lat 80. nie istniało określenie, a który przez rządzących Afganistanem islamskich fanatyków karany był (i nadal jest) śmiercią. Po ucieczce na Zachód Amin nie musiał dłużej się ukrywać, ale dla rodziny jego wyjście z szafy byłoby szokiem. Scena, w której mimo wszystko podejmuje taką próbę, należy w filmie do najmocniejszych. Przed nim jeszcze inny *coming out*, czyli przyznanie się przed swoim partnerem do pielęgnowanej przez siebie legendy.

W historii Oscarów to przypadek bezprecedensowy, kiedy trzy nominacje – równocześnie za pełnometrażowy dokument, takąż animację i film zagraniczny – otrzymał jeden tytuł. Zadziałała z pewnością niesłabnąca aktualność tematu i afektywna siła tej historii. Oraz hybrydyczna metoda, z powodzeniem stosowana w kinie dokumentalnym co najmniej od czasów „Walca z Baszirem” (2008) Ariego Folmana. Duński reżyser korzysta z podobnego wzorca docudramy – za pomocą ruchomego rysunku inscenizuje autentyczne zdarzenia i wyraża stany psychiczne bohaterów, a zarazem gwarantuje im anonimowość.

Poprzez różnorodną kolorystykę i techniki animacji (raz bogatej, raz minimalistycznej; radośnie komiksowej, to znów będącej ilustracją sennego koszmaru) film oddaje skrajne odcienie pamięci. Byśmy

JAN

Klata:

Kasowanie lotu trzmiela



LUDZIE CHCĄ DZIAŁAĆ, COŚ ZROBIĆ, POWALCZYĆ ze złem, zająć słuszne stanowisko w pałacy sprawie. Ludzie bojkotują Decathlon, Auchan, Leroy Merlin, Danone, Nestlé, Oriflame, LG. Nie chrupną kit-kata, nie popiją nałęczowianką czy innym perrierem, nie dla nich gerber i bobofrut, żegnajcie cini minis, majonez Winiary nie rozściele się na kanapeczce, czekoladki After Eight nie ucieszą podniebienia nasączonego nescafé.

Kod cyfrowy 481 na towarach barwi się na czerwono, jako że z Rosji i Białorusi proveniencja produktu, zaprawdę warto do koszyka nie wrzucić. Ludzie wiedzą, że ich decyzje też mają znaczenie. Nie tylko w galeriach handlowych, ale także poza świątyniami konsumpcji. Z rosyjskich klubów

sportowych odchodzą trenerzy i zawodnicy... artyści też nie mogą udawać, że są głusi na tętent wierzchowców jeźdźców apokalipsy. Nadszedł czas próby, określenia swego stanowiska, po tej stronie my, po drugiej Netrebki i Gergiewy tego świata. Jeśli ktoś popiera zbrodniarza wojennego, nie może być częścią wolnego świata. Jak to pięknie ujął Śpiewający Noblista: „Gotta Serve Somebody”.

Ale co z martwymi rosyjskimi artystami? Tych akurat jest co niemiara, nic dziwnego, że stanowią problem, zawsze stanowili. Wiadomo, że dla władzy dobry artysta to martwy artysta, zwłaszcza w naszej części Europy: nie będzie się rzucał, zawsze można mu dowolną gębę dorobić, pomnik odlać i przeciąć wstęgę. Netrebki i Gergiewy tego świata dobrze służą władzy, ale martwi geniusze nie mogą się bronić przed propagandowym nadużyciem. No i co teraz zrobić z Mussorgskim? Z Czechowem? Z Puszkinem? Przecież Putin zgadza się z twierdzeniem, że Puszkina wielkim poetą był... jakie z tego wyciągamy konsekwencje wobec nieszczęsnego Puszkina? Wymuszamy? Rosyjskiej kultury nigdy nie było, od „Słowa o wyprawie Igora” począwszy? Kasujemy „Lot trzmiela”? Unieważniamy Achmatową? W środowisku ludzi kultury pojawiają się koncepcje odmrażania sobie uszu na złość złej babci. Babcia przeminie, uszy się przydadzą. ©

Lektor:

Matriarcha rodu



■ Karolina Pasternak
HOLLAND. BIOGRAFIA OD NOWA
Wydawnictwo Znak,
Kraków 2022,
ss. 458

JEJ FILMY TOWARZYSZĄ MI od kilku dekad. „Aktorzy prowincjonalni”, oddający duszny klimat schyłku lat 70. „Gorączka” oglądana solidarnościową jesienią ‘81 z wewnętrznym buntem (film o klęsce? przecież wygramy!). Potem połowa lat 80. i porażające „Gorzkie żniwa” w Dyskusyjnym Klubie Filmowym „Mikro” (czegoż tam nie pokazywano!). Premiera „Europy, Europy” w kinie Wanda, podczas Festiwalu Kultury Żydowskiej w roku 1990. „Tajemniczy ogród”, też w Wandzie

(ostatni film, na który zabrałem moją Mamę). Bliski mi przesłaniem „Pokot”. „Obywatel Jones” i „Szarlatan”. A jeszcze Agnieszka Holland jako osoba publiczna, wyjątkowo wiarygodna i konsekwentna w obrobie wartości, które są jej bliskie. Natychmiast więc zabrałem się za książkę Karoliny Pasternak – i bardzo ją polecam. Bo odtwarza biografię świetnej reżyserki szczególnie, poczynając od rodzinnej genealogii, czyli historii Ireny Rybczyńskiej i Henryka

Hollanda. Bo autorka korzysta z bliskości, jaka połączyła ją z bohaterką i często oddaje jej głos, zawsze jednak trzymając się wspólnie ustalonych granic. Przypomina traumę, jaką była dla Agnieszki Holland śmierć ojca, chyba jednak samobójcza. Wnikliwie analizuje kolejne jej filmy, bez natrętnego biografizmu szukając w nich śladów osobistych doświadczeń (jak w niedocenionym filmie „Olivier, Olivier”). Odtwarza epizod jej praskich studiów w FAMU – ważny z wielu powodów (małżeństwo z Laco Adamikiem, doświadczenie kina czeskiego w rozkwicie oraz klęski Praskiej Wiosny i więzienia). Pokazuje, jak dramatyczną walkę stoczyć musiała w latach 80. Holland-emigrantka, by w ogóle przetrwać, i jak nieoczywisty był późniejszy sukces amerykański.

Cytując zaś wypowiedzi bliskich, w tym siostry i córki, buduje portret kobiety mocnej i zahartowanej, umiejącej obronić swoją pozycję w męskim świecie filmu i pasjonującej się polityką – a równocześnie ciepłej i opiekuńczej, godzącej się z rolą „matriarchy rodu”, jak to nazywa autor „Idy” Paweł Pawlikowski. Na koniec kropła dziegciu – pod adresem wydawcy. Na odwrocie okładki wybito zdanie: „Agnieszka Holland w tej książce po raz pierwszy odsłania całą prawdę o swoim życiu”. Mogło być gorzej („Agnieszka Holland przerywa milczenie”) – ale, pomijając oczywisty fakt, że nikt z nas nie zna o swoim życiu „całej prawdy”, czy naprawdę, bratni Znak, wydając dobrą i poważną książkę musisz puszczać oko do czytelników Pudelka? ©P

PAWEŁ

Bravo:

Przyzwoity luksus



TRZYSTA EURO MUSI KOSZTOWAĆ SŁOIK TRUFLI lub butelka wina, żeby móc w oczach unijnych urzędników uchodzić za towar na tyle luksusowy, by odcięcie jego dostaw zadało cios dobremu samopoczuciu rosyjskich elit. To znaczy – cios poważny, godny tego, iżby debatowali nad tym unijni przywódcy. A za prawdę, lista przedmiotów objętych ostatnią rundą sankcji na luksus jest długa i jej sporządzenie na pewno kosztowało wiele roboczogodzin.

Może jednak następnym razem warto byłoby przed publikacją rozporządzenia zlecić mi szybką kwerendę głupot. Zrobiłbym to za połowę najniższej brukselskiej stawki – bo i tak, z powodu nieopisanego jeszcze w podręcznikach psychiatrii zaburzenia, czytam sobie po nocach rozmaite unijne regulacje, tabele oraz aneksy. Zwłaszcza aneksy. To tam, niczym rzadkie pluskwiki pod kamieniem, czają się najtłustsze babole i osobliwe cymelia urzędniczego świata równoległego. Gdyby ktoś mi zatem zlecił taką chałturę, zwróciłbym uwagę, że nie można żywcem przeklejać listy luksusów z rozporządzenia wydanego w roku 1987. Zakaz eksportu telefonów stacjonarnych z bezprzewodową słuchawką wydany w roku 2022 trochę bowiem osłabia powagę Komisji Europejskiej.

Zastanawia mnie, jak przebiegało szacowanie limitu cenowego tak, by zabolą właściwych adresatów. Zapewne ktoś wziął zbiorcze dane obrazujące eksport towarów codziennego użytku w różnych przedziałach cenowych i pociągnął kreskę pod najwyższym decylem, bo tak mniej więcej najprościej jest odcinać skrajności. Luksus bowiem jest w istocie skrajnością, przegięciem aż do granic ekscesu, balansowaniem po górnej granicy rzeczy lub obyczajów jako tako zgodnych z naturą i poczuciem przyzwoitości. A może po prostu ktoś zdecydował na czuja, kierując się tym, co dla niego i jemu podobnych znaczy „drogo”.

Większość listy to stroje i wszelakie ozdoby ludzkiej figury, w tym mantylki, welony, gorsety, szelki, muszki, fintifluszki i błyskotki zupełnie niekonieczne do życia. Wiem, to naiwne, ale gorszy mnie fakt, iż w ogóle istnieją w obiegu kiecki, portki i kaftany za półtora tysiąca złotych. Jeśli jednak chodzi o bliskie mojemu sercu dobra ujęte na liście sankcji, to ręka z zapalką drży i trudno mi podpałać lont pod równie szokującym cenowo światem wielkich burgundzkich win.

Zajrzałem do wykresów firm zajmujących się handlem dla celów inwestycyjnych (tzn. gdzie nikt niczego nie pije, tylko kupuje butelki, aby je za dziesięć lat sprzedać z przebicciem). Trzysta euro to obecnie jest mniej więcej minimalna cena

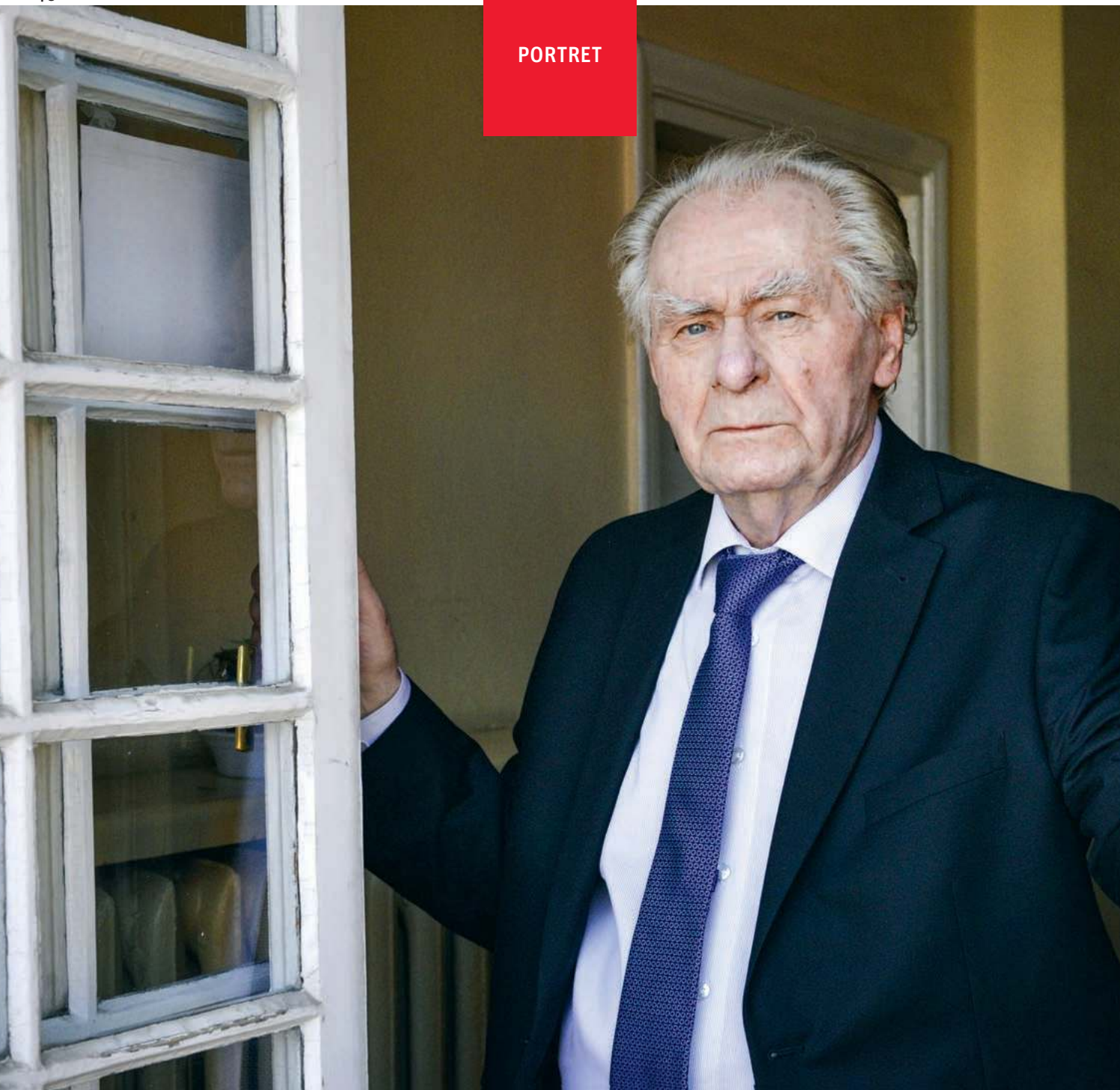
uśredniona z notowań około stu sześćdziesięciu win z burgundzkich *grand crus*, czyli garstki najlepszych siedlisk o renomie wyszlifowanej od co najmniej półtora stulecia. Nieco mniej prestiżowe *premier crus* to wydatek około dwustu euro, i to nimi na razie będzie musiał się pocieszać typowy moskiewski oligarcha, kiedy już osuszy dotychczas skompletowaną piwniczkę.

Cóż, wielka krzywda mu się nie stanie. W rękach wybitnych winiarzy owoce zebrane z siedlisk klasyfikowanych jako *premier cru* mogą dać obłędną elegancję i potencjał ciekawej ewolucji w czasie. Choć ładne, sprawiające uczciwą frajdę burgundzkie wino można mieć nawet i za trzydzieści euro, to nie ma co udawać, że te beczelnie droższe nie dają szczególnych zmysłowych wrażeń, niedostępnych na poziomie win „przyzwoitych”. Warto – jeśli życie ofiaruje nam taką okazję – ich zaznać, nauczyć się słów tego tajemnego języka rozkoszy. W konfrontacji z luksusem człowiek pocziwy zwykle boi się, że się uzależni, przestanie mówić językiem codziennych doznań i straci radość rzeczy zwykłych, dostępnych, za które może zapłacić z własnej kieszeni bez okradania i krzywdzenia bliźnich. Dobrze by było, żebyśmy umieli podchodzić asertywnie do najbardziej wyrafinowanych pokus: pobawić się nimi chwilę, a później pogonić, niech idą precz. Czekajmy, aż w Nuit-Saint-Georges zaczną się wymuszone utratą moskiewskiego rynku promocje, a tymczasem pijmy to, na co nas zwyczajnie stać. ©P

Bojkot firm i sieci, które dalej robią biznes w Rosji, poskutkował zawieszeniem z pozoru absurdałnego, ale jednak rozpalającego polskie media społecznościowe sporu o najlepszy majonez. Ponieważ producent Dekoracyjnego chce dalej finansować Putina, to jego główny rywal Kielecki wygrywa w tej chwili walkowerem, co mnie zresztą cieszy, bo uważam go za lepszego. Taka sytuacja to dobry moment, żeby odzyskać majonezową suwerenność, jednak przygotowanie tego sosu jest raczej proste – nie da się tego tylko zrobić „z marszu”, bo podstawowa reguła to ta, by jajka wyjąć parę godzin wcześniej z lodówki. Metodą prób i błędów warto się nauczyć drogi na skróty: do wąskiego naczynia, w którym zmieści się nam „noga” blendera, wbijamy 2 całe jajka,

dołączamy łyżkę musztardy i 50 ml oleju, włączamy blender na wysokie obroty i równomiernie, powoli ciągniemy go w górę, po czym przesuwamy znów w dół i w górę, w trakcie tej operacji dolewając ciekłą strużką 150 ml oleju. Po kilku takich ruchach powinien nam wyjść gładki sos. Wtedy dolewamy do smaku 2-3 łyżki soku z cytryny oraz solimy. W wariacie „maszynowym” można wzbogacić majonez o nutę ziołową: dodać garść zblanszowanej i posiekanej natki pietruszki lub estragonu. Ciekawy niby-majonez wyjdzie, jeśli zmiksujemy szybko 2-3 rozgotowane marchewki z bulionu, 1 pietruszkę, kawałek selera oraz cebulę z musztardą i paroma łyżkami oliwy (aż stworzą gładką masę). Na koniec dodajemy już ręcznie kilka łyżek jogurtu greckiego i doprawiamy cytryną.





ŻYWOT NIEOPISANY

Myśliwski jako pisarz nie wątpi, że jakiś wspólny sens naszych poszukiwań istnieje. Bo gdyby nie istniał, sam akt opowiadania, a więc i literatura – nie byłyby możliwe.

WOJCIECH BONOWICZ



Wiesław Myśliwski,
Warszawa, 5 czerwca 2014 r.

WŁODZIMIERZ WASYLUK / FORUM

WCZERWCU 2019 R. JEŹDZILIŚMY z Wiesławem Myśliwskim i grupą przyjaciół po miejscach związanych z jego dzieciństwem i młodością. Okazało się, że dom w Dwikozach, w którym przyszedł na świat, obrócił się w ruinę: dach się zapadł, wewnątrz zarosło trawą, a z okien wystają gałęzie młodych drzewek. Nie ma już opisanego w „Widnokregu” domu na sandomierskich Rybitwach, nie ma kamienicy, w której przez rok mieszkał na stacji, rozebrano też dom, pod który odprowadzał swoją sympatię, a potem narzeczoną. Nie ma nawet wzniesionego już po wojnie domu jego matki; kiedy zajechaliśmy na ulicę Dworcową w Dwikozach, w miejscu, gdzie kiedyś stał, leżała sterta zwęglonych desek. Patrząc na krążącego bezradnie wśród zgłiszcz, pomyślałem, że jest w tym znikaniu poszczególnych miejsc coś symbolicznego.

„To nie pisarz jest ważny – podkreślał Myśliwski wielokrotnie – ważne są jego dzieła”. Protestował też, kiedy z jego powieści usiłowano wyluskiwać wątki autobiograficzne. „Nikt nie zna mojego życia – powtarzał stanowczo – sam nie wiem, czy je znam”. Wędrując po jego rodzinnych stronach, można było odnieść wrażenie, jakby rzeczywistość posłuchała go i sama zaczęła zacierać ślady.

Tylko nie o życiu

Nie w tym rzecz, że biografia Myśliwskiego skrywa jakieś tajemnice. Chodzi o coś bardziej zasadniczego: pisarz przez całe lata walczył o to, żeby nie czytać literatury jako relacji z tego, co pisarz przeżył, zobaczył, doświadczył. Literatura nie powinna być reprodukcją tego, co się wydarzyło, powieść to nie inwentarz doświadczeń, lecz ich przetworzenie. Zdaniem Myśliwskiego o tym, co się wydarzyło, tak naprawdę niewiele wiadomo. Pamięć miesza kolejność zdarzeń i ich przebieg, nasycza je nowymi emocjami, myli się w szczegółach, fragmentaryzuje, a nierzadko – mistyfikuje. Każdy człowiek zamienia swoje doświadczenia w opowieść, ta zaś rządzi się regułami, jakie wyznacza jej język, a szczególnie mowa – jego najdoskonalsza, bo najbardziej wolna forma istnienia. I właśnie wierność mowie jest, zdaniem pisarza, istotą literatury, nie idee, bohaterowie czy zdarzenia. „Nie ma w literaturze nic nudniejszego niż przygody” – żartuje Myśliwski. Bo niepowtarzalni jesteśmy

nie tyle w naszych przeżyciach, ile w tym, jak je opowiadamy.

Wiedząc to wszystko, nigdy nie zgodził się na rozmowę rzekę o swoim życiu. Równocześnie udzielił jednak kilkudziesięciu mniejszych i większych wywiadów, w których coś niecoś ze swej biografii odsłonił. Na 90. urodziny Myśliwskiego w Znak ukazał się właśnie tom zatytułowany „W środku jesteśmy baśnią”, w którym część z tych wywiadów została przedrukowana. Znalazły się w niej też jego najważniejsze publiczne wystąpienia – na czele z wygłoszonym przed laty w Mikołowie wykładem „Kres kultury chłopskiej”. Praca nad książką trwała trzy lata, pomagaliśmy w niej ja i Jerzy Illg, ale ostatecznie to sam autor dokonał wyboru tekstów, ułożył je i wspólnie z żoną zaproponował zestaw zdjęć, które je zilustrowały.

Można z tego zbioru wyluskać całkiem sporo informacji, bo paradoks polega na tym, że choć Myśliwski nie lubi się odsłaniać w publicznych sytuacjach, to prywatnie jest znakomitym gawędziarzem, chętnie opowiadającym o zdarzeniach ze swego życia. Niektórym jego rozmówcom udało się tę słabość wykorzystać i sprowokować pisarza do opowieści o sobie. Można więc czytać ten nowy tom jako swoistą autobiografię – bo innej na pewno nie będzie.

Różne mowy

Urodzony 25 marca 1932 r. w podsandomierskich Dwikozach, Myśliwski wspomina dzieciństwo jako czas nieustannych przeprowadzek ze wsi do miasta i z powrotem. Wbrew powszechnemu przekonaniu, jego korzenie są mieszczańsko-chłopskie, a nie wyłącznie chłopskie. Ojciec Julian pochodził z Ćmielowa, był oficerem Wojska Polskiego, walczył w wojnie polsko-bolszewickiej, a wiele wskazuje na to, że wcześniej także w Białej Gwardii (m.in. w okolicach bombardowanego dziś Charkowa). Po demobilizacji pracował jako urzędnik, a w końcu znalazł posadę w zakładach zbrojeniowych w Starachowicach. Musiał lubić polską literaturę romantyczną, bo urodzonemu w 1932 r. synowi wybrał imię Wiesław, a młodszej od niego o dziesięć lat córce – Grażyna. Syn wspomina, że miał mocny głos i chętnie śpiewał, ale niestety, chorował na serce, długo zresztą ukrywając przed rodziną, jak poważna jest ta choroba. Zmarł w momencie, ⇨

→ gdy „nie wypadło już umierać” – latem 1945 r., dwa miesiące po zakończeniu wojny.

Po jego śmierci Wiesław czuł się zobowiązany, żeby pomagać matce w utrzymaniu rodziny. Marianna z Gałęzów była przed wojną działaczką Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici” i wychowanką Uniwersytetu Ludowego Ignacego i Zofii Solarzów. W czasie okupacji zdecydowała się przenieść z dziećmi do rodzinnego domu w Dwikozach. „Mieszkałem na przemian to na wsi, to w mieście, więc nasyciłem się różnymi mowami ludzkimi – opowiadał mi po latach Myśliwski. – Najwięcej tej chłopskiej mowy nasłuchałem się do trzeciego roku życia i nieco później, gdy po śmierci ojca zamieszkaliśmy już na stałe na wsi. Kiedy poszedłem do szkoły średniej, na każdą niedzielę odwiedzałem matkę, która mi opowiadała, co się działo przez cały tydzień”.

Pisarz nosi w sobie silne wspomnienie wojny. Na cmentarzu w Dwikozach pokazywał nam grób partyzanta, którego rozstrzelano w pobliskim wąwozie. Razem z innymi chłopcami przybiegli, żeby zobaczyć jego zwłoki, i pamięta, że zastrzelony miał między brwiami małą dziurkę po kuli. W „Traktacie o łuskaniu fasoli” opisał scenę, w której chłopiec patrząc ze wzgórza na płonące wsie wybuchają śmiechem. To jedno z jego własnych wspomnień – z lutego 1944 r., na kilka miesięcy przez wkroczeniem Rosjan na przyczółek sandomierski. Stał wtedy z matką na wzgórzu zwanym Winnicą w gromadzie wystraszonych ludzi. „Ktoś się modlił, ktoś płakał, matka kazała mi uklęknąć, a ja (z niewiedzy? głupoty? strachu?) się roześmiałem. To wspomnienie tkwiło we mnie przez ponad sześćdziesiąt lat...” – mówił w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego”.

Miłość i przestrzeń

O swojej młodości mówi, że była „biedna, krucha, niepewna”. Wszystko jednak zmieniło się w dniu, w którym na ulicy wypatrzył młodszą o rok Waławę Stec. Szła w gronie koleżanek – roześmiana, elegancka, zachwycająca. Pomyślał: „Będzie moją żoną”, choć sam w tym czasie często chodził głodny i w połatanych spodniach. Wkrótce zostali parą – jak się okazało, na całe życie. To właśnie Waławę odprowadzał przez słynne sandomierskie Ucho Igielne, które uwiecznił w swej ostatniej powieści.

Myśliwskiemu nie chodzi o jednego bohatera, jedno pokolenie, jeden czas,

ale o człowieka jako takiego, każdego człowieka, będącego zawsze tajemnicą nie tylko dla innych, ale również dla samego siebie.

Kiedy nie dostał się na Politechnikę Gdańską, gdzie zamierzał studiować budowę okrętów, poszedł za nią na polonistykę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, choć literatura nie bardzo go interesowała. Pobrali się w pięknym romańskim kościele św. Jakuba w Sandomierzu. Kiedy podczas wywiadu spytałem go, gdzie właściwie jest jego dom, w mieście czy na wsi, odpowiedział, że duchowo nigdzie nie zamieszkał, a jego kotwicą jest Waława: „To miłość określiła moją przestrzeń”. Co ciekawe, w powieściach opisuje przeważnie miłości niespełnione, zerwane, często z niejasnych powodów, będące raczej tęsknotą niż trwałą relacją. Tak jakby chciał jeszcze wyraźniej dać do zrozumienia, że w jego utworach nie należy doszukiwać się autobiografii.

Oboje z Waławą marzyli, by zamieszkać kiedyś w Warszawie. Jednak dyplom KUL-u w Polsce lat 50. nie gwarantował udanego startu, a już na pewno nie w stolicy. Pomogły „wiciowe” kontakty matki – w 1955 r. Wiesław dostał pracę w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. „Przyszedłem do wydawnictwa, które było straszne, ale byłem dobrze wykształcony, normalnie, a ludzie, którzy kończyli polonistykę na innych uniwersytetach, byli nasiąknięci marksizmem, teoriami realizmu socjalistycznego. Zobaczono, że przyszedł młody człowiek, nie ma jeszcze dwudziestu czterech lat, zna się na literaturze – robiłem wrażenie”.

Na fali odwilży wydawnictwo postanowiło szukać książek, które można by wznowić, i wysłało go jako asystenta do bibliotek, żeby przeglądał katalogi. Myśliwski opowiadał później, że było to dlań porażające: literatura ukazała mu się jako wielkie cmentarzysko. „Nazwiska w swoim czasie popularne, wzięte, z dziełami zebranymi za życia – całkiem zapomniane. Tamto doświadczenie stanowi

dla mnie do dziś memento” – mówił po latach Stanisławowi Beresiowi. Mimo to nie zrezygnował, a kiedy w 1958 r. zaproponowano mu kierowanie redakcją literatury współczesnej, zaczął ściągać do LSW nowych autorów, zarówno uznanych, jak i zdolnych debiutantów.

„Lubiłem tę pracę, lubiłem rozmawiać z autorami, przeważnie na kawie spędzałem czas – wspominał w rozmowie z Donatą Subbotko. – Przychodzili ludzie starzy, przedwojenni, a tu taki gówniarz – syciłem się ich wiedzą. Jakie miałem powody, żeby pisać? Żadnych”. Mimo to, w tajemnicy przed wszystkimi, zaczął w końcu pracować nad swoją pierwszą powieścią, której wątkiem przewodnim była relacja ojca i syna. Pisał ją trzy lata, nocami i w weekendy, ale z rezultatu nie był zadowolony. Tak się jednak złożyło, że w tym czasie Myśliwskim urodził się syn – Grzegorz, a wraz z nim w domu pojawiły się nowe emocje i nowa energia. Wiesław postanowił raz jeszcze spróbować: w ciągu czterech miesięcy powstała nowa wersja powieści, którą odważył się zanieść do wydawnictwa, oczywiście nie własnego. „Nagi sad”, który ukazał się w 1967 r., od razu zwrócił uwagę krytyki.

Porządek przeznaczenia

Czas był politycznie nieciekawym, ale dla polskiej prozy szczęśliwym – dość wspomnieć, że w 1966 r. ukazała się „Austeria” Juliana Strykowski i „Takie większe wesele” Tadeusza Nowaka, a w samym 1967 r. „Wniebowstąpienie” Tadeusza Konwickiego i „Kamienne pszczoły” również wówczas debiutującego Piotra Wojciechowskiego. Mimo takiej konkurencji pierwszej powieści Myśliwskiego nie przeoczono; Julian Przyboś opublikował nawet w „Życiu Warszawy” recenzję zatytułowaną „Niezwyczajny debiut”. Ale powieść była też dla komentujących pewnym kłopotem. Najłatwiej było ją wpisać w przeżywający wówczas swoje apogeum nurt chłopski, tyle że „Nagi sad” Myśliwskiego był intrygujący przede wszystkim od strony formy: nieliniowy charakter narracji, poetycki klimat i enigmatyczność niektórych fragmentów sprawiały, że nie dało się tego debiutu czytać wyłącznie jako powieści społecznej.

Niemniej przy kolejnych jego książkach często powielano ten błąd: sięgano po klucz historyczno-społeczny, mniej zwracając uwagę na to, jaki styl opowiadania proponuje autor i jak bardzo wielo-

warstwowe są historie, które snują jego bohaterowie. W 1970 r. ukazał się „Pałac” – powieść napisana szybko, w transie, sama zresztą będąca najbardziej „transowym” z utworów pisarza. Monolog jej bohatera – Jakuba, który wkracza do pałacu opuszczonego przez dotychczasowych mieszkańców – to historia kogoś, kto przede wszystkim chce zbadać granice własnego „ja”. Jak mówił po latach autor, Jakub poddaje się „próbie sprawdzenia, kim właściwie jest i kim mógłby być. I okazuje się, że mógłby być wszystkim. Mógłby być dziedzicem, zbrojnicą, aniołem, diabłem, wszystkim”. I choć w rezultacie tej próby popada w szaleństwo, to równocześnie opowieść, jaką pozostawia, jest wielką, poruszającą manifestacją jego wolności.

W połowie lat 70. Myśliwski rezygnuje z pracy w wydawnictwie i obejmuje funkcję redaktora naczelnego kwartalnika „Regiony”. Był to krok ryzykowny: pismo musiało nieustannie walczyć o fundusze i przydział papieru, a redakcja często zmieniała adresy. Niemniej naczelny pilnował, żeby co tydzień odbywały się kolegia, stanowiące swoiste seminaria z historii i antropologii kultury. „Ten kwartalnik wyrósł z takiej intencji, że oto kultura chłopska umiera i że trzeba starać się ocalić z niej to, co jest jeszcze do ocalenia” – tłumaczył Myśliwski. Szczupły zespół redakcyjny był otwarty na różne propozycje literackie, ale starał się przede wszystkim gromadzić zapisy chłopskie z pogranicza kultury przedpiśmiennej i piśmiennej – testamenty, supliki, wspomnienia – „najczęściej nieporadne, zmudne, świadczące o wielkim trudzie, żeby przelać myśli na konwencje pisma, a jednocześnie żeby zachować mowę żywą, tę mowę, której się ufa. Spotyka się w tych zapisach wręcz wynalazcze struktury zdań i wszelkie możliwe struktury narracji”. Praca w „Regionach” była kolejną wielką lekcją języka, którą Myśliwski wziął u polskich chłopów.

Niewątpliwie jego następna powieść, wydany w 1984 r. „Kamień na kamieniu”, wiele tej lekcji zawdzięcza. Wielowątkowa i meandrująca opowieść jej chłopskiego bohatera, Szymona Pietruszki, który pod koniec życia postanawia zbudować grobowiec zdolny pomieścić szczątki wszystkich jego bliskich, stwarza wrażenie, jakby jedna biografia była syntezą historii wielu osób. W ten sposób ktoś, kto włożył wiele wysiłku, by się ze zbiorowo-

ści wyodrębnić, symbolicznie spłacał owej zbiorowości zaciągnięty dług.

Pytany, jaki sens ma ostatecznie opowieść Szymona, pisarz odpowiadał: „Z chaosu zdarzeń wydobyć porządek przeznaczenia, który życiu jego nada znamie losu”. Wszystko to zrobione zostało bardzo subtelnie; staranna kompozycja całości i umiejętna kreacja głównego bohatera sprawiły, że „Kamień na kamieniu” okrzyknięto arcydziełem, a pierwszy nakład szybko zniknął z półek. „Politycznie czas był fatalny – mówił po latach pisarz w rozmowie z Katarzyną Janowską. – Myślałem nawet, że w niewłaściwym momencie wydałem książkę. Ale okazało się, że przeciwnie. W okresie rozbicia po stanie wojennym ludzie szukali jakiegoś punktu odniesienia, a może i pocieszenia w swoich dramatach”.

Widnokreśli

Kolejną powieść Myśliwski opublikował już w wolnej Polsce. W wydanym w 1996 r. „Widnokreśli” postanowił otwarcie zmierzyć się z własną biografią, umieszczając akcję utworu w miejscach związanych z własnym dzieciństwem i młodością, a pierwowzorami niektórych postaci czyniąc osoby rzeczywiste. Jednocześnie pokazał, jak uniknąć pułapki, jaką biografia zastawia zwykle na piszących: główny bohater powieści, Piotr, to nie *porte-parole* pisarza, ale raczej ktoś, kto rodzi się na jego oczach, w miarę jak opowieść rozwija się i komplikuje. Nam, czytającym, może się wydawać, że wiemy o Piotrze bardzo dużo, ale po lekturze zostajemy z mnóstwem pytań, często dotyczących momentów dla biegu jego życia zasadniczych. Bo Piotr – Myśliwski mówił o tym w rozmowie z Heleną Zaworską – jest paradoksalnie „najbardziej skromną postacią w powieści. Ledwo ją widać”. I jeśli czegoś się o niej dowiadujemy, to raczej pośrednio, śledząc losy innych. Niemniej rekonstruując jego losy, uświadamiamy sobie jednocześnie, jak tworzy się nasz własny „widnokrąg” i jak wiele niedookreślonych miejsc zawiera.

To wrażenie nieuchwytności i związane z nim uczucie zakłopotania pogłębiać się będzie przy lekturze kolejnych powieści: „Traktatu o łuskaniu fasoli” (2006), „Ostatniego rozdania” (2013) czy „Ucha Igielnego” (2018). Lektura każdej z nich nie pozostawia wątpliwości, że Myśliwskiemu w literaturze chodzi o wielkie cele – o „zamach na wszystko”. Nie o jed-

nego człowieka, jedno pokolenie, jeden czas, czy nawet jedną kulturową formację, ale o człowieka jako takiego, każdego człowieka, będącego zawsze tajemnicą nie tylko dla innych, ale również dla samego siebie. Tylko w akcie mowy, opowiadając, człowiek może nadać sens zdarzeniom, w których uczestniczył, wysiłkiem, jakie podejmował, i relacjom, jakie nawiązywał z innymi – zawsze ze świadomością, że nie będzie to akt wyczerpujący, że będzie on w jakimś stopniu zafałszowany i że w każdej chwili zjawić się może inna opowieść, a wraz z nią inne znaczenia.

Niemniej w to, że jakiś wspólny sens naszych poszukiwań istnieje, Myśliwski jako pisarz nie wątpi: gdyby nie istniał, sam akt opowiadania, a więc i literatura – nie byłyby możliwe. Ważne, by poszukiwań owego sensu nie ograniczać konwencjami. To dlatego literatura, choć ostatecznie realizuje się w piśmie, powinna być wierna raczej duchowi mowy, bo dzięki temu może objąć szerszy czas i większą przestrzeń. „Linearna literatura jest konwencją – tłumaczył mi kiedyś. – Tak zwana fabuła jest konwencją. Pamiętasz ze studiów, jak rozpatrywało się powieść: ekspozycja, punkt kulminacyjny itd. To wszystko konwencja, nic takiego w rzeczywistości nie istnieje”.

Myśliwski nigdy nie pisał, „żeby nie milczeć”, przeciwnie, twierdził, że ideałem byłoby napisać jedną powieść, w której udałoby się zawrzeć wszystko, co ma się do powiedzenia. Po wydaniu „Ucha Igielnego” oświadczył, że to już koniec, niczego więcej nie napisze. Ale... Leży przede mną maszynopis „Kłucznika”, dramatu, który opublikował w 1978 r. w miesięczniku „Dialog” i który wejdzie do zbiorowej edycji jego utworów pisanych na scenę (ukaze się ona zapewne na kolejne urodziny). Napisany na papierze teraz już pożółkłym i brązowym na brzegach, nosi na sobie całkiem współczesne poprawki zrobione czarnym cienkopisem: trochę skreśleń, sporo drobnych zmian, kilkanaście dopisanych kwestii. To znak, że pisarz nie uważa jeszcze swego dzieła za zamknięte – że ono żyje, zmienia się, wciąż szuka swojej formy. I że chce otworzyć się na nowe czytelniczki i czytelników.

© © WOJCIECH BONOWICZ

Wiesław Myśliwski w ŚRODKU
JESTEŚMY BAŚNIĄ. MOWY I ROZMOWY
Znak, Kraków 2022

STANISŁAW

Mancewicz:

Przemiany



MCDONALD'SA ZASTĄPIŁ WUJASZEK WANIA. To chyba zmiana już nieodwracalna. Ktoś teraz powie, że to jest detal, że w oceanie najbardziej niesamowitych zdarzeń ostatnich tygodni jest to jakaś może śmieszność, niewarta nawet sekundy zastanowienia. Otóż powstanie sieci barów smażących hamburgery o nazwie Wujaszek Wania też – rzec to trzeba jednak nie bez zdumienia – przesuwają Rosję może nie do czasów Antoniego Czechowa, ale gdzieś w tamte rejony. Pojawienie się Czechowa w towarzystwie udawanych amerykańskich kotletów w bułce, jako element walki z nazizmem, o rosyjską godność i zdaje się też, wedle wielu Rosjan – o niepodległość, sprawia wrażenie historii wymyślonej na dużym fleku, może raczej kreowanej przez wroga Rosji propagandę, a może jest to – pomysłmy – jednak fejkniusz...

A nie. To prawda. Sieć Wujaszek Wania ma już logo. Graficy rosyjscy zrobili je na trzeźwo, i to widać. No więc McDonald's jako symbol startu, efektownego kiedyś wejścia postradzieckiej Rosji do świata wolnego rynku i dziś także nagłego tej Rosji pożegnania się z cywilizacją Zachodu, nawet jeśli jej obecność w niej była pełnym złudzeniem, to kłamra naprawdę kapitalna.

Sprawa następna, która przykuła naszą uwagę, jakoś podobna do przemiany hamburgera w wujaszka Wanę, rozegrała się w sieci. Oglądaliśmy bez przyjemności, bez satysfakcji, a także bez żadnych złych uczuć, intrygującą, czarną rozpacz rosyjskiej blogerki i celebrytki. Nadawała na żywo. Było to ostatnie nagranie, ostatnie do żyjących słowo, ostatniej instagramerki na wschód od linii Curzona. Rozdzierający szloch kompletnie nie pasował do wyglądu tej kobiety, do jej ubioru, do wnętrza, w którym płakała, po prostu żaden

z tych atrybutów nie został wyprodukowany (ubranie) bądź stworzony (poprawki chirurgów plastycznych) na potrzeby realiów końca świata czy, jak kto woli, realiów III wojny światowej odbywającej się, jak już wiemy, na wielu frontach, w wielu wymiarach i przestrzeniach. Dla ludzi urodzonych np. w okolicy połowy ubiegłego stulecia problemy tej pani wobec dzisiejszej katastrofy muszą być i są absolutnie szokujące i niepojmowalne. Reprezentuje ona – wcale nie dlatego, że jest Rosjanką – inny rodzaj człowieka, żyjącego na tutejszej planecie od niedawna. Niby to wiedzieliśmy, niby rozumiemy, że świat się zmienia, niby czujemy puls nowoczesności, ale nie przypuszczaliśmy, że zobaczymy na żywo reprezentantkę innego gatunku, i że poczujemy się z tego powodu nie-swojo. Nawiasem, ciekawe, czy Rosja będzie umiała stworzyć rodzime, niezależne do Zachodu, odpowiedniki wszelkich i oczywistych dziś rozrywek Ziemi. Kęs wujaszka Wani zapieczonego z serem, dla sprawdzenia, czy to możliwe, może, ale wcale nie musi, dać odpowiedź na to ważne cywilizacyjnie, psychologicznie, społecznie i medycznie strategiczne pytanie.

Na koniec wypada choć w kilku zdaniach odnieść się do szeroko komentowanej wizyty p. Kaczyńskiego w Kijowie. Wiele już powiedziano o wygłoszonym tam przez Gospodza zdaniu (?) / opinii (?) / apelu (?) na temat wprowadzenia wojsk NATO na teren Ukrainy w celach pokojowych (?). Tak, była to wypowiedź niespodziewana dla większości polityków, wielu z nich się wyraźnie zaniepokoiło, wielu w ogóle nie zrozumiało, o co może chodzić, co ma z tego wynikać i czy np. p. Kaczyński wypowiedział właśnie w imieniu NATO wojnę Rosji. Wydaje się pewne, że politycy partii rządzącej, ci, rzecz jasna, władający językami, mieli sporo telefonów z zagranicy i podjąć się musieli trudu interpretacyjnego na miarę wielkich rabinów.

My – na własny użytek – też się wysiliiliśmy. Otóż wedle naszego wieloletniego doświadczenia w próbach rozumienia prezesa PiS-u pojechał on do Kijowa w celu partyjnym. Gospodarz, zważmy, nie podejmuje żadnych wysiłków ani żadnych podróży w celach innych niż partyjne. Wizyta w Kijowie była zatem widzialnym komunikatem prezesa PiS-u dla wszystkich jego pisowców, by nie odważyli się być teraz ani antyukraińscy, ani proputinowscy, co im się nie raz i nie dwa zdarzało. Nie teraz. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



**TYGODNIK
POWSZECHNY**



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

**Suwerenni
dzięki Wam!**



Dzięki Wam „Tygodnik” zachowuje niezależność, szczególnie teraz – w dobie kryzysu zaufania, inflacji, w niełatwych dla swobodnej myśli czasach.

Adam Boniecki

Ks. Adam Boniecki

1%

**Przełącz 1% podatku na działalność
Fundacji Tygodnika Powszechnego,
która dba o dziedzictwo i rozwój
„Tygodnika Powszechnego”.**

**WPISZ W ZEZNANIU PODATKOWYM
nr KRS 0000125605**

**Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:
Santander Bank Polska S.A.**

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

**Więcej informacji:
powszech.net/dar**

ELEKTRYCZNOŚĆ ZNOWU WOLNA.



GAMA ZELEKTRYFIKOWANYCH MODELI JEEP®.
 WRANGLER **4xe** PLUG-IN HYBRID
 RENEGADE I COMPASS **4xe** PLUG-IN HYBRID ORAZ **e**-HYBRID
 TERAZ W PROMOCYJNYM LEASINGU.

Przedstawiamy nową gamę zelektryfikowanych modeli Jeep® 4xe Plug-In Hybrid i e-Hybrid. W nowych modelach Jeep® elektryczność wraca do swojego pierwotnego, wolnego stanu. Odkryj możliwości nowej gamy bezkompromisowo hybrydowych modeli Jeep®. **100% ELEKTRYCZNEJ WOLNOŚCI.**

Leasys Polska Sp. z o.o. Oferta dotyczy wybranych wersji Jeep®, i jest skierowana wyłącznie do przedsiębiorców. Szczegółowe warunki wynajmu określone są w umowie. Zawarcie umowy jest uzależnione od oceny zdolności finansowej klienta. Akcja ograniczona w czasie. Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu przepisów Kodeksu cywilnego i ma charakter wyłącznie informacyjny. Rzeczywisty wygląd i cechy pojazdu mogą się różnić od prezentowanych w materiale reklamowym. Jeep®, Renegade PHEV 4xe: zużycie paliwa od 1,8 do 2,1 l/100 km, emisja CO₂ od 41 do 59 g/km. Jeep®, Renegade MHEV e-Hybrid: zużycie paliwa od 5,7 do 6,1 l/100 km, emisja CO₂ od 130 do 139 g/km. Jeep®, Compass PHEV 4xe: zużycie paliwa od 1,9 do 2,0 l/100 km, emisja CO₂ od 44 do 47 g/km. Jeep®, Compass MHEV e-Hybrid: zużycie paliwa od 5,6 do 6,0 l/100 km, emisja CO₂ od 128 do 136 g/km. Jeep®, Wrangler Unlimited PHEV 4xe: zużycie paliwa od 3,5 do 4,1 l/100 km, emisja CO₂ od 79 do 94 g/km. Podane wartości określono na podstawie procedury testowania WLTP. Szczegółowe informacje o odzysku i recyklingu pojazdów, postępie dokonany w tej dziedzinie, konstrukcji pojazdów zgodnej z przepisami o recyklingu i lista punktów zbierania pojazdów wycofanych z eksploatacji dostępne są u dealerów Jeepa. Jeep® jest zastrzeżonym znakiem handlowym firmy FCA US LLC. **LEASYS**

Jeep®

THERE'S ONLY ONE